PRZEMYSKI PRZEGLĄD KULTURALNY

KWARTALNIK • 3–4 (26–27) 2012 / Cena 8 zł (w tym 5% VAT) Numer indeksu 219436

Między *memento mori* a *non omnis moriar* » 4

PRZEMYSKI PRZEGLĄD KULTURALNY

3–4 (26–27) 2012

MUZYKA

4 Iwona A. Siedlaczek
**Między *memento mori* a *non omnis moriar*.
XX Festiwal Muzyki Dawnej
„Pieśń Naszych Korzeni" w Jarosławiu**

8 Monika Maziarz
**Rękopis znaleziony na strychu.
Missa solemnis h-moll Ignaza Rittera von Seyfrieda**

12 Wojciech Kalinowski
**Ameryka górą!
XII Międzynarodowy Festiwal Jazzowy „Jazz bez..."**

SYLWETKI

14 Krzysztof Bortnik
**„Jasnowidz Stalina" nad Sanem?
O Wolfie Messingu i jego przemyskim epizodzie**

20 Anna Siciak
Adam Klein – drukarz przemyski

62 Zdzisław Szeliga
**Obrońca praw Bożych i ludzkich.
Wspomnienie o arcybiskupie Ignacym Tokarczuku**

EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA I POŁUDNIOWA

26 Juraj Buzalka
Słowackie państwo katolickie i jego pragmatyczna elita

SPOTKANIA

32 **Staram się nie myśleć w kategoriach czarno-białych.
Spotkanie z Michałem Jagiełłą**

WYDAWNICTWA

38 Bruno Drwęski
**Nasi czy nie nasi?
Polska i jej Kresy w opiniach inteligencji patriotycznej w przededniu niepodległości
(Michał Jagiełło, *Razem czy osobno? Przewodnik po lekturach*, tom II)**

40 Adam Białoń
**„Ruska wyspa"
(*Rzecz o łemkowskiej enklawie na północ od Krosna. Prace dedykowane dr. Modestowi Humeckiemu z okazji 170. rocznicy urodzin*)**

KSIĄŻKI

42 Anna Siciak
**Jezuici i Pani na Jarosławiu
(Ks. Piotr Skarga, *Listy*)**

43 Monika Maziarz
**Ballansowanie
(Balla, *Podszepty*)**

44 Małgorzata Myszka
**Powieść pozbierana z głosów samego życia
(Swietłana Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*)**

45 Krzysztof Bortnik
**Polski horror nad Wełtawą
(Stefan Grabiński, *V domě Sáry a jiné provídky*)**

LITERATURA

46 Andrzej Juszczyk
**O czym gwarzą szyny?
O opowiadaniach kolejowych Stefana Grabińskiego**

49 Viťo Staviarsky
Družbacki i spółka

VARIA

53 Adam Erd
Słowik z ręką w gipsie

56 Tadeusz Nuckowski
Rozterki czytelnika

60 Bogumiła Kowal
Projekt „Polsko-ukraińskie braterstwo broni w 1920 roku"

FELIETONY

64 Zdzisław Szeliga
Spacerki osobiste: Idę ulicą, piękny, młody...

PŁYTY

66 Piotr Bałajan
Aerosmith, *Music From Another Dimension!*
Kiss, *Monster*

68 **ODNOTOWANO**

„Jasnowidz Stalina" nad Sanem?
O Wolfie Messingu i jego przemyskim epizodzie

O polskim okresie życia Messinga wiemy bardzo niewiele. Ten fragment biografii jasnowidza przyrównać można do czystej karty, którą badacze muszą dopiero zapełnić. Nie jest to łatwe zadanie, liczne dokumenty uległy bowiem podczas wojny zniszczeniu. Działalność jego wszelako zostawić musiała ślady na łamach przedwojennej prasy, a także w ówczesnych memuarach. Jeden z takich właśnie tropów wiedzie do Przemyśla.

» 14

Staram się nie myśleć w kategoriach czarno-białych. Spotkanie z Michałem Jagiełłą

W latach 60., jeszcze 80. XIX wieku rusiński inteligent mówił: w sensie politycznym jestem Polakiem, gdyż mam świadomość, iż moi przodkowie byli częścią wielkiej Rzeczypospolitej polsko-litewskiej (dodajmy: polsko-litewsko-ruskiej, w końcu najważniejsze dokumenty Wielkiego Księstwa Litewskiego były spisane po rusku). Ale moim językiem macierzystym jest gwara, a dopiero potem pełnoprawny język rusiński. Później ta inteligencja zaczęła mówić: my jesteśmy Ukraińcami. My, ci z Galicji i ci z tamtej strony kordonu, tworzymy jeden starożytny naród ukraiński. I to wszystko widać w obu moich tomach.

»32

O czym gwarzą szyny? O opowiadaniach kolejowych Stefana Grabińskiego

Siedzę w pociągu i jadę jak co tydzień trasą Kraków–Przemyśl. Za oknem ten sam dobrze znany widok, przedział wygląda tak samo jak zawsze, ten sam, znany z widzenia, konduktor sprawdza bilety. Trudno o bardziej zwykły i banalny obrazek. Jednak wystarczy, że pójdę na koniec ostatniego wagonu i popatrzę na ciągnące się w nieskończoność tory, na migające podkłady, a wrażenie nudy i jednostajności znika. Szyny wydają się ożywać na zakrętach i rozjazdach, płyną w oczach, błyskawicznie się poruszają... Wiem, że to tylko złudzenie, ale i tak robi to na mnie wrażenie. Myślę wtedy, że tak samo jak ja musiał na nie patrzeć Stefan Grabiński.

»46

Rozterki czytelnika

Tak, to ma być o czytaniu, nie o pisaniu! No dobrze. Zewsząd słychać biadolenie nad upadkiem czytelnictwa, wylicza się, ile to książek rocznie czyta statystyczny Polak, próbuje się dociec przyczyn słabego zainteresowania tym szlachetnym zajęciem. Może książki są zbyt drogie? Chyba nie, ceną zwykle równają się z butelką dobrego wina lub przeciętnej whisky (ewentualnie whiskey, jeśli irlandzka). Nie wiem tylko, dlaczego niedobra książka jest w cenie dobrej, choć powinna być przecież tańsza. Tego problemu tu nie rozstrzygnę, zauważając przy okazji, że w sklepach jest więcej dobrego wina niż dobrych książek. A mnie się zdaje, że czytelnictwo wcale nie upada, bo zawsze było podobne, czyli upadłe.

»56

OKŁADKA:
JORDI SAVALL.
FOT. MARCIN MITUŚ

Wydawca:
Przemyska Biblioteka Publiczna
im. Ignacego Krasickiego
ul. Juliusza Słowackiego 15
37-700 Przemyśl
tel. centrala: (16) 678 39 60, 678 62 87,
678 36 52, 678 35 82, w. 31
tel./fax: 678 62 91
e-mail: ppk@biblioteka.przemysl.pl
www.redakcja.pbp.webd.pl

Zespół redakcyjny:
Andrzej Juszczyk,
Wojciech Kalinowski (sekretarz redakcji),
Paweł Kozioł (redaktor naczelny),
Monika Maziarz (adiustacja i korekta),
Andrzej Skibniewski.

Redaktor techniczny
i opracowanie graficzne: Mariusz Kościuk.

Wersja elektroniczna:
Henryk Lasko.

Współpracownicy:
Piotr Bałajan, Jacek Drozdowski,
Katarzyna Dzierżawin, Adam Erd, Olga Hryńkiw,
Michał Jagiełło, Adam Jaremko, Lila Kalinowska,
Ewelina Kasperska, Jacek Kawałek,
Joanna Kociuba, Agnieszka Korniejenko,
Joanna Korpal-Drozdowska,
Paweł Tomasz Kozioł, Małgorzata Myszka,
Tadeusz Nuckowski, Janusz Polaczek,
Anna Siciak, Olga Hanna Solarz,
Stanisław Stępień, Zdzisław Szeliga.

Instytucje współpracujące:
• Agencja Rozwoju Przemysłu SA – Oddział w Krasiczynie –
Zespół Zamkowo-Parkowy w Krasiczynie,
• Arboretum i Zakład Fizjografii w Bolestraszycach,
• Centrum Kulturalne w Przemyślu,
• Galeria Sztuki Współczesnej w Przemyślu,
• Muzeum Historyczne w Sanoku,
• Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej w Przemyślu,
• Muzeum-Zamek w Łańcucie,
• Państwowa Wyższa Szkoła Wschodnioeuropejska w Przemyślu,
• Przemyskie Centrum Kultury i Nauki „Zamek".

Druk:
Drukarnia „Papirus"
ul. Spytka z Jarosławia 11
37-500 Jarosław.

Redakcja zastrzega sobie prawo
do zmian tytułów i redagowania tekstów.

Między *memento mori* a *non omnis moriar*

XX Festiwal Muzyki Dawnej „Pieśń Naszych Korzeni" w Jarosławiu, 19–26 sierpnia 2012

Iwona A. Siedlaczek

Festiwal Muzyki Dawnej „Pieśń Naszych Korzeni" Anno Domini 2012 odbył się już po raz dwudziesty. Utrzymanie przez tyle lat rangi, poziomu oraz samej obecności imprezy w przestrzeni kultury należy do nie lada wyczynów. Organizatorzy to prawdziwi miłośnicy tradycji muzycznych, działający na rzecz ich przypominania, przyswajania i utrwalania w świecie mało przyjaznym kulturze wysokiej. Festiwal ma swoją publiczność, więcej – grupę wielbicieli, którzy zjeżdżają do pięknego miasta nad Sanem z radością i tęsknią doń potem przez cały rok. Propagujący tradycję festiwal stał się zatem przez owych lat dwadzieścia również pewną tradycją: spotkań, wspólnego muzykowania młodych adeptów pod okiem mistrzów, wreszcie religijnego uniesienia, dokonanego za sprawą muzyki.

W Polsce można zaobserwować coś na kształt odrębnej kultury festiwalowej – tak wiele tego typu imprez odbywa się w całym kraju, najwięcej w lecie. Jest więc w czym wybierać i można jarosławski festiwal pominąć. Ale jeśli już ktoś nań przyjedzie, to z fascynacji prezentowaną na nim muzyką albo chociaż z ciekawości. A ciekawość ta może wzrastać wraz z każdą festiwalową odsłoną, co jest niewątpliwą zasługą dyrektorów artystycznych, czyli Macieja Kazińskiego i Marcina Bornusa-Szczycińskiego.

Bardzo interesujący program jubileuszowej edycji ukształtował się sam – bo nic o takim planowym zamyśle nie wiadomo – między dwiema łacińskimi sentencjami: obecną w sztuce średniowiecza *memento mori* i jeszcze starszą, bo pochodzącą z *Pieśni III* Horacego, *non omnis moriar*. Warto w tym miejscu przypomnieć, że *memento mori* traciło swą siłę oddziaływania na codzienność późniejszych wieków, zaś idea pieśni

Michał Mach

Jordi Savall

Horacego, rozpoczynającej się słynnym zwrotem *Exegi monumentum* (wybudowałem pomnik), nadal inspiruje ludzi kultury.

Że jest to dewiza prawdziwa i trwała w odniesieniu do sztuki i jej możliwości unieśmiertelniania twórcy – nie mamy dziś wątpliwości. Pomniki, jakie pozostawili po sobie nie tylko rzeźbiarze, malarze, poeci, filozofowie, ale i muzycy, rzeczywiście *trwalsze są niż spiż*, jak pisze dalej Horacy. Jeśli pamiętamy o muzyce i muzykach z przeszłości, to z powodu dzieł, jakie do naszych czasów przetrwały, w tym dzieł sławiących innych twórców, nauczycieli i mistrzów. Od takiej właśnie muzyki epitafijnej rozpoczął się jubileuszowy festiwal.

A zaprezentował ją 19 sierpnia w kolegiacie Bożego Ciała wielki Jordi Savall, który koncert swój poświęcił pamięci ukochanej żony – Montserrat Figueras (1942–2011), tytułując go wymownie *Tombeau „Les Regrets"*. Grą na violi da gamba wystawił swoisty nagrobek żonie z żalu po jej stracie, tym dotkliwszego, że razem działali na polu muzyki. Dramaturgia tego koncertu została przez Savalla pomyślana mistrzowsko: przebiegała od śmierci (części *Les Pleurs* – opłakiwanie i *Les Regrets* – żal, ból po stracie), przez marzyciela (*La Reveuse*), którym staje się każdy, kto przypomina sobie cudowne chwile spędzone z najbliższą i ukochaną osobą, po głos ludzki (*Les Voix Humaines*), czyli nadzieję na artystyczną nieśmiertelność, podtrzymywaną przez kolejne pokolenia twórców. Ostatnia część koncertu wymownie przypomniała też o profesji Montserrat Figueras i o tym, że została ona po śmierci tym właśnie, czym była najbardziej w życiu – pięknym głosem. Artysta unieśmiertelnia się poprzez sztukę. Po dawnych wykonawcach pozostał jedynie ślad pisany, jakaś wzmianka. Po współczesnych zaś pozostają – na szczęście – także nagrania, które wprowadzają artystów i ich dzieła na zupełnie nowe pole trwania w kulturze.

Savall prosił o *niewyrażanie podczas koncertu emocji brawami*. Miał rację. Jego gra, będąca niezwykłym, bo muzycznym opłakiwaniem, oraz zawarty w niej ładunek żalu, nostalgii i zadumy sprawiły, że wszyscy oniemieli. We wnętrzu kolegiaty viola Savalla brzmiała zjawiskowo! Siedzący w półmroku artysta stworzył niepowtarzalny klimat. Na końcu, po chwili absolutnej ciszy po wybrzmiewającym jeszcze ostatnim dźwięku, zerwał się huragan długo niemilknących braw. Następnego dnia Savall został w ratuszu uroczyście mianowany Honorowym Obywatelem Miasta Jarosławia, za co podziękował w ujmujący sposób – improwizując na swojej violi.

Anna Kaplita

Chór Byzantion

Że muzyka unieśmiertelnia, można się było przekonać także w czasie koncertu The School of Night, czyli berlińskiej szkoły zajmującej się na co dzień wykonywaniem utworów Johna Dowlanda (1563–1626) i repertuaru pieśniowego epoki elżbietańskiej. Bohaterem utworów Dowlanda jest Robert Devereux, 2nd Earl of Essex, wierny i lojalny poddany Elżbiety I, obdarzający ją miłością dworską, pełną taktu i kultury. Pieśni Dowlanda są małymi dramatami, zawierającymi wszystkie emocjonalne niuanse, dotyczące spraw bardzo ze sobą powiązanych w tamtych czasach – polityki i miłości. Także i w nich – tak jak w dramatach Shakespeare'a – miłość, nienawiść, niewierność, zbrodnia i ich konsekwencje tworzą kanon tematyczny. Fascynująca jest historia powstawania pieśni; warto podkreślić filozoficzny kontekst, czyli obecność myśli Platona i jego najwybitniejszego ucznia – Arystotelesa, piszącego w *Polityce* o *sile i mocy muzyki*, mającej *zdolność poruszania ludzkiej duszy*, co zresztą od Platona przejął. Ten filozoficzny kontekst ściśle wiąże się z myślą Horacego, a pieśni bez wątpienia stanowią przykład takiej muzyki, która ma moc unieśmiertelniania.

Maria Skiba swoim nieskazitelnym sopranem, do pieśni wprost stworzonym (a dała się już poznać na festiwalu w 2010 roku, prezentując zupełnie nieznaną twórczość pieśniową Barbary Strozzi), wyśpiewała je bardzo pięknie przy znakomitym, wyrafinowanie dyskretnym akompaniamencie lutni Franka Pschichholza. Ten kameralny koncert, który odbył się 23 sierpnia w małym kościele Ojców Franciszkanów, wywarł na niżej podpisanej ogromne wrażenie. Kultura artystów, ich ujmująca obecność i jednocześnie znakomite oddanie klimatu poszczególnych pieśni – pozwoliły słuchaczom na wejrzenie w angielską kulturę tamtego niezwykłego

Michał Mach

Lucilla Galeazzi

czasu w nieco inny sposób niż poprzez dramaty Shakespeare'a.

Z *memento mori* najściślej powiązany został natomiast wieczór festiwalowy 22 sierpnia. Wypełniła go prezentacja panichidy, czyli oryginalnego bizantyjskiego nabożeństwa za dusze zmarłych, tu odprawionego w pięknej intencji współtwórców i przyjaciół festiwalu. Nabożeństwo, w całości śpiewane długością i intensywnością hymnicznych pień prześwietnego chóru męskiego Byzantion, było w stanie zmęczyć tych, którzy nie znaleźli odpowiedniego miejsca nie tyle do siedzenia, ile do stania. Śliczna bowiem, ale wewnątrz maleńka cerkiew Przemienienia Pańskiego nie mogła pomieścić wszystkich chętnych do słuchania niezwykłych, prezentowanych tam już tradycyjnie dzieł ze Wschodu. Muzyka stricte żałobna ma do odegrania bardzo ważną rolę. Zatem długość i wymowa takiego śpiewanego nabożeństwa wiąże się właśnie z ową misją – ukojenia i podniesienia na duchu tych, którzy stracili kogoś bliskiego, z drugiej zaś strony – pomocy zmarłemu w jego przejściu w zaświaty, co znamy z obrządków różnych religii. Zespół Byzantion, na czele z protopsaltą Adrianem Sarbu, kultywuje najstarsze tradycje śpiewu bizantyjskiego, a właściwie mającego już ponad 500 lat śpiewu rumuńskiego. Surowość melodyki i jej emocjonalna powściągliwość, przełożone na jakże czysto, silnie i momentami groźnie brzmiące głosy męskie, nie pozostawiły obojętnymi uczestników tego mrocznego i zarazem oczyszczającego spektaklu.

Wieczorem 24 sierpnia w kościele Świętego Mikołaja i Stanisława zabrzmiały religijne pieśni staropolskie, których tematyka dotyka śmierci i życia wiecznego. Śmierć dla nas jest zawsze jakąś tragedią (taką też i wymowę mają owe pieśni). Tym nie różnimy się od naszych przodków. Ale tym, że wyrugowaliśmy z naszego życia *memento mori* i udajemy, że śmierć nie istnieje, różnimy się znacznie. Szesnastowieczne pieśni, w przeciwieństwie do współczesnych, służyły bowiem przede wszystkim wzmocnieniu poczucia nieuchronności śmierci poprzez swój wzniosły, pokutny i modlitewny charakter i miały za zadanie poruszyć do głębi grzesznego i małego człowieka. Pewnie dlatego te wyśpiewane białym głosem przez Adama Struga, znanego specjalistę od ludowego śpiewokrzyku, jak taki głos również się określa, zrobiły na słuchaczach ogromne wrażenie: mocno nimi wstrząsnęły. Ich charakter jest dla nas bardzo odległy, co nie znaczy, że nie poruszający, a także – pouczający.

Zupełnie inny charakter, pokazujący oswajanie *memento mori* przez jarmarczne, ludyczne działania najniższych warstw społecznych, miało przeniesienie wprost ze średniowiecza niezwykle żywiołowego spektaklu *Ore plangamo de lu Signore* (akwilejskiej pasji jarmarcznej z *Kodeksu Celestyna V*). Był on tak dynamicznie i ochoczo przez aktorów-śpiewaków-muzykantów zaprezentowany, że można się było poczuć przeniesionym na włoską prowincję tamtego czasu. Wokalny wstęp – opowieść o pojmaniu Jezusa i o tym wszystkim, co wydarzyło się aż do Jego pogrzebu – oraz następujące po nim mówiono-grane i śpiewane przedstawienie zostały mistrzowsko odtworzone przez włoski zespół Micrologus i znakomitą solistkę Lucillę Galeazzi w roli Marii (20 sierpnia, kościół Dominikanów). Sugestywność przekazu Włochów, których mowa ciała była wprost niezwykła, pozwoliła obecnym, mimo niezrozumiałego tekstu starowłoskiego, prawidłowo odebrać spektakl zarówno w jego warstwie semantycznej, jak i emocjonalnej. Można było dojść do zadziwiającego wniosku, że Pasji Chrystusowej nie opowiada się z namaszczeniem, a muzyka brzmi dość wesoło. To zdaje się stała odmienność religijności włoskiej i w ogóle jej typu południowego, która nie jest tak smutna, czy wręcz ponura i skostniała, jak w krajach Północy. Porównanie tej muzyki choćby z polskimi pieśniami późnego średniowiecza zdaje się potwierdzać tę tezę.

Także i śpiewy pałacowe z okresu renesansu karolińskiego, sprzed tysiąca i więcej lat, zaprezentowane 21 sierpnia w kolegiacie Bożego Ciała, potwierdziły, że ludy Północy są zatrważająco ponure, surowe i uwielbiają – wojny. Słuchając tych *Frankish Phantoms*, robiło się ciężko od germańskiej dumy i waleczności, opiewanej w lamentach, eposach i pieśniach pochwalnych. Tu akurat rozumienie tekstów nie stanowiło

Anna Kaplita

Dancerye i Adam Strug

problemu, ponieważ tłumaczenia były na bieżąco wyświetlane na ekranie, ale trudno było znieść zawartą w nich tak wielką dawkę okrucieństwa i tragedii (tylko nieco złagodzoną przez muzykę), zostawioną nam przez starogermańskich twórców – chyba głównie jako przestrogę. Benjamin Bagby wspaniale śpiewał i grał na sześciostrunnej harfie germańskiej. Dobrał sobie świetnego partnera – z prawdziwie rosyjskim timbre głosu – Wolodymyra Smishkewycha. A w trójkę z flecistą Norbertem Rodenkirchenem, grającym też na dawnym instrumencie szarpanym o nazwie *cithara*, tworzyli niezwykły zespół. Przytłaczająca i przygnębiająca była wymowa tego koncertu. Okres karoliński to nie był czas, w którym chciałoby się żyć, a tym bardziej śpiewać i grać, nawet będąc cesarzem. Jedyna pociecha, że muzyka mogła pomagać w łagodzeniu obyczajów, o czym napomykał już stary Arystoteles.

Pomysł, aby zakończyć dwudziesty, jubileuszowy festiwal takim fajerwerkiem muzycznym, jakim jest *Mesjasz* Georga Friedricha Händla, był znakomity. Jest to bowiem niezaprzeczalne arcydzieło, a słynne, żyjące własnym życiem *Alleluja* to najcudowniejsze i najradośniejsze wychwalanie Boga, jakie wyszło kiedykolwiek spod pióra kompozytora. Tak więc 25 sierpnia w kościele Dominikanów soliści: Maria Skiba (sopran), Petra Noskaiova (alt), Jaroslav Březina (tenor) i Sebastian Szumski (bas), a także Chór Festiwalowy, Akademicki Chór Politechniki Śląskiej w Gliwicach oraz Barokowa Orkiestra Wyszehradzka pod dyrekcją Roberta Hugo – zakończyli przy wielkim aplauzie licznie zgromadzonej publiczności koncertową część dwudziestego festiwalu. Ten utwór o radosnej wymowie był klamrą zamykającą festiwal; pokazał, że sztuka może pokonać *memento mori* i dać nadzieję na *non omnis moriar*.

Po tradycyjnej *Missa Gregoriana*, odśpiewanej przez kantora Marcina Bornusa-Szczycińskiego i uczestników festiwalu w niedzielny poranek 26 sierpnia u Dominikanów, można było wracać do domu, aby pozbierać w sobie i uporządkować tę różnorodność wrażeń, emocji i wiedzy, jaką dostarczył XX Festiwal „Pieśń Naszych Korzeni".

Summary

Between the *memento mori* and *non omnis moriar.* Twentieth Early Music Festival 'Song of Our Roots'

Twentieth, jubilee Early Music Festival 'Song of Our Roots', persistent in bringing closer and preserving tradition, has also became a tradition. Great concerts, its atmosphere, the level and rank of the event – that all attract crowds of regulars and newcomers to Jarosław. Each edition has more or less explicit keynote. This year can be summarized in two Latin sentences – between the *memento mori* and *non omnis moriar*. Immortalizing power of Jordi Savall's art and songs played by him, songs of John Dowland, Byzantine devotion for the souls of dead, the Italian medieval fairground passion or dark Frankish songs by Benjamin Bagby – everything was to listen to and see live. And the event's culmination with *The Messiah* of G.F. Handel – was definitely optimistic tone. The festival has once again showed how art can immortalize and how organizers may successfully revive forgotten music traditions.

Translated by Sylwia Mikuła

Iwona A. Siedlaczek – muzyk, filozof muzyki, dyplomowana nauczycielka gry na skrzypcach. Autorka prac o muzyce XVIII–XX wieku, muzyce masońskiej XVIII–XIX wieku, polskich kompozytorkach, takich jak Maria Szymanowska, Grażyna Bacewicz, Barbara Buczek, „snach muzycznych" i o filozofii Andrzeja Nowickiego. Mieszka w Lublinie.

Rękopis znaleziony na strychu

Missa solemnis h-moll Ignaza Rittera von Seyfrieda

Monika Maziarz

W poniedziałek, 5 listopada, w przemyskiej bazylice archikatedralnej odbył się niezwykły koncert. Po 181 latach od pierwszego wykonania zabrzmiała *Missa solemnis h-moll* austriackiego kompozytora Ignaza Rittera von Seyfrieda (1776–1841).

Nie doszłoby do tego wydarzenia, gdyby nie odkrycie, jakiego w 2008 roku dokonał prof. Kazimierz Górski (1944–2009), wybitny dyrygent, kompozytor i muzykolog związany z KUL i UMCS. Było to wkrótce po tym, jak otrzymał od pewnej mieszkanki Lublina stertę starych nut znalezionych na strychu lubelskiej kamienicy. Wśród nich znajdowała się kopia rękopisu *Missa solemnis h-moll* Ignaza Rittera von Seyfrieda. (Nie znamy daty jej sporządzenia. W 1928 roku została zdeponowana w archiwum parafialnym w Kłodzku, a do Lublina trafiła najprawdopodobniej w 1984 roku). Przejrzawszy kompozycję, profesor uznał ją za niezwykle cenną pod względem artystycznym, choć o jej autorze nic wcześniej nie słyszał. Miał zresztą szczęście do zapomnianych twórców – odnalazł w archiwach wiele nieznanych dzieł kompozytorów polskich XVII i XVIII wieku, między innymi Jana Wańskiego i Józefa Zeidlera, które następnie opracował i dyrygował ich prawykonaniami. Ponieważ jednak był pochłonięty realizacją innych projektów muzycznych, kopię rękopisu mszy przekazał swojemu przyjacielowi i dawnemu uczniowi, ks. prał. dr. Mieczysławowi Gniademu z Przemyśla, z prośbą, by ją opracował i doprowadził do prawykonania utworu.

www.ozg-orpheus.nl

Ignaz Ritter von Seyfried, litografia Josefa Kriehubera z 1829 roku

Zanim jednak ks. Gniady spełnił życzenie swojego mentora, przewertował literaturę muzyczną w poszukiwaniu śladów twórczości Seyfrieda, gdyż w Polsce był on właściwie nieznany. Po żmudnych staraniach udało mu się zdobyć książkę o kompozytorze, autorstwa jego krewnej Bettiny von Seyfried, dzięki której dotarł do oryginalnego manuskryptu mszy, znajdującego się w zbiorach Austriackiej Biblioteki Narodowej w Wiedniu. Okazało się, że różni się on od kopii, ponieważ zawierał dodatkowe trzy części mszy, tak zwane zmienne, oraz zapis partii organów w postaci basu cyfrowanego. Ks. Gniady zrealizował bas cyfrowany, zamieniając na nuty treść muzyczną tej partii ukrytą w cyfrach, zrobił też wyciąg fortepianowy, a następnie przygotował utwór do wykonania poprzez szereg niezbędnych modyfikacji.

Zwieńczeniem dwuletniej pracy nad dziełem Seyfrieda był wspomniany koncert, którego wysłuchała niezwykle liczna publiczność. Udział w nim wzięli: soliści z chóru kameralnego „A cappella Leopolis" ze Lwowa: Adriana Czuczman (sopran), Romanna Huńko (alt), Wołodymyr Gadzało (tenor) i Jurij Gadzecki (bas), chór „A cappella Leopolis", Archidiecezjalny Chór „Magnificat" z Przemyśla oraz Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Podkarpackiej im. Artura Malawskiego w Rzeszowie pod dyrekcją ks. Mieczysława Gniadego. Koncert wzbogaciły rozważania wprowadzające w klimat poszczególnych części utworu, odczytane przez ich autora, ks. prał. Zbigniewa Suchego.

Uczeń Polihymnii

Dzięki prawykonaniu *Missa solemnis h-moll* wielu po raz pierwszy usłyszało o Seyfriedzie, który – jak się okazuje – był wybitną osobowością. Sporo ciekawych informacji o kompozytorze dostarczają dwie publikacje w języku niemieckim, oparte w dużym stopniu na zapiskach Seyfrieda: wydana siedem lat po jego śmierci biografia autorstwa Augusta Schmidta oraz wspomniana już książka Bettiny von Seyfried z 1990 roku[1].

Ignaz Ritter von Seyfried urodził się 15 sierpnia 1776 roku w Wiedniu.

[1] Vide: A. Schmidt, *Denksteine. Biographien von Ignaz Ritter von Seyfried*, Wien 1848; B. von Seyfried, *Ignaz Ritter von Seyfried. Thematisch-bibliographisches Verzeichnis. Aspekte der Biographie und des Werkes*, Frankfurt am Main–Bern–New York–Paris 1990.

Adam Podulka

Adriana Czuczman (sopran), Romanna Huńko (alt), Wołodymyr Gadzało (tenor), Jurij Gadzecki (bas), dyryguje ks. Mieczysław Gniady

Już w dzieciństwie przejawiał talent muzyczny, który rozwijał między innymi pod okiem Wolfganga Amadeusza Mozarta. W młodości studiował filozofię w Pradze oraz prawo w Wiedniu (był o krok od uzyskania doktoratu z prawa), ostatecznie jednak, w dużej mierze za namową osobistości wiedeńskiego życia muzycznego, *nie został* – jak pisze Schmidt – *kapłanem Temidy, lecz uczniem Polihymnii*. W latach 1797–1826 był kapelmistrzem w Freihaus-Theater Emanuela Schikanedera i w Theater an der Wien. Na prośbę swojego przyjaciela Ludwiga van Beethovena w 1805 roku dyrygował prapremierą jego *Fidelia*. W trakcie działalności w teatrze wystawiał własne dzieła sceniczne, głównie singspiele, melodramaty, farsy i opery. Wśród tych ostatnich największy entuzjazm wywołała *Der Wundermann am Rheinfall* (1799), której pogratulował mu sam Joseph Haydn. Uznanie zdobyły też jego dramaty biblijne, takie jak *Saul*, *König von Israel* (1810) czy *Abraham* (1817).

Od 1827 roku, po przejściu na emeryturę, Seyfried tworzył już prawie wyłącznie muzykę religijną i tylko sporadycznie występował jako dyrygent. Ciągle jednak cieszył się poważaniem zarówno w środowisku muzycznym, jak i u publiczności. Był członkiem licznych stowarzyszeń muzycznych w kraju i za granicą. W ostatnich latach życia mocno podupadł na zdrowiu. Mimo to nadal komponował, pisał artykuły do czasopism i udzielał lekcji muzyki (jego uczniem był między innymi Franz von Suppé). Pod koniec życia popadł też w kłopoty finansowe, ale nie tracił wiary i optymizmu, poddając się całkowicie woli Bożej. 15 sierpnia 1841 roku napisał w swoim pamiętniku: *Tak więc znów odkładam pióro. Czy jeszcze kiedyś po nie sięgnę, jest w ręku Boga*. Po pióro już nie sięgnął. Zmarł w nocy z 26 na 27 sierpnia[2]. O jego śmierci donosiła wiedeńska prasa w licznych nekrologach, a na pogrzeb przybyły tłumy przyjaciół, artystów i wielbicieli. Został pochowany na cmentarzu Währing naprzeciw grobów Ludwiga van Beethovena i Franza Schuberta.

Dorobek twórczy Seyfrieda obejmuje 332 dzieła: opery, melodramaty, singspiele, kompozycje do sztuk teatralnych, symfonie, koncerty, kantaty, pieśni, utwory kameralne oraz wiele dzieł o charakterze sakralnym, w tym 20 mszy, a także liczne opracowania utworów religijnych takich twórców, jak Georg Friedrich Händel i Giovanni Pierluigi da Palestrina.

Dar dla syna

Zaprezentowany w Przemyślu utwór powstał w 1830 roku. Seyfried skomponował go z myślą o zbliżającej się prymicji swego syna, Leopolda,

[2] Datę tę podaje A. Schmidt. Cytuje też napisany przez siebie nekrolog, zamieszczony na łamach „Allgemeine Wiener Musik-Zeitung", w którym precyzuje, że kompozytor zmarł 26 sierpnia pomiędzy godziną 21.45 a 22.00, vide: idem, op. cit., s. 34. Natomiast opracowania encyklopedyczne za dzień śmierci kompozytora uznają 27 sierpnia, vide: *Seyfried Ignaz Xaver* [w:] *Britannica. Edycja polska*, t. 39, Wydawnictwo Kurpisz, Poznań 2004, s. 33; *Seyfried Ignaz Xaver, Ritter von* [w:] *Encyklopedia muzyczna PWM. Część biograficzna*, pod red. E. Dziębowskiej, PWM, Kraków 2007, s. 236.

Połączone chóry „A cappella Leopolis" ze Lwowa i „Magnificat" z Przemyśla oraz Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Podkarpackiej im. Artura Malawskiego w Rzeszowie

który wstąpił do opactwa Benedyktynów w Melku. To właśnie tam 15 sierpnia 1831 roku, w czasie uroczystości prymicyjnej, dzieło zostało wykonane po raz pierwszy, pod batutą samego kompozytora. Prawdopodobnie niektóre fragmenty mszy zabrzmiały jeszcze w 1841 roku, także w klasztorze w Melku, z okazji jubileuszu 50-lecia kapłaństwa opata.

Missa solemnis (msza uroczysta) *h-moll* to kompozycja na cztery głosy solowe, chór mieszany i orkiestrę symfoniczną. Składa się z 16 części: rozbudowanych części stałych (*ordinarium missae*) oraz 3 części zmiennych (*proprium missae*): *Introitus: Veni, Sancte Spiritus*, *Graduale: Assumpta est Maria*, *Offertorium: Ave Maria*. Większość z nich utrzymana jest w stylu klasycznym, pozostałe zaś wyraźnie wykazują cechy wczesnoromantyczne, typowe dla okresu przejściowego. W utworze uwidacznia się znakomity warsztat kompozytorski Seyfrieda. Przejawia się on między innymi w swobodnym operowaniu stylem, poprawnym i starannym wykorzystaniu tekstów liturgicznych, biegłości kontrapunktycznej (3 fugi), urozmaiconej harmonice czy wreszcie w bogatej inwencji melodycznej, widocznej zwłaszcza w partiach solowych i chóralnych. Szczególnie pod tym ostatnim względem austriacki twórca zasługuje na miano mistrza, a jego msza uroczysta jawi się jako dzieło wysokiej próby.

Od Zeidlera do Seyfrieda

Ignaz Ritter von Seyfried to nie pierwszy mało znany kompozytor, którego twórczość rozpropagował ks. Mieczysław Gniady. W 2007 roku, również w bazylice archikatedralnej w Przemyślu, pod dyrekcją duchownego zostały wykonane dwa dzieła Józefa Zeidlera: *Litania de Beata Maria*

Adam Podulka

Virgine d-moll oraz *Stabat Mater d--moll*. Zeidler urodził się około 1744 roku. Około 1775 roku już jako znany artysta przybył na Świętą Górę koło Gostynia (niedaleko Poznania), gdzie do śmierci w 1806 roku tworzył utwory sakralne dla potrzeb Oratorium św. Filipa Neri. Pozostawił po sobie blisko 40 kompozycji liturgicznych, w tym 10 mszy i 12 litanii. Do niedawna w historii muzyki polskiej zajmował mało znaczące miejsce. Dziś natomiast ma status jednego z najważniejszych kompozytorów polskiego klasycyzmu. To w dużym stopniu zasługa wielu wybitnych muzykologów, przede wszystkim prof. Kazimierza Górskiego, którzy w latach 60. XX wieku natrafili na jego rękopisy w klasztorze na Świętej Górze i rzetelnie je opracowali, czego wynikiem były prawykonania kilku z zapomnianych dzieł „polskiego Mozarta".

Drugie życie

Lubelskie znalezisko należy do najciekawszych dzieł muzycznych odkrytych w ostatnich latach w Polsce. Z pewnością zaliczyć do nich można także *Missa solemnis B-dur* Maksymiliana Koperskiego (1812–1886), znakomitego skrzypka i kompozytora, nazywanego „późnym wnukiem klasycyzmu", znalezioną w archiwach klasztoru Paulinów na Jasnej Górze. A to jedynie przykład odkrycia pięknej kompozycji pośród bogactwa muzycznych skarbów, jakie kryją jasnogórskie zbiory.

Wiele cennych odkryć pochodzi też ze wspomnianych archiwów klasztoru Filipinów na Świętej Górze. Są wśród nich nie tylko dzieła Zeidlera, ale także Koperskiego oraz innych świętogórskich i związanych z Gostyniem kompozytorów. Co ważne, ich zapomniana, ale wartościowa twórczość od 2006 roku promowana jest na gostyńskim festiwalu „Musica Sacromontana", który z każdą edycją przyciąga znamienitych wykonawców oraz rzesze słuchaczy.

Co jakiś czas także z zagranicy docierają do nas rewelacje na temat odkryć nieznanych kompozycji. W 2011 roku na poddaszu jednego z domów w Tyrolu znaleziono notatnik z *Sonatą C-dur* Mozarta, napisaną przez niego w dzieciństwie, około 1767 roku. Kilka miesięcy temu odkryto dzieło innego klasyka wiedeńskiego, Beethovena, z około 1820 roku, zapisane obok niektórych oryginalnych szkiców *Missa solemnis D-dur* w szkicowniku, który znajduje się obecnie w Berlinie. Oba utwory miały swoje prawykonania w tym roku.

Nie wszystkie znaleziska tego typu mają dużą wartość artystyczną, ale – jak widać – zdarzają się wśród nich prawdziwe perełki, wzbogacające naszą wiedzę o kulturze muzycznej minionych czasów. Te do niedawna pokryte kurzem dzieła dziś są coraz śmielej upowszechniane, dzięki czemu mają szansę na zaistnienie w powszechnej świadomości. Taką szansę ma też *Missa solemnis h-moll* Ignaza Rittera von Seyfrieda.

Summary

Manuscript found in the attic. *Missa solemnis h-moll* by Ignaz Ritter von Seyfried

The 5th of November was a special day in Archcathedral Basilica of Przemyśl, where a premiere of *Missa solemnis h-moll* by Austrian composer Ignaz Ritter von Seyfried was held. Previous performance took place on 15th August 1831 in Benedictine Abbey of Melk (Austria) during celebrations of the composer son's first Mass, for which the music had been especially created. Ignaz Ritter von Seyfried (1776–1841) was an Austrian composer, orchestra conductor associated with the scene of *Theater an der Wien*, he was also the student of Mozart, Beethoven's friend and had the great authority in Vienna. His musical achievements include 332 works, mainly stage compositions and religious music. The concert in Przemyśl took place because of finding a copy of the manuscript of the Mass in the attic of house in Lublin. The copy went to the professor Kazimierz Górski (1944–2009), an outstanding orchestra conductor, composer and musicologist and explorer of many unknown compositions, who very quickly knew that he was dealing with a truly interesting work. Górski commissioned the elaboration of Seyfried's Mass to his student, friend and priest dr. Mieczysław Gniady from Przemyśl, who after many months of work on the composition led to the concert, which took place under his baton. The performers were the soloists and the choir of 'A cappella Leopolis' from Lviv, Archdiocesan Choir 'Magnificat' from Przemyśl and Symphonic Orchestra of Carpathian Philharmony from Rzeszów. Seyfried is not the first little-known composer promoted by priest Gniady. In 2007 year in Archcathedral of Przemyśl sounded *Litania de BMV d-moll* and *Stabat Mater d-moll* by Joseph Zeidler, a prominent composer of religious music of the late eighteenth and early nineteenth century.

Translated by Sylwia Mikuła

Ameryka górą!

XII Międzynarodowy Festiwal Jazzowy „Jazz bez…", Przemyśl, 6–9 grudnia 2012

Wojciech Kalinowski

To, że Stany Zjednoczone są matecznikiem jazzu, to banał. Ale to, że na imprezie, która z założenia ma promować dokonania polskich i ukraińskich jazzmanów, dominować będą Amerykanie, to już takie oczywiste nie jest.

Przemyską edycję XII Międzynarodowego Festiwalu Jazzowego „Jazz bez…" można by skwitować stwierdzeniem, że się odbyła…, i na tym poprzestać. Można by, gdyby nie właśnie Amerykanie, których występy na festiwalu zasługują na lepsze potraktowanie.

Na początek dobry koncert w Centrum Kulturalnym dał trębacz Eddie Henderson z polskim zespołem Tomek Grochot Quintet. Ten znakomity muzyk, znany głównie ze współpracy z Herbiem Hancockiem i Jazz Messengers, dał popis gry na trąbce nie tylko jako solista, ale także jako świetnie rozumiejący się z polskimi muzykami członek zespołu. A wystąpił z bardzo dobrymi jazzmanami, bo w Kwintecie Tomka Grochota grają: Maciej Sikała – saksofony, Dominik Wania – instrumenty klawiszowe, Max Mucha – kontrabas i lider na perkusji. Koncert wypełniły utwory z płyty *My Stories* z 2008 roku.

Drugim muzykiem ze Stanów Zjednoczonych, który przydał blasku festiwalowi, był gitarzysta Mike Russell. Artysta ten w latach 70. współpracował z Andym Warholem, a największy sukces osiągnął jako kompozytor utworów z płyty *Black Woman* Glorii Taylor, nagrodzonej w 1970 roku statuetką Grammy. Russell, gitarzysta i wokalista, tworzy muzykę łączącą blues, jazz i soul. Na scenie towarzyszyli mu młodzi wrocławscy muzycy – grupa Kłos & Dąbrowski Project. Russell to showman błyskawicznie nawiązujący kontakt z publicznością, której przekazuje wielką dawkę energii i którą zaraża radością muzykowania. Szkoda tylko, że tak niewielu ludzi przyszło do Starego Browaru, by tę radość z artystą dzielić.

Wojciech Kalinowski

Alex Maksymiw z Vinita Formation

Trzeci Amerykanin na „Jazz bez…" to perkusista Frank Parker, który zasilił międzynarodową Vinita Formation. To, że zespół tworzą instrumentaliści z różnych stron świata: Ukrainy, Kanady, USA, nie było przeszkodą w osiągnięciu muzycznego porozumienia, przeciwnie: stało się atutem zespołu, którego członkowie wnieśli bardzo różne doświadczenia artystyczne do wspólnego projektu.

Na włączenie do tej listy amerykańskich dokonań na „Jazz bez…" zasługuje występ… lwowskiego zespołu Dzyga Jazz Quintet. Grupa ta, znana przemyskiej publiczności od niepamiętnych czasów, gra konsekwentnie na wskroś amerykańską muzykę, i mimo że składa się wyłącznie z muzyków ukraińskich, zasługuje na honorowe miano amerykańskiego bandu.

Występy pozostałych wykonawców przemyskiej edycji XII Międzynarodowego Festiwalu Jazzowego „Jazz bez…" nie zapadły mi w pamięć na tyle, bym mógł coś pozytywnego o nich napisać, i to nie dlatego, że dali je muzycy, którzy są posiadaczami paszportów innych krajów niż Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Wojciech Kalinowski

Dzyga Jazz Quintet

Wojciech Kalinowski

Eddie Henderson

Wojciech Kalinowski

Mike Russell

„Jasnowidz Stalina" nad Sanem?

O Wolfie Messingu i jego przemyskim epizodzie

Krzysztof Bortnik

Jesienią 1940 roku do jednego z moskiewskich banków wkroczył tajemniczy mężczyzna. Przez chwilę wpatrywał się intensywnie w kasjerkę, a następnie, wręczając jej czystą kartkę, poprosił o zrealizowanie czeku. Kobieta uważnie przeanalizowała „dokument", po czym wypłaciła okazicielowi niebagatelną kwotę 100 tysięcy rubli. A choć zdarzenie to wyglądać może na wyjęte z kart *Mistrza i Małgorzaty* Michaiła Bułhakowa, liczne źródła utrzymują, że miało miejsce w rzeczywistości. Mężczyzną, który za pomocą hipnozy zasugerował kasjerce autentyczność czeku, był polski jasnowidz i telepata, Wolf Messing, zaś inspiratorem akcji – sam Józef Stalin.

Stalinowi oczywiście ani w głowie było obrabianie radzieckich banków, łup został zatem niebawem zwrócony[1]. „Skok" stanowił jedynie test

Ze zbiorów Michaiła Wasina (wydawnictwo „Enigma", Moskwa)

Wolf Messing

[1] E. Wołodarski, *Wolf Messing. Jasnowidz z Góry Kalwarii*, przeł. A. Palacz, Warszawa 2012, s. 280–283; J. Lamparska, P. Kałuża, *Kto się bał Wolfa Messinga?*, „Focus Historia" 2012, nr 9, s. 39. Nieco inną wersję zdarzenia przytaczał Viktor Farkas (*Niewytłumaczalne zjawiska*, przeł. K. Żak, Warszawa 1994, s. 73–74). Messing nie zahipnotyzował przy kasie kobiety, ale mężczyznę, który w momencie zwracania pieniędzy doznał ataku serca. W istocie bowiem brak odporności na sztuczki magnetyzera (niegodny przecież radzieckiego urzędnika, zwłaszcza w czasach, kiedy „wróg" czyhał za każdym rogiem) mógł się dlań skończyć „zaproszeniem" na „kawkę u Berii". Co więcej, tamtejszy system bankowy w ogóle wykluczał możliwość

umiejętności Messinga, zaliczony przezeń celująco, dzięki czemu jasnowidz zdołał wkraść się w łaski dyktatora, służąc mu odtąd radą i pomocą. Tak ponoć wyglądał początek kariery telepaty w Związku Radzieckim, która z czasem zyskała mu przydomek „jasnowidza Stalina".

Podobnych wyczynów w życiorysie Messinga nie brakuje. Finał II wojny światowej przewidzieć miał na dwa lata przed jej wybuchem[2]. Nieprzeciętne zdolności hipnotyczne pozwoliły mu ponoć wydostać się w 1939 roku z rąk Gestapo, a nieco później z radzieckiej Łubianki. Dzięki nim także potrafił ominąć kremlowskie straże i bez upoważnienia wkroczyć do gabinetu Stalina. Jadąc pociągiem, nie musiał wydatkować się na bilet, zawsze wystarczyło wręczyć kontrolerowi jakikolwiek świstek papieru. Krążą pogłoski, że pomagał radzieckim decydentom „ustawiać" rozgrywki szachowe tudzież szkolił agentów KGB z technik hipnozy. Jego dar telepatii miano wykorzystywać w działalności wywiadowczej.

O większości z tych doniesień można wszak powątpiewać, i to nie tylko ze względu na raczej niecodzienny charakter (sugestia hipnotyczna jest zjawiskiem znanym nauce, zaś zdolności Messinga nigdy nie zdołano zakwestionować). Cień na ich autentyczność rzuca przede wszystkim fakt, że biografia jasnowidza obrosła w liczne legendy. Sprawcą zamieszania był zresztą sam Messing, który swój życiorys traktował instrumentalnie, modyfikując go gwoli doraźnych potrzeb. W Polsce na przykład, pragnąc uchodzić za biegłego talmudystę, rozsiewał pogłoski, iż jest poróżnionym z rodziną synem sławnego cadyka. Ponadto opowieść, że dla kariery scenicznej porzucił ustabilizowane życie, tworzyła wokół niego romantyczną otoczkę. Wersja ta uległa zasadniczej zmianie w ZSRR, gdzie – chcąc zapewne wykazać się właściwszym pochodzeniem klasowym – zdegradował rodzinę do rangi pospolitej biedoty. W rzeczywistości ojciec telepaty był prawdopodobnie drobnym handlarzem.

„Kraj Rad" 1969, nr 46

Wolf Messing, koniec lat 60.

Większość informacji o życiu Messinga pochodzi z opublikowanej pośmiertnie autobiografii *Я – телепат* (Jestem telepatą) oraz wspomnień *О самом себе* (O sobie samym), które w 1965 roku ukazywały się na łamach periodyku „Наука и религия" („Nauka i Religia")[3]. Dziś wiadomo bezsprzecznie, że gros zawartych tam faktów zmyślono, zaś faktyczne autorstwo[4] przypisuje się moskiewskiemu publicyście, Michaiłowi Chwastunowowi[5]. Mity te zostały dodatkowo ugruntowane przez powieść Eduarda Wołodarskiego *Вольф Мессинг: видевший сквозь время* (w Polsce wydana jako: *Wolf Messing. Jasnowidz z Góry Kalwarii*) oraz serial telewizyjny o tym samym tytule[6]. Oficjalnie więc telepata już jako szesnastolatek cieszył się ogromnym międzynarodowym rozgłosem. Ze swymi pokazami zjeździł cały glob (poza Europą występował w Australii, Japonii, Indiach oraz w krajach Ameryki Łacińskiej), poznając między innymi Sigmunda Freuda, Alberta Einsteina, Mahatmę Gandhiego i Adolfa Hitlera. Większość z tego – jak podkreślał polski tłumacz biografii jasnowidza, Andrzej Palacz – *to czystej wody fantazja, wymyślona przez niego samego* [...]. *O tym przeczytać możemy tylko w jego wspomnieniach, w których często sam sobie przeczył i mylił fakty*[7].

Mitem jest też, jakoby Bułhakow postać Wolanda wzorować miał na Messingu, pracę nad *Mistrzem i Małgorzatą* rozpoczął bowiem pod koniec lat 20., tymczasem kariera jasnowidza w Związku Radzieckim datuje się dopiero od roku śmierci pisarza (1940). Mógł więc co najwyżej

pobrania rzeczonych środków na podstawie czeku.

2 Nadmienić wypada, że inny znany jasnowidz, Stefan Ossowiecki, niespełna cztery miesiące przed wkroczeniem wojsk niemieckich do Polski zakwestionował taką ewentualność – vide: *Wojny w tym roku nie będzie – twierdzi inż. Ossowiecki*, „Dziennik Poranny" 1939, nr 108, s. 1.

3 Tekst dostępny online pod adresem: www.pseudology.org/chtivo/WolfMessing00.htm.

4 Messing ponoć słabo władał językiem rosyjskim.

5 Liczne mity dotyczące jasnowidza zdemaskował Nikołaj Kitajew w artykule: *„Криминалистический экстрасенс". Вольф Мессинг: правда и вымысел*, „В защиту науки" 2008, nr 4, s. 102–143. Tekst dostępny na stronie Rosyjskiej Akademii Nauk: www.ras.ru. Na ten temat vide też: Б. Соколов, *Вольф Мессинг*, www.lib.rus.ec/b/355080/read; A. Kowalska, *Podwójny żywot czarodzieja*, www.media.wp.pl/kat,1022957,wid,12018916,wiadomosc.html.

6 Serial ten przyczynił się zresztą do powstania kolejnej legendy. Kilka nieszczęśliwych wypadków, jakim uległy osoby zaangażowane w jego realizację, zapoczątkowało spekulacje na temat rzekomej „klątwy Messinga".

7 A. Palacz, *Epilog* [w:] E. Wołodarski, op. cit., s. 459–460.

Medard Konieczny, *Jaki startują o świcie*, Warszawa 1980

Polscy lotnicy na tle samolotu sfinansowanego przez Wolfa Messinga, lata 40.

dopełnić w fazie końcowej swego „Mefistofelesa" pewnymi cechami polskiego telepaty. Bardziej skłaniałbym się jednak ku wyjaśnieniu, że to „fikcyjnego Messinga" ukształtowano na wzór Wolanda. Publikacja, fragmentaryczna zresztą, *Mistrza i Małgorzaty* nastąpiła wprawdzie dopiero w 1966 roku, możliwe wszak, iż Chwastunow miał sposobność wcześniejszego zapoznania się z tym materiałem. Historia o przepowiedzeniu przez Messinga klęski III Rzeszy i wyroku śmierci wydanym nań przez Hitlera mogła natomiast zostać przetransponowana z życiorysu Erika Hanussena. Ten notabene również zasilił grono fikcyjnych znajomych Messinga, a do spotkania jasnowidzów – jak wyczytać można choćby z książki Wołodarskiego – dojść miało w 1936 roku, czyli trzy lata po zamordowaniu Hanussena!

Niekiedy powątpiewa się nawet o autentyczności jego relacji ze Stalinem. Niepodobna jednak przypuścić, aby bez aprobaty dyktatora jasnowidz mógł występować w Związku Radzieckim i uzyskiwać z tego tytułu dochody tak znaczne, iż lotnictwu wojskowemu ufundował lekką ręką dwa samoloty bojowe. Co więcej, na Kremlu wcale nie musiano wierzyć przepowiedniom Messinga. Jasnowidz, który wieścił upadek Hitlera, był po prostu w czasie wojny bardzo przydatnym narzędziem propagandowym. A i jego współpracy z wywiadem przyświecać mogły mniej nadprzyrodzone przesłanki (na przykład brytyjskie MI6 korzystało z usług jasnowidzów, aby odwrócić uwagę przeciwnika od faktycznych źródeł informacji)[8]. Przetrwał zresztą nie tylko stalinizm, ale i późniejsze zawirowania w ZSRR. Aż do śmierci 8 listopada 1974 roku pozostawał osobą publiczną, a przy tym wyjątkowo zamożną.

Musiał być dla władz użyteczny, skoro przymykano oko zarówno na bogactwo[9], jak i nadprzyrodzony charakter działalności jasnowidza. Ba, pogodzono ją nawet z panującym oficjalnie materializmem, nadając jego seansom rangę prezentacji naukowych[10]. Faktycznie zresztą pozostawał on typem badacza, szukającego racjonalnego wyjaśnienia posiadanych zdolności. Przez kilka dekad prowadził doświadczenia z zakresu parapsychologii, zaś pod koniec życia zainteresował się delfinami, których mózgi – jak sądził – mogą być szczególnie wyczulone na odbiór

8 I. Filc-Redlińska, *Führer i sztuka tajemna*, „Focus Historia" 2012, nr 9, s. 37.

9 Majątek jasnowidza znacjonalizowano dopiero po jego śmierci.

10 Vide m.in.: J. Moralewicz, *Wolf Messing – człowiek i mag*, „Kraj Rad" 1969, nr 46, s. 28.

bodźców telepatycznych. Nie zdążył jednak sfinalizować tej pracy.

Podkreślić wypada, iż choć w ZSRR znalazł nową ojczyznę, nie przestał poczuwać się do polskości (jeden z samolotów, które w grudniu 1943 roku podarował na cele wojenne, przeznaczony został dla polskich lotników z 1 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa")[11]. Przez cztery dekady żył wszak i działał na terenie naszego kraju. Ze szczątkowych informacji wiadomo, że urodził się 10 września 1899 roku w Górze Kalwarii pod Warszawą. Karierę rozpoczynał jako artysta cyrkowy. Samodzielnie występował prawdopodobnie od wczesnych lat 20. (choć możliwe, iż jego debiut nastąpił jeszcze pod koniec uprzedniej dekady), dochodząc z czasem do pewnego rozgłosu, nieporównywalnego jednak z tym, jakim cieszyli się Stefan Ossowiecki czy Teofil Modrzejewski. W latach 30. mieszkał we Lwowie. Po wybuchu II wojny światowej znalazł się w radzieckiej strefie okupacyjnej (według oficjalnej wersji zbiegł tam przed hitlerowcami, mógł wszelako po prostu przebywać w 1939 roku na terenach zajętych przez Armię Czerwoną). Początkowo aresztowany, zdołał wydobyć się z więzienia, a następnie wkraść w łaski decydentów sowieckich, co otworzyło nowy, bardziej spektakularny etap jego kariery.

O polskim okresie życia Messinga wiemy więc bardzo niewiele. Ten fragment biografii jasnowidza przyrównać można do czystej karty, którą badacze muszą dopiero zapełnić. Nie jest to łatwe zadanie, liczne dokumenty uległy bowiem podczas wojny zniszczeniu. Działalność jego wszelako zostawić musiała ślady na łamach przedwojennej prasy, a także w ówczesnych memuarach. Jeden z takich właśnie tropów wiedzie do Przemyśla.

Ze wspomnień Bolesława Ryszarda Główki dowiadujemy się otóż, iż na przełomie lat 1935–1936 w sali przemyskiego „Sokoła" występował słynny jasnowidz i telepata *Wolf M.*[12]. Nakreślone przez autora dalsze losy owej postaci nie pozostawiają wątpliwości, że chodzi o Messinga. W miejscowej prasie z tego okresu („Ziemia Przemyska", „Nowy Głos Przemyski", „Tygodnik Przemyski", „Wiadomości Przemyskie") nie odnalazłem jednak wzmianek potwierdzających niniejsze rewelacje. Można wprawdzie dopuścić, iż „Ziemia", z uwagi na swą antysemicką orientację, zignorowała występy telepaty, niepodobna wszak posądzić o to „Głosu" czy „Tygodnika", które pieczołowicie odnotowywały wizyty w mieście – nawet incydentalne – jego kolegów po fachu[13]. Niemniej wspomniane roczniki przemyskich czasopism są niekompletne, a i Główka mógł przecież zapamiętać rzecz niedokładnie i występy Messinga błędnie umiejscowić w czasie.

Mają one tu zresztą znaczenie drugorzędne. Istotniejszy jest fakt, iż jasnowidz był już wówczas zaznajomiony z rodziną Główków i nawet gościł w ich domu, nie po raz pierwszy bowiem wiatry przywiały go nad San. W tutejszym garnizonie odbywał wszak służbę wojskową, która – jeśli wierzyć samemu telepacie – rozpocząć się miała w 1921 roku[14]. Fakt ten potwierdza, zamieszczony w czerwcu 1922 roku na łamach „Nowego Głosu Przemyskiego", artykuł pod tytułem *Kariera telepaty Mesynga*, sławiący zdolności znakomitego jasnowidza w mundurze szeregowca. *Spotkałem go* – relacjonował anonimowy autor – *przypadkowo w gronie znajomych, gdzie przez dwa wieczory popisywał się swoim kunsztem.* [...] *Nie ulega wątpliwości, że ma się tu do czynienia z rzadkim fenomenem samorodnej w zakresie telepatii indywidualności, obdarzonej niepospolitą władzą jasnowidza.* [...] *A propos – jak słychać – tutejsi psychiatrzy wojskowi żywo tym fenomenem się interesują, czy nie byłoby więc wskazanym, aby zapoznać z nim także szerszy ogół publiczności miejscowej, choćby tylko celem okazania, że telepatia nie zawsze musi być narzędziem li tylko kuglarzy i oszustów*[15].

Postulat ten miał się niebawem spełnić, jasnowidz bowiem – o czym nadmieniał Główka – zasłynął nad Sanem wyświetleniem sprawy rabunku skór z magazynu wojskowego. W czerwcu 1922 roku „Wiadomości Miejskie" rzeczywiście donosiły o ujęciu szajki parającej się tego rodzaju procederem, nie wspominano wszak, aby do wykrycia rzezimieszków użyto metod niekonwencjonalnych[16]. Anonimowy telepata

11 Fakt ten odnotował w swych wspomnieniach Medard Konieczny (*Jaki startują o świcie*, wyd. II zmienione, Warszawa 1980, s. 173), błędnie jednak przyjmując, iż ofiarodawca był polonofilem bez polskich korzeni. Na kadłubie myśliwca widniał napis: *Dar profesora Wolfa Messinga dla polskich lotników w ZSRR.*

12 B.R. Główka, *Ślady przeszłości. Czas pokoju*, „Rocznik Przemyski" 2001, t. 37, z. 3, s. 139–140.

13 Vide: „Nowy Głos Przemyski" (dalej: „NGP") 1918, nr 37, s. 3; ibidem 1921, nr 23, s. 3; nr 46, s. 2; ibidem 1937, nr 15, s. 4; „Tygodnik Przemyski" 1935, nr 48, s. 3.

14 Istnieją domniemania, że jasnowidz mógł zostać zmobilizowany jeszcze podczas wojny polsko-radzieckiej, jednak z oczywistych przyczyn fakt ten postanowił w ZSRR zataić i datę swego powołania umiejscowił rok później.

15 *Kariera telepaty Mesynga*, „NGP" 1922, nr 26, s. 1–2. Autor pisał o jasnowidzu, iż *pochodzi z zamożnej rodziny żydowskich „cadyków" i sam posiada dużą wiedzę talmudyczną. Jako młody chłopak zbiegł z domu* [...]. *Pobierał następnie nauki w Instytucie Psychologicznym w Niemczech i stamtąd ruszył po „laury" na scenę. Był dłuższy czas sensacją kół hipnotyczno-telepatycznych w Berlinie, występował w cyrku Schumana, aż go koleje życia zawiodły do kraju rodzinnego. Warszawa zna go doskonale. Szereg pism stołecznych w ostatnich dwóch latach drukował o nim entuzjastyczne felietony, produkował się m.in. przed naczelnikiem państwa oraz gronem specjalistów naukowych, zyskując wszędzie niebywałe uznanie*. Do informacji tych należy jednak podchodzić z ostrożnością, prawdopodobnie bowiem autor usłyszał je od samego Messinga.

16 „Wiadomości Miejskie" (dalej: „WM") 1922, nr 27, s. 5.

dopomagał natomiast miesiąc później ustalić sprawcę kradzieży kosztowności[17]. Jego rewelacje nie potwierdziły się jednak, jeśli więc był to Messing, w tym wypadku laury go ominęły. Sprawa złodziei skór zyskała mu wszelako rozgłos wystarczający, by uczynić młodego szeregowca ulubieńcem przemyskich salonów. „Służbę" pełnił więc na przyjęciach, *w czasie których odczytywał pisma zamknięte w kopertach, zapieczętowane i umieszczone w zamkniętych biurkach czy szufladach. Oczywiście pisma o byle jakiej treści były komponowane komisyjnie – jasnowidz znajdował się wtedy w innym pokoju, a następnie w obecności tego samego ad hoc zebranego grona świadków pokazywał swój wspaniały dar jasnowidztwa informując zebranych o treści zawartego w kopercie pisma. Jego sława rozeszła się po mieście, a niektóre panie adwokatowe i doktorowe* [...] *starały się go nakłonić, aby swój niebywały talent wykorzystał na ujawnienie interesujących szczegółów odnoszących się do wierności ich mężów*[18]. Wątpliwe jednak, by Messing dał się wciągnąć w tego rodzaju intrygi. Mimo wszystko był tylko szeregowym żołnierzem, świadomym, iż łatwo może utracić przywileje, którymi cieszył się, póki jedynie brylował na przyjęciach i zabawiał przemyślan niewinnymi pokazami.

Messing trafił zresztą do miasta w sprzyjającym momencie. Zagadnienia hipnotyzmu czy telepatii cieszyły się wówczas nad Sanem żywym zainteresowaniem[19], niekiedy wzbudzając nawet przesadne emocje. Na przykład jesienią 1921 roku występ magnetyzera Romano zakłócony został przez sceptyka, którego „wyproszono" z sali, odwołując się do argumentów siłowych[20]. Ponoć właśnie duże powodzenie kolegów po fachu Messinga kilka miesięcy wcześniej skłoniło „Nowy Głos" do zaakcentowania, że i *Przemyśl ma swego W. de Müllersa, o którym również opowiadają wtajemniczeni wiele rzeczy oryginalnych. Okultysta, jasnowidz, wróżbista, grafolog, znawca psychy ludzkiej, w której czyta i przepowiada jak z nut. Wystarcza mu pismo, fotografia, data urodzenia* [...]. *Dziwny ten człowiek mieszka obecnie na Zasaniu*[21]. Dziś da się o nim powiedzieć chyba jeszcze tyle, że najprawdopodobniej nie był rodowitym Polakiem, rok później zamieścił bowiem na łamach „Wiadomości Miejskich" ogłoszenie zredagowane bardzo niepoprawną polszczyzną[22]. W 1918 roku gród nadsański odwiedził z kolei znany hipnotyzer i telepata, Kazimierz Radwan-Pragłowski[23]. A choć wizyta jego nosiła zgoła inny charakter, przypuszczać można, że i tym razem przemyska socjeta nie omieszkała skłonić niecodziennego gościa do kilku prywatnych pokazów.

Ze zbiorów Michaiła Wasina (wydawnictwo „Enigma", Moskwa)

Wolf Messing, lata 20.

Niewykluczone również, iż do częstych atrakcji należały nad Sanem seanse spirytystyczne, skoro w 1921 roku tutejsza kuria uznała za stosowne przestrzec przed tego rodzaju praktykami, prowadzącymi uczestników do pomieszania zmysłów[24]. Tylko zresztą między styczniem a kwietniem 1922 roku z cyklem odczytów na temat spirytyzmu, których celem było między innymi odwiedzenie słuchaczy *od szkodliwych dla zdrowia eksperymentów*, wystąpił miejscowy znawca zagadnienia, ksiądz Jan Kwolek, zaś przybyły ze Lwowa metapsycholog Edmund Libański wygłosił wykład pod tytułem *Tajemnica zjawisk spirytystycznych w świetle nauki*. Kilkakrotnie gościł też gród nadsański pisarza Stanisława Przybyszewskiego, który przybliżał przemyślanom problematykę tarota i czarnej magii[25].

Sądzić można, iż sensacje tego rodzaju traktowała przemyska elita po trosze jako ciekawostkę naukową, po trosze zaś jako emocjonującą zabawę. Większą zabobonnością odznaczali się natomiast

17 „NGP" 1922, nr 27, s. 3; nr 28, s. 2.

18 B.R. Główka, op. cit., s. 139.

19 W 1919 roku na łamach „NGP" ukazywał się periodycznie artykuł pod tytułem *Hypnoza w świetle nauki*, kilka lat później (1924) z odczytem dotyczącym zastosowania magnetyzmu w medycynie wystąpił nad Sanem Adam Czerbak. Już zresztą u schyłku XIX stulecia wyszła w Przemyślu rozprawa Kazimierza Waisa pod tytułem *Dziwy hipnotyzmu w świetle najnowszych badań naukowych* (1899) – vide: „NGP" 1919, nr 47, s. 2; nr 48, s. 2; „Ziemia Przemyska" (dalej: „ZP") 1924, nr 50, s. 3; A. Siciak, *Druki przemyskie 1754–1939*, Przemyśl 2002, s. 122.

20 „NGP" 1921, nr 46, s. 2.

21 Ibidem, nr 23, s. 3.

22 „WM" 1922, nr 16, s. 6. Anons sygnowany nazwiskiem, acz podany adres (Sanowa dolna 16) jest zbieżny z przytoczonym w poprzedniej nocie.

23 „NGP" 1918, nr 37, s. 3.

24 T. Pudłocki, *Przemyski okres w życiu Stefana Grabińskiego*, „Rocznik Przemyski" 2006, t. 42, z. 3, s. 75.

25 „ZP" 1922, nr 4, s. 2; nr 12, s. 4; ibidem 1924, nr 22, s. 3; nr 40, s. 3; „NGP" 1922, nr 15, s. 2; nr 16, s. 3; „Słowo Polskie" 1924, nr 271, s. 7. Warto zaznaczyć, że myślą przewodnią wystąpień Kwolka była negacja autonomicznego charakteru duchów objawiających się podczas seansów. Jego zdaniem stanowiły one nieświadomą projekcję samych uczestników.

przedstawiciele słabiej wykształconych warstw społeczeństwa. Ksiądz Jan Warchał wspominał, że wśród zasańskich gospodyń postrach siała rzucająca uroki „czarownica z Kazanowa". O innej kobiecie mówiono, iż przechowywała diabła na strychu. Rzecz wyszła na jaw, kiedy sąsiadka prowadząca zastępczo kuchnię zignorowała zalecenia względem doprawiania potraw. Rozsierdzony czart cisnął w babinę miską (widać zgubne skutki przesalania posiłków znano już wówczas), a dom spłonął trafiony piorunem[26].

O łatwowierności części ówczesnych przemyślan świadczy też poruszenie, jakie w styczniu 1922 roku wywołała pogłoska, iż tutejszej policji udało się ująć diabła. Według relacji „Ziemi Przemyskiej" zaaferowani mieszczanie oblegli wpierw komisariat, a odprawieni stamtąd przez funkcjonariuszy, *pospieszyli czym prędzej pod Magistrat i tu zaczęli nagabywać Bogu ducha winnego strażnika*. [...] *Nie mogąc się inaczej od natrętów uwolnić strażnik zapewnił rozgorączkowany tłum* [...], *że wprawdzie sprowadzono diabła skutego łańcuchami do aresztu magistrackiego, jednakże musiano go odstawić do Sądu, bo obawiano się, żeby nie rozwalił i nie spalił całego budynku* [...]. *To urzędowe potwierdzenie funkcjonariusza Magistratu przekonało już nawet niedowiarków i kto tylko żył, a był w mieście, rzucił się pod Sąd.* [...] *Wreszcie do rozpędzenia* [...] *tłumu użyto policji, której dopiero późnym wieczorem udało się zaprowadzić porządek*[27]. Aresztantem „z piekła rodem" okazał się oszust, w przebraniu diabła zastraszający zabobonne staruszki.

Ze zbiorów Michaiła Wasina (wydawnictwo „Enigma", Moskwa)

Wolf Messing koncentrujący się podczas seansu

Wracając wszelako do Messinga, przemyski okres jego życia, jak cała zresztą biografia, obfituje w liczne znaki zapytania. Trudności nastręcza choćby ustalenie dat skrajnych pobytu jasnowidza nad Sanem (wiadomo tylko, że bawił tu latem 1922 roku). Nie zdołałem także stwierdzić, czy ówczesna aktywność telepaty wykroczyła znacząco poza sferę towarzyską. Pomógł wprawdzie rozwiązać jedną sprawę kryminalną, a być może zaangażowany był jeszcze w drugą, brak jednak śladów jego uczestnictwa w innych głośnych śledztwach z tego okresu. Luki niniejsze trzeba dopiero wypełnić. ●

Summary

Stalin's clairvoyant on the San river? About Wolf Messing and his episode in Przemyśl

Wolf Messing (1899–1974), Polish clairvoyant and telepath of Jewish origin, is mainly known from the activity in the Soviet Union, where he lived and worked since the beginning of the 40s in the twentieth century. Messing's performances enjoyed great popularity and his abilities were used even by Soviet leaders, Joseph Stalin and Nikita Khrushchev. The earlier period of clairvoyant's life remains little-known, memories published by him in the 60s were in large part fabricated and the number of documents about him were destroyed during the war. However, the true biography of Messing can be partially reconstructed on the basis of pre-war press and memoirs. Such a sources confirm that clairvoyant stayed in Przemyśl, where at the beginning of the 20s he held military service and was also famous for the detection of one of the local offenders.

Translated by Sylwia Mikuła

26 J. Warchał, *Moi sąsiedzi Żydzi i Ukraińcy. Powieść – wspomnienia w 157 odcinkach*, Rzeszów 2005, s. 108–109. Helena Deutsch donosiła z kolei o działalności wróżki zwanej „Bladą Hrabiną", a to z powodu, iż ubierała się zawsze *na czarno i jej rysy trudno było rozpoznać pod grubą warstwą białego makijażu.* [...] *Jej klientela składała się głównie ze służących, które wierzyły gorąco w jej przepowiednie* – H. Deutsch, *Konfrontacje z sobą*, przeł. S.J. Wiater [w:] *Przemyśl w oczach pisarzy. Antologia XX wieku,* red. S.J. Wiater, P. Wiater, Londyn 1994, s. 48–49; vide też: eadem, *Confrontations with Myself*, New York 1973, s. 23. Zapis ten dotyczy wprawdzie sytuacji jeszcze z przełomu wieków, warto jednak uzupełnić nim powyższe przykłady.

27 *Djabeł w Przemyślu*, „ZP" 1922, nr 5, s. 2.

Krzysztof Bortnik (ur. 1977 w Przemyślu) – publicysta, wydawca. Ukończył historię na Uniwersytecie Rzeszowskim. W latach 1997–2007 pracownik Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu. Od 2008 roku prowadzi wydawnictwo KABORT, którego nakładem ukazało się dotąd sześć tytułów, między innymi antologie *Maska śmierci* i *Demony perwersji*, a także wybór opowiadań Stefana Grabińskiego pod tytułem *Pani z Białego Kasztelu*. Publikował między innymi na łamach: „Biuletynu Ukrainoznawczego", „Studiów Przemyskich", „Rocznika Przemyskiego" i „Naszego Przemyśla". Jest autorem biogramów Stefana Grabińskiego i Jana Rożańskiego w *Słowniku biograficznym twórców oświaty i kultury XIX i XX wieku Polski Południowo-Wschodniej*.

Adam Klein – drukarz przemyski

Anna Siciak

Produkcja druków, towarzyszących nam obecnie w każdej dziedzinie życia, została zrewolucjonizowana w połowie XV wieku. Dokonał tego Jan Gutenberg, który zaprojektował i zbudował urządzenie do odlewania metalowych ruchomych czcionek, ponadto dokonał innych udogodnień, które wprowadziły drukarstwo na nowe tory. Do tego czasu posługiwano się czcionką drewnianą lub glinianą, o małej wytrzymałości, przez co druk był wyjątkowo kosztowny. Stosowano także drzeworyty, na których ryto teksty całych stronic. To stanowiło, że drukowanie było do tych czasów rzemiosłem, zaś dzięki wynalazkom Gutenberga wkroczyło w erę przemysłową.

Choć Przemyśl nie miał swojego Gutenberga, może poszczycić się pierwszą drukarnią założoną w 1754 roku i obejmującą zasięgiem teren diecezji rzymskokatolickiej. W okresie Oświecenia zajmowała ona imponujący obszar liczący 9 dekanatów, w których funkcjonowało 171 parafii. W jej skład wchodziły między innymi Rzeszów, Sambor, Tarnów i Zamość, znajdujące się obecnie w diecezjach odrębnych.

Pierwszym drukarzem, zarazem i księgarzem, był Adam Klein, który przeniósł swój warsztat drukarski z Krakowa. W zainicjowaniu działalności w Przemyślu pomógł mu przywilej, o który wystarał się u króla Augusta III. Oryginał królewskiego dyplomu datowany na 2 listopada 1754 roku przetrwał i jest przechowywany w Archiwum Państwowym w Przemyślu. Przywilej dawał Kleinowi możliwość drukowania książek i sprzedaży ich na terenie całej diecezji, a także poza nią. Chronił go także przed jakąkolwiek konkurencją, dając mu w tym zakresie wyłączność, zaś każdy, kto próbował go jej pozbawić, narażał się na wysokie grzywny.

Działalność drukarska Adama Kleina i koleje jego losu zostały przebadane i przedstawione w artykule opublikowanym w lubelskim czasopiśmie naukowym „Res Historica" w 2002 roku[1]. W niniejszym artykule zostaną przypomniane najważniejsze fakty dotyczące Kleina jako drukarza oraz aktywnego rajcy, prezydenta i podwójciego[2].

Adam Klein urodził się około 1735 roku zapewne w Krakowie[3]. Już w 1749 roku (pod datą 20 maja) figurował w metryce Akademii Krakowskiej jako towarzysz sztuki drukarskiej. Miał wówczas 14 lat, a chłopców w tym wieku oddawano do terminu, co praktykowano także jeszcze w XIX i na początku XX stulecia. Kandydat musiał wykazać się wykształceniem ogólnym na poziomie szkoły wydziałowej lub gimnazjum niższego. W czasie terminowania sprawdzano przydatność do zawodu i pozostawiano jedynie zdolnych do jego wykonywania. Nauka trwała zwykle cztery lata, ale mogła zostać skrócona, jeśli uczący się na drukarza wykazał się szczególnymi postępami. Kierując się datami, które wskazują nam źródła, możemy stwierdzić, że terminowanie Kleina trwało dwa i pół roku. Po zakończeniu okresu przyuczania wpisywano ucznia w poczet towarzyszy sztuki drukarskiej, który to akt pozwalał na rozpoczęcie praktyki i podjęcie zatrudnienia. Zawód drukarza Klein mógł wykonywać dzięki uchwale władz Akademii Krakowskiej podjętej 11 października 1751 roku, dającej mu prawo korzystania z przysługujących drukarzom i księgarzom przywilejów. Klein, wykorzystując różne możliwości, szybko zdobywał doświadczenie zawodowe, zwłaszcza że niełatwo było zaadaptować się nowemu drukarzowi w krakowskim środowisku. Początkowo pracował w Drukarni Akademii Krakowskiej. W 1752 roku został kierownikiem drukarni biskupa Andrzeja Stanisława Załuskiego, ale już w tym samym roku otworzył własną oficynę przy ulicy Szpitalnej. Ponieważ część tytułów przez niego tłoczonych była zastrzeżona do druku w Drukarni Akademickiej, 31 października 1752 roku został postawiony przed sąd rektorski, *gdyż nie w Łowiczu erygował drukarnię, lecz w Krakowie i wydaje książki zastrzeżone Drukarni Akademickiej i Drukarni Kolegium Większego* [...]. Z powyższej krótkiej informacji możemy wyczytać, że nie dostosował się do (zapewne) uzyskanego przywileju, który uprawniał go do otwarcia drukarni w Łowiczu, a na dodatek dopuścił się kolejnego

---

1 A. Siciak, *Dzieje pierwszej przemyskiej drukarni Adama Kleina – 1754–1757*, „Res Historica" Z. 13 (2002), s. 149–170. Tam znajdują się wszystkie przypisy do cytowanych (również w tym) artykule fragmentów. Tu zostały one pominięte, wprowadzono natomiast jedynie te, które odnoszą się do cytatów publikowanych po raz pierwszy.

2 Rajca – członek rady miejskiej. Podwójci – zastępca wójta. Zgodnie z nomenklaturą stosowaną w ówczesnych aktach miejskich w artykule określamy Kleina jako prezydenta (łac. *proconsul* – termin oznaczający również burmistrza).

3 Data śmierci Adama Kleina pozostaje otwarta. W *Słowniku pracowników książki polskiej* J. Pachoński podaje, że zmarł po 1785 roku. W Archiwum Państwowym w Przemyślu istnieją dokumenty, w których nazwisko Kleina wymieniane jest także w 1793 roku. Natomiast kwerenda ksiąg metrykalnych w Archiwum Archidiecezjalnym w Przemyślu nie przyniosła rezultatu.

przewinienia, drukując dzieła, na które miały pozwolenia inne drukarnie, i to znamienite. Drukowanie tytułów, do których prawa miały inne oficyny, było dość często praktykowane przez mniejsze drukarnie, których nie było stać na wykupienie koncesji. Klein mógł liczyć, że jego produkcja będzie niezauważona, a on zarobi na utrzymanie i na inwestycje. Jednak zarządcy poszkodowanych drukarni skrupulatnie strzegli swoich finansów i w stosunku do nieuczciwego drukarza szybko zostały wyciągnięte konsekwencje. Z okresu krakowskiego znanych jest siedem druków wykonanych przez typografię Kleina, są to dzieła o charakterze religijnym, pisane w języku łacińskim lub polskim. Jerzy Samuel Bandtkie (językoznawca, kierownik Biblioteki Jagiellońskiej i profesor na Uniwersytecie Jagiellońskim wykładający naukę o książce) w swoim dziele dotyczącym dziejów krakowskich drukarń (1815) przedstawił druki Kleina następująco: *Tylko iedno dziełko zdarzyło mi się widzieć z iego drukarni: Nadzieie grzesznych w Miłosierdziu Boskim przez pokutne godzinki do swiętey Małgorzaty z Kortony* [...] *za konsensem Duchowney władzy, przedrukowane RP* [Roku Pańskiego] *1753 w Krakowie w Drukarni Adama Kleina, typografa krakowskiego. Jeden arkusz typami niezłemi antykwą, co do prozy i niektórych hymnów, kursywą, co do innych wierszów, i Łaciny tu i owdzie umieszczoney bez makaronizmu.* Ta wzmianka to nie tylko pozytywna opinia o fachowości Kleina, ale także informacja, że jego działalność jako drukarza była ważna dla dziejów drukarstwa w Polsce.

Błyskotliwa kariera Kleina, która rozpoczęła się w Krakowie, szybko straciła na impecie, a to zapewne z braku środków finansowych na wykupienie pozwoleń na drukowanie dzieł, które przyniosłyby drukarni dochód. Trudno więc się dziwić, że Klein poszukiwał innego miejsca dla swojej typografii. Tym miejscem stał się Przemyśl. Być może wybór został podpowiedziany przez przemyskiego biskupa Wacława Hieronima Sierakowskiego, który mógł nakłonić Kleina do przeprowadzenia się do stolicy diecezji, którą zarządzał. Z uwagi na to, że była to duża diecezja, w której znajdowało się kolegium jezuitów, seminarium duchowne, studium teologiczne oraz istniał krąg wykształconych duchownych, potencjalnych mecenasów drukarni i odbiorców drukowanych tam książek, mógł Klein liczyć na drukarskie eldorado. Sam biskup Sierakowski, przewidując stały rozwój intelektualny obywateli miasta, nosił się wówczas z ideą utworzenia w Przemyślu biblioteki publicznej działającej na wzór książnicy narodowej założonej przez braci Załuskich w Warszawie. Klein, uzyskawszy oprócz królewskiego przywileju także poparcie urzędującego biskupa, mógł rozpocząć działalność drukarską, w tym także podjąć szkolenie adeptów „czarnej sztuki" i prowadzić działalność introligatorską. W Przemyślu wydrukował 18 dzieł. Dotyczyły przeważnie tematyki kościelnej, a tylko jedno z nich należało do druków świeckich. Było to dzieło Franciszka Paprockiego *Europa z części świata nayprzednieysza*, które dwa lata wcześniej po raz pierwszy wydano w Warszawie. Wszystkie druki typograf opatrywał następującym adresem: *w Przemyślu, w Drukarni Adama Kleina, Jego Królewskiey Mości y Jaśnie Wielmożnego Jego-Mości Xiędza Biskupa Przemyskiego, Ordynaryinego Typografa*. Tak sformułowana nazwa wskazywała, że właściciel posiadał odpowiednie przywileje oraz zezwolenia, więc prowadził legalną działalność. Przemyskie druki podpisywane przez Adama Kleina ukazywały się w latach 1754–1756. Następnie sprzedał drukarnię miejscowemu kolegium jezuitów, które prowadziło ją później przez 16 lat do kasaty zakonu w 1773 roku. Ponieważ w literaturze naukowej upowszechnione zostało, jakoby Adam Klein nie był właścicielem drukarni, a jedynie nią zarządzał i przekazanie drukarni odbyło się w 1756 roku, przytoczę prawdziwe okoliczności tego wydarzenia[4]. W wyniku kwerendy archiwalnej udało się odnaleźć w Archiwum Państwowym w Przemyślu w zespole Akta miasta Przemyśla dokument wyjaśniający sposób przekazania drukarni zakonowi jezuitów oraz określający konkretną datę tego wydarzenia. Jest to zapis w księdze wójtowskiej z 1757 roku, potwierdzony własnoręcznym podpisem Adama Kleina, który tytułował się *Typ.* [typograph – drukarz] *et Bibliopola* [księgarz]. Jednoznacznie wyjaśnia on, że Adam Klein drukarnię, którą posiadał „prawem dziedzicznym" (*haereditario iure)*, jako pełnoprawny jej właściciel sprzedaje ojcu Bogusławowi Urbańskiemu, rektorowi kolegium przemyskiego Towarzystwa Jezusowego. Zapis został opatrzony datą 14 listopada 1757 roku[5]. Odnaleziony dokument pozwala także na przesunięcie daty działalności drukarskiej Kleina do 1757 roku, mimo iż z tego okresu nie odnaleziono żadnych druków.

Adam Klein, przybywszy do Przemyśla, był bardzo aktywny w tamtejszym życiu społecznym. Z akt miejskich wiadomo, że w 1758 roku objął funkcję wójta sądowego (podwójciego), co wiązało się z licznymi obowiązkami publicznymi. Począwszy od tego roku nazwisko Kleina pojawiało się bardzo często na kartach protokołów z posiedzeń rady miejskiej. Obowiązki podwójciego pełnił ponownie w 1762 roku, w latach 1771–1776 oraz w 1780 roku. Ponadto wielokrotnie obierano go prezydentem (1759–1770, 1774–1781, 1782, 1788), a także pisarzem rady i ławy sądowej (1776–1777, 1783)[6]. Świadczy

4 Ten fakt wart jest szczególnego podkreślenia, ponieważ funkcjonująca od wielu lat i w licznych opracowaniach informacja, że jej właścicielem był bp Sierakowski, nadal jest kolportowana przez nieoczytanych autorów.

5 Archiwum Państwowe w Przemyślu, Akta miasta Przemyśla, sygn. 194, s. 175.

6 Daty pełnienia różnorodnych funkcji Kleina przytoczone na podstawie spisu opracowanego przez E. Grin-Piszczek i opublikowanego w książce: *Urzędnicy miejscy Przemyśla w XIV–XVIII wieku*, Toruń 2012, wydanej

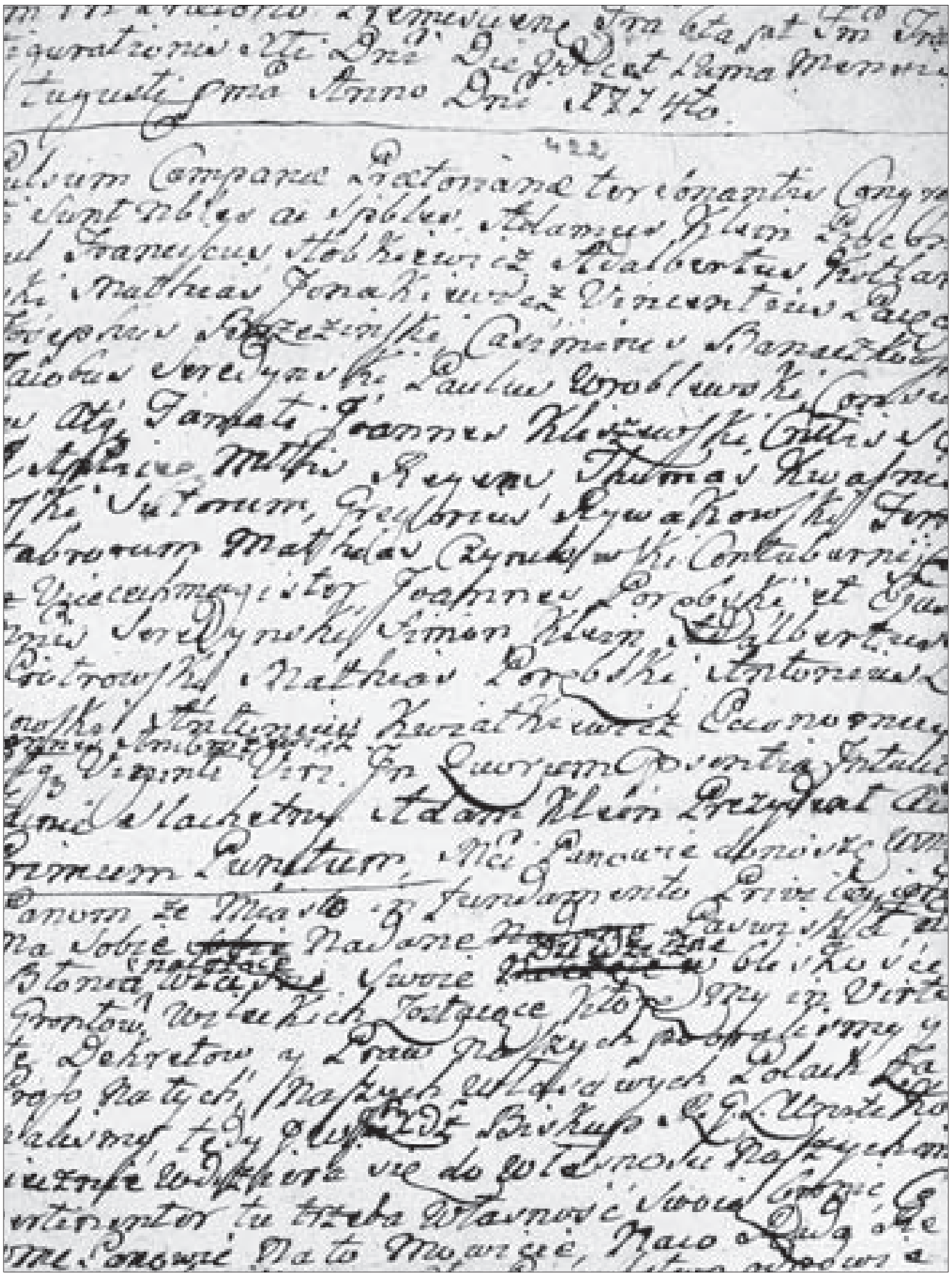

Ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, Akta miasta Przemyśla

Protokół narady zarządu miasta Przemyśla z 1774 roku, podpisany własnoręcznie przez Adama Kleina jako prezydenta

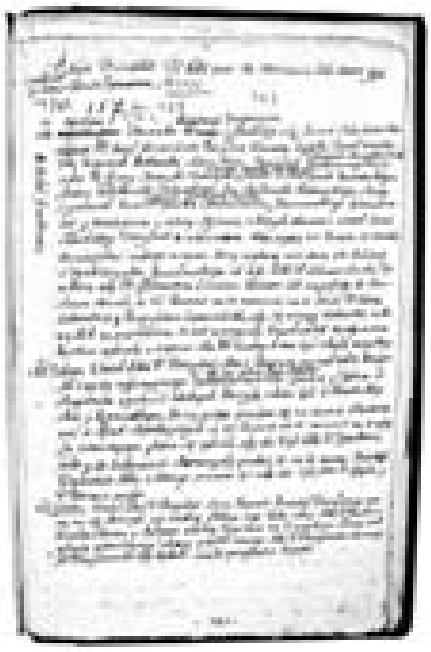

Ze zbiorów Archiwum Państwowego w Przemyślu, Akta miasta Przemyśla

Protokół narady zarządu miasta Przemyśla z 1775 roku, spisany przez Adama Kleina

Ze zbiorów Biblioteki Narodowej

Strona tytułowa przykładowego druku z 1756 roku z przemyskiej oficyny Adama Kleina

« **Fragment protokołu narady zarządu miasta Przemyśla z 1774 roku, podpisany własnoręcznie przez Adama Kleina jako prezydenta**

to o jego pozycji i zaufaniu społecznym. Natomiast nie mógł Klein być wójtem, jak podają autorzy jego biogramu w *Słowniku pracowników książki polskiej* oraz *Polskim słowniku biograficznym*. W tym czasie bowiem funkcja wójta była sprawowana przez przedstawicieli rodów arystokratycznych na zasadzie dziedziczenia lub zakupu urzędu oraz zatwierdzana przez króla. Adam Klein był natomiast kilkakrotnie wybierany spośród rajców na podwójciego (viceadvocatusa, landwójta) na jeden rok. Do zarządu miasta również na rok wybierano rajców, typujących spośród siebie prezydenta na kadencje kwartalne. Prezydent był odpowiedzialny za pobieranie podatków, zarządzanie majątkiem miasta oraz utrzymanie porządku w mieście. Niekiedy obowiązki te wiązały się z wielkimi nieprzyjemnościami. W 1765 roku *Szlachetny Pan Klein imieniem całey Rady będąc posłany z Ławnikiem Starszym na dopłacenie* [podatku] *Pogłownego domagał się, pomieniony* [wymieniony wcześniej] *Wielmożny Pan Komisarz Pan Józef Suchodolski Podczaszy Owrucki i Komisarz Generalny Starostwa Przemyskiego miasto* [zamiast] *uczynienia satysfakcyi przy obecności wyżey wyrażonego Ławnika, tegoż Pana Kleina kilka razy w Gębę uderzywszy, kiiow dobył y biciem niemi odgrażał y byłby konfuzyą wieczną nakarmił, gdyby tenże nieszczęścia swego nie uszedł* [...][7].

Oczywiście to skrajne zdarzenie nie przesądza o tym, że do wykonywania zadań prezydenta konieczny był jedynie dobry refleks. Do pełnienia tak odpowiedzialnej funkcji potrzebna była oprócz odpowiedniego wykształcenia ogólnego, wraz z dobrą znajomością łaciny, przede wszystkim biegłość w przepisach ówczesnego prawa miejskiego i kryminalnego. Zadaniem landwójta było bowiem przewodniczenie posiedzeniom sądu, które odbywały się zwykle raz w tygodniu. Zachowane akta miejskie dają obraz *zacnie szlachetnego Adama Kleina* (taką formułę stosowano w protokołach z posiedzeń rady miejskiej) jako honorowego i skłonnego do poświęceń obywatela miasta. W czasach, gdy umiejętność pisania była rzadkością, Klein wyróżniał się spośród innych swoim wykształceniem. W jednym z dokumentów archiwalnych utrwalono zapis: *Nadszedł czas obierania Lantwoyta, jak corocznie* [...]. *Na co Rada, Regenci y całe Pospólstwo*[8] *odpowiedzieli: Ponieważ niewidziemy Zdolniejszego Jak Jmi* [Jegomości] *Pana Adama*

w serii *Spisy urzędników miejskich z obszaru dawnej Rzeczypospolitej, Śląska i Pomorza Zachodniego*, t. 7: *Ziemie Ruskie*, z. 2: *Przemyśl*.

[7] Archiwum Państwowe w Przemyślu, Akta miasta Przemyśla, sygn. 560, s. 114–115.

[8] Określenie mieszczan stosowane w ówczesnej nomenklaturze.

Kleina przeto go Lantwoytem obieramy [...][9].

Niejednokrotnie Klein był delegatem w sprawach miasta między innymi do Gubernatorstwa galicyjskiego we Lwowie, do Sanoka, a także był delegowany do Wiednia do cesarza Józefa II[10]. Oprócz licznych funkcji pełnionych w mieście należy dodać jeszcze stanowisko „Pocztmaystra" Jego Cesarskiej Mości, piastowane przez Kleina w latach 80. XVIII wieku[11].

Trudy wypełniania funkcji w samorządzie starano się jakoś rekompensować, co – jak wykazują protokoły miejskie – praktykowano także w odniesieniu do Kleina. Powoływano go często do odpowiedzialnych zadań, które – z braku gotówki – wynagradzano nieruchomościami (budynkami, gruntami). Choć brzmi to zdumiewająco, nadanie nieruchomości było dobrym interesem przede wszystkim dla miasta. Nadania dotyczyły zrujnowanych i opuszczonych budynków oraz gruntów. Obejmujący je w posiadanie musiał je przywrócić do stanu świetności, zagospodarować, następnie wpłacać podatki do kasy miejskiej.

W toku przeglądania akt można dojść do wniosku, że uczciwość Adama Kleina niekiedy była wykorzystywana, poddawano też próbie jego cierpliwość i rzetelność. W aktach miejskich Przemyśla znajdujemy bowiem ślady dwóch wydarzeń, kiedy Adam Klein jako wyraźnie wykorzystany przez rajców demonstracyjnie zrzeka się swojej funkcji. Po raz pierwszy doszło do tego w 1770 roku, gdy był prezydentem. Z tekstu manifestu (obwieszczenia, ujawnienia), który znalazł się w aktach miejskich, dowiadujemy się, że prezydentem został obrany bez własnej zgody. Zachowanie Kleina wyjaśnia przedstawiony przez niego manifest, w którym opisuje, w jakich warunkach przyszło mu sprawować powierzoną mu „podstępem" prezydenturę. Z aktu dowiadujemy się, że był to czas wojenny, więc przejeżdżającemu przez miasto wojsku rosyjskiemu prezydent miał zapewnić prowiant i furaże[12], pobierając je od mieszkańców miasta, co było wyjątkowo uciążliwe. Na dodatek kasa miejska była pusta, ponieważ opróżnił ją poprzedni zarząd. Tymczasem pomocy nie mógł uzyskać od *Panów Rady*, *którzy sami się przed przeieżdżaiącemi woyskami ukrywaią, a niniejszego manifestanta na wszystkie niebezpieczeństwa życia exponuią*. Złożył on wówczas urząd prezydencki *z ciężkim sercem, ze względu na rodzinę*, którą zaniedbywał i narażał podejmując się trudnych obowiązków w wyjątkowym dla miasta okresie.

Ponownej próbie Adam Klein został poddany kilka lat później. W 1777 roku, widocznie doprowadzony do ostateczności przedłużającą się funkcją pisarza, widząc, że rajcowie nie zdejmują z niego obowiązku, zrezygnował z pełnionych zadań w sposób bardzo spektakularny: [...] *Pan Kleyn trzymający pióro na miejscu pisarza przysięgłego publicznie tu na Ratuszu, przy obradach naszych ze złością pozwolone sobie porzucił pióro y nie chce dłużey być* [...]. Było to stanowisko wymagające wielkiego poświęcenia i nakładu czasu (protokołowanie zebrań rady miejskiej i sądu), tym większych, że miasto nie miało pieniędzy na jego opłacanie. W związku z tym uproszono Kleina o wykonywanie zadań zarówno pisarza miejskiego, jak i pisarza ławy sądowej, widząc w tym możliwość zachowania koniecznych urzędów, a jednocześnie zaoszczędzenia pieniędzy, których w kasie miejskiej nie było. Należy jeszcze dodać, że w latach 1776–1777 Klein wykonywał oba te zadania. Wyobrażenie o rozmiarze tych obowiązków daje tekst przysięgi składanej przez kandydata na pisarza przemyskiego: *Ja, ... przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, Panom Raycom y wszystkiemu Pospólstwu Miasta tego, w urzędzie moim pisarskim, na który iestem wybran, wiernym być, y taiemnych rad miejskich, które poznam albo których mi się zwierzą, nikomu nie obiawiać. Rzeczy te które się przy sądzie dzieią, wiernie, według mego naywyższego rozumu chcę napisać y czytać, tak ubogiemu iako bogatemu. A tego nie chcę opuścić dla miłości, boiaźni, nienawiści, gniewu, przyjaźni, darów y innych rzeczy: tak mi Panie Boże dopomagay*[13].

Już te pojedyncze wzmianki przytoczone powyżej ukazują, ile wysiłku musiał włożyć Adam Klein, aby utrzymać się w mieście, które wybrał sobie do stałego zamieszkania. Przytoczę dodatkowo kilka zdarzeń zaczerpniętych z pisma sporządzonego przez Kleina około 1788 roku, dotyczącego jego osobistego wkładu dla poprawy spraw bytowych miasta. Uzupełniają one wiedzę o podejmowanych przedsięwzięciach i poniesionych kosztach, nie tylko finansowych. Niestety, dokument zawiera wiele enigmatycznie sformułowanych zdań, sygnalizujących jedynie wydarzenia, które wszystkim w owym czasie były znane, natomiast obecnie wymagają wyjaśnienia. Mimo to zawierają cenne szczegóły wzbogacające biografię opisywanej postaci. W piśmie tym, skierowanym do magistratu, Klein wymienił w punktach swoje najbardziej istotne zasługi położone dla miasta. Jako landwójt, w pierwszym okresie

9 Archiwum Państwowe w Przemyślu, Akta miasta Przemyśla, sygn. 532, s. 33.

10 M. Figura, *Elity władzy miasta Przemyśla w latach 1700–1772*. Praca doktorska napisana pod kierunkiem prof. dr. hab. Jerzego Motylewicza (Uniwersytet Rzeszowski), Rzeszów 2010. Według autora pracy Adam Klein *Należał do ścisłej elity politycznej wywierającej najbardziej zauważalny wpływ na decyzje zapadające w magistracie* [s. 240]. Ponadto on jako jedyny legitymował się ukończonymi studiami w Akademii Krakowskiej [s. 192].

11 Archiwum Państwowe w Przemyślu, Akta miasta Przemyśla, sygn. 1423, s. 302.

12 Fr. *fourrage* – pasza, tu oznacza paszę dla koni wojskowych.

13 Przytoczony tekst przysięgi pochodzi z 1779 roku, a składał ją Józef Leury przyjmowany na stanowisko pisarza miejskiego.

pobytu w Przemyślu, mimo iż nie należało to do jego obowiązków, oczyścił księgi i uporządkował archiwum miejskie, doprowadzając je do stanu używalności. Znajomości prawa i zasobu archiwum dowiódł znajdując podczas kwerendy ksiąg dekret, nieznany w urzędzie gubernatorskim we Lwowie, który mógł się przysłużyć sprawie Przemyśla. O innych umiejętnościach Adama Kleina, w tym dyplomatycznych, świadczy między innymi wyjednanie u króla Stanisława Augusta zwolnienia miasta z obowiązku dostarczania paszy dla koni wojskowych, czyli z dodatkowego obciążenia finansowego dla mieszkańców Przemyśla[14]. Ponadto kilkakrotnie z hrabią Ignacym Cetnerem uzgadniał kwestię kontraktu (zapewne działo się to w okresie, kiedy cesarz Austrii sprzedał Cetnerowi około 1778 roku mocno zadłużone miasto). Ten punkt dotyczący Cetnera Klein uzupełnił następująco: *a że tego wynaleźć nie mogli aż dopiero ja udałem się do Fiskusa, a tego dopiero pod Pieczęcią Gubernialną odebrawszy miastu oddałem*. Ten wątek wymaga dodatkowych badań dla wyjaśnienia, jaką rolę odgrywał Klein w odzyskaniu przez Przemyśl autonomii.

Z dokumentu wynika również, że Klein był często zmuszany wykładać własne fundusze, aby wywiązać się z powierzonych obowiązków. Było tak w przypadkach, kiedy wysyłano go w sprawach sądowych lub miejskich do innych miejscowości, w których pobyt sam finansował, ponadto miewał *expensy* [wydatki] *dla przychylności Miasta dosyć wiele*. Najtrudniej było *podczas Rebelij Moskali z Konfederatami*, kiedy przez 3 kwartały – był wówczas prezydentem i nie miał komu przekazać funkcji – *codziennie mało zł 15 szafować Moskalom przymuszony byłem, tudzież przy tym dla Maiora Korridow zwanego y innych musiałem expensować na Dzień każdy po 10 zł*. Popadł ponadto pod rozkazy księcia (Piotra?) Dołgorukiego i dostarczał mu wszystkiego, czego ten zażądał. Gdy Klein nie potrafił zebrać pieniędzy, wówczas był dręczony karą i aresztem.

Dokument, o którym mowa wyżej, Klein pisał będąc w tragicznym położeniu finansowym, zupełnie zrujnowany. Prosił w nim samorząd Przemyśla o względy i wsparcie[15]. Nie wiemy, co było przyczyną fatalnej sytuacji materialnej Kleina i jakie były jego dalsze losy. Nie ulega jednak wątpliwości, że jego nazwisko nie bez przyczyny powtarza się w tak wielu aktach miejskich. Wynika z nich niezbicie, że Adam Klein to postać nietuzinkowa. Jest znany w historii książki głównie jako założyciel pierwszej w Przemyślu drukarni, chociaż najczęściej uważa się, że był nim biskup Wacław Hieronim Sierakowski, a Klein jedynie zarządzał drukarnią lub ją dzierżawił. Oficyna ta przetrwała w Przemyślu do 1840 roku, zmieniając kolejnych właścicieli (ostatnim był Franciszek Skielski, który przeniósł ją do Rzeszowa, gdzie stała się pierwszą drukarnią w dziejach tego miasta)[16].

Czy fach drukarski niezbyt fascynował Adama Kleina, skoro sprzedał drukarnię po stosunkowo krótkim okresie jej użytkowania, czy też obiecywane wspaniałe warunki takimi w rzeczywistości nie były, można jedynie spekulować. Wielce prawdopodobne jest jednak, że Klein nie miał gotówki, aby zainwestować w nabycie zezwoleń na intratne publikacje. Kolegium jezuickie nie było zaś aż tak hojne, aby drukować u Kleina tyle dzieł, żeby właściciel typografii mógł dobrze egzystować. Oficyna wymagała ciągle nowych czcionek, zapasu papieru, farby, utrzymania pracowników i uczniów, co było bardzo kosztowne. To może być prawdziwa przyczyna zrezygnowania Kleina z zawodu, którego się wyuczył. Nie był to też fach prosty i łatwy. Niełatwe również było pełnienie funkcji publicznych w mieście, zważając na to, że rada miała uprawnienia zarówno decyzyjne, jak i wykonawcze. Jako wychowanek Akademii Krakowskiej Klein posiadał znajomość łaciny oraz prawa, umożliwiającą mu zajmowanie czołowych stanowisk w samorządzie. Natomiast jego cechy charakteru, takie jak rzetelność, cierpliwość i pracowitość zjednywały mu zaufanie rajców oraz mieszczaństwa przemyskiego. W ówczesnym Przemyślu był postacią wybitną. ●

14 W dokumencie nie ma bliższych szczegółów, więc tylko możemy przypuszczać, że było to w czasie działań wojennych związanych z konfederacją barską.

15 Archiwum Państwowe w Przemyślu, Akta miasta Przemyśla, sygn. 1377, s. 18–19.

16 Losy drukarni Skielskiego – wcześniej była to własność Franciszki Gołębiowskiej – to materiał na odrębny artykuł, z czym wiąże się sprawa drukarni bpa Jana Śnigurskiego, który rzekomo nabył oficynę od Gołębiowskiej, a faktycznie był założycielem nowej, co udowadniam w artykule *Początki działalności greckokatolickiej Drukarni Biskupiej w Przemyślu (1829–1832)* [w:] *Księga jubileuszowa ku czci Profesora Antoniego Krawczyka*, Lublin 2012 [przygotowywana do druku w 2013 roku].

Summary

Printer from Przemyśl Adam Klein

Adam Klein arrived in 1754 from Kraków and settled in Przemyśl. Equipped with a royal charter, he began in the Roman Catholic Diocese of Przemyśl printing business, bookselling and bookbinding. He was printing in Latin and Polish, mostly theological literature. The printing house under his name existed there until November 1757. Then he sold it to the Jesuit college of Przemyśl. Then he started work in the local government. At various periods from 1758 to 1788 he fulfilled a variety of functions: landwojt, alderman (councilor), court clerk, writer of the city council and president. Klein was in the circle of the most influential people in the city. As the only one of the councilors he had completed the Cracow Academy. His responsibilities required knowledge of the law, Latin, writing proficiency and also integrity and perseverance.

Translated by Sylwia Mikuła

Słowackie państwo katolickie i jego pragmatyczna elita

Juraj Buzalka
Tłumaczenie ze słowackiego
Jacek Bukowski

Bratysława, 2.07.2012 (TSAR) [słowacka agencja telegraficzna – przyp. tłum.]: *W południe Ojciec Święty Benedykt XVI, w wyniku wizytacji apostolskiej, która odbyła się w dniach 22.01.2012–1.02.2012, odwołał arcybiskupa Róberta Bezáka z pełnienia pasterskiego obowiązku w archidiecezji trnavskiej. Konferencja Biskupów decyzję Ojca Świętego przyjęła w duchu wiary i synowskiego posłuszeństwa, prosząc Pana o błogosławieństwo dla Kościoła na Słowacji.*

Nitra, 5.07.2012 (TSAR): Uroczysta msza święta z okazji inauguracji roku Cyryla i Metodego odbyła się dzisiaj w Nitrze. […] *Na rozpalonym placu Świętopełka spotkało się tysiące wiernych z całej Słowacji* […]. *W trakcie uroczystości wystąpił także i premier Robert Fico* […]. *Misję braci z Salonik widzi jako wyjątkową zdolność dwóch wykształconych ludzi do rozwijania duchowego bogactwa Słowaków, które istniało tutaj już przed ich przybyciem.*

Stosunki między Kościołem katolickim a systemem politycznym nowoczesnych demokracji nie należą do najczęściej poruszanych tematów przez analityków politycznych. W postkomunistycznej Europie omijanie tej sprawy z oczywistych względów jest o wiele bardziej zauważalne niż na Zachodzie, bowiem religię przez czterdzieści lat budowania socjalizmu zepchnięto do sfery prywatnej.

Rozważając „słowacki pogląd" (w sensie uzasadnionych analiz) na problematykę religii w polityce w ogólności i relacje Kościoła katolickiego z demokratycznym społeczeństwem zwłaszcza, można skonstatować fakt ewidentny: że taki pogląd nie istnieje.

Obrazuje to na przykład brak dyskusji na temat podpisywania umowy między Stolicą Apostolską a Republiką Słowacką w 2000 roku, czego efekty ujawniły się w debatach o nieoficjalnych (rzekomo finansowych) powodach odwołania z funkcji arcybiskupa Bezáka w lipcu 2012 roku. Brak konkretniejszych zakotwiczeń w postawach słowackiej elity politycznej wobec Kościoła katolickiego widać wszak nieustannie od 1989 roku w zachowaniu „pobożnych" polityków słowackich.

Po Vladimírze Mečiarze jako „najodpowiedniejszy" politycznie katolik jawi się obecny premier Robert Fico. Na przykład, zaraz po otrzymaniu nominacji w 2006 roku, zgłosił się na audiencję u Jána Chryzostoma kardynała Korca, którego poglądy, choćby na wojenną Republikę Słowacką, nie należą do krytycznych. Po zatwierdzeniu rządu w 2012 roku staro-nowy premier znów odwiedził kardynała, ponoć w celu zaproszenia Kościoła do społecznego dialogu z państwem. Wybrał się do niego natychmiast po uświęceniu daty 1 maja, które to obchody jego partia SMER-Socjaldemokracja zorganizowała w stolicy.

Powód, że krytyki Ficowej klerofilii nie da się zauważyć ani na lewo, ani na prawo, ani w sekularnym centrum, jest prosty: Słowacja – jako projekt polityczny – problem własnej egzystencji w stosunku do katolicyzmu ma wciąż niewyjaśniony, nawet po doświadczeniach z faszystowskim i komunistycznym reżimem. A sprawa ma związek z tym, do jakiej tradycji wartości nawiązuje współczesna republika i jakie jest usytuowanie Kościoła rzymskokatolickiego we współczesnej Słowacji.

Czym jest Kościół katolicki?

Jest zarazem wyznaniem i grupą interesów. W tym drugim aspekcie naciska na instytucje rządowe i poszukuje aliansów z działaczami politycznymi. Z tego punktu widzenia Kościół jest na arenie demokracji jedną z najstarszych grup interesów, nawet jeśli w wielu aspektach nietypową. Na przykład zasady i moralność, które głosi, są przez niego uniwersalnie aplikowane i uważane za ostateczny wzorzec. W dodatku Kościół katolicki różni się od pozostałych grup interesów (ale i od pozostałych światowych religii) tym, że dysponuje ponadnarodową instytucją, której centrala mieści się w Watykanie.

Kościół stara się utrzymać kontrolę nad takimi aspektami ludzkiej egzystencji, które większość grup interesów scedowała na państwo albo na rzecz indywidualnych i autonomicznych decyzji. Chodzi tu zwłaszcza o patent na moralność i rozstrzyganie w kwestiach sumienia.

Historycznie Kościół zawierał alianse z rozmaitymi graczami politycznymi: ze zwolennikami monarchii, z faszystowskimi dyktaturami i z demokratycznymi partiami.

Kościelne miasto-państwo – *Status Civitatis Vaticanæ*, *Stato della Città del Vaticano* – przedstawia centralny zarząd administracyjny wobec światowej społeczności 850 milionów rzymskokatolickich wierzących. Ten subiekt nazywa się Stolicą Świętą (*Santa Sede*).

Tadeusz Nuckowski

Jego Świątobliwość Papież: Biskup Rzymu, Zastępca Jezusa Chrystusa, Następca Księcia Apostołów, Najwyższy Kapłan Kościoła Powszechnego, Patriarcha Zachodu, Prymas Italii, Arcybiskup i Metropolita Prowincji Rzymskiej, Głowa Państwa Città del Vaticano i Sługa Sług Bożych – jak dzisiaj brzmi pełny tytuł głowy katolicyzmu – ma pełną ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą moc prawną. Pochodzenie jego władzy nie ma nic wspólnego z legitymizacją na przykład w rozumieniu liberalnej demokracji. Papież – wybierany dożywotnio przez kolegium kardynałów – jest bowiem szefem niezależnej teokratycznej monarchii absolutnej.

Państwo a Kościół w Europie

Stara i bardzo sprawna dyplomacja watykańska zawsze zabiegała o zachowanie jak największych przywilejów dla Kościoła rzymskokatolickiego w poszczególnych krajach. Ma to również związek ze staraniami o istnienie spójnego kordonu krajów wschodnioeuropejskich jako zapory przeciw wschodniemu prawosławiu, a zarazem i przeciw pokusom napływającym z „zepsutego" Zachodu, który wciąż swoje wpływy poszerza. Ten idealny rzymskokatolicki *cordon sanitaire* tworzą – albo raczej winny by tworzyć – Włochy, Austria, Bawaria, Chorwacja, Polska, Litwa i Słowacja.

Słowackiego modelu stosunków Kościół–państwo nie sposób budować na żadnym uniwersalnym modelu, ponieważ relacje katolicyzmu i społeczeństwa w tym kraju – a więc i stosunki Kościoła z państwem – rozwijały się w historycznie i instytucjonalnie specyficznych warunkach.

Stosunki Kościoła z innymi demokratycznymi państwami też się historycznie zmieniały. Ponadto, w Europie Środkowej dotyczyły zarówno państw nowych, jak i państw „historycznych", o zmianach reżimów w ich ramach już nie wspominając. Jeśli istnieje coś wspólnego dla wszystkich krajów z dominantą historyczną zachodniego chrześcijaństwa, to jest to podglebie wartości, czy socjokulturalne prawidła tej czy owej konfesji, ewentualnie kilku wyznań zarazem. Współczesna społeczność europejska pozostaje więc pod pewnym wpływem religii bez względu na prawne usytuowanie „tradycyjnych" Kościołów. W Europie Zachodniej historycznie doszło do oddzielenia Kościoła od państwa i do sekularyzacji systemu prawnego, mimo że procesy związane z powstawaniem państw narodowych jako przedstawicielskich demokracji nie zawsze były w zgodzie z poglądami Kościoła rzymskokatolickiego. Nowoczesne państwo i Kościół katolicki, który często popierał *ancién régime*, w Europie wielokrotnie bywały w konflikcie.

Z historycznego punktu widzenia można wymienić dwa zachodnioeuropejskie kraje naznaczone dominacją jednego Kościoła – Włochy i Wielką Brytanię. W ich przypadku historyczne powiązanie Kościoła z państwem od wieków było zarazem instytucjonalne i polityczne.

W Wielkiej Brytanii ważność Kościoła anglikańskiego wynikała z jego oficjalnego statusu, zachowanego jako część tradycji, w której monarcha jest zarazem i głową Kościoła. Kościół anglikański pozostał jednym z filarów politycznego i konstytucyjnego systemu Wielkiej Brytanii.

Natomiast we Włoszech wprawdzie wpływy religii maleją, ale historia tego kraju i geograficzne umiejscowienie centrum katolicyzmu na jego terytorium i tak powodują znaczącą pozycję Kościoła, skoro aż 95 procent Włochów określa się jako katolicy. Kościół we Włoszech zawsze zachowywał autonomiczną pozycję, katolicy organizowali się pomimo, a niekiedy nawet w opozycji do liberalnego państwa. Kościół i państwo we Włoszech są niezawisłe i suwerenne w duchu tezy: *wolny Kościół w ramach wolnego państwa*. Na wzmiankę zasługuje również mocna współpraca między Kościołem we Włoszech i chrześcijańską demokracją po drugiej wojnie światowej. Jednak wpływ chrześcijańskich demokratów stopniowo malał, a niegdyś dominująca *Democrazia Cristiana* zaczęła tracić swoich pierwotnie katolickich wyborców – aż w latach 90. całkiem się rozłożyła.

Odmiennym przykładem są Niemcy, gdzie stosunki między Kościołem i państwem zostały uporządkowane po drugiej wojnie światowej, kiedy to zaczęła się przejawiać zmiana w równoważności wyznań. Przed wojną większość obywateli była protestancka, ale o zróżnicowaniu Niemiec stanowią i katolicy, skoncentrowani zwłaszcza na południu i zachodzie kraju, którzy z mniejszościowej pozycji „wybili się" się wreszcie na parytet z protestantami. Historyczne poczucie ucisku uformowało zachowanie Kościoła katolickiego w Niemczech.

W przypadku tego kraju znaczące są prawnie i finansowo uporządkowane relacje pomiędzy Kościołami i państwem. Państwo ściąga podatek kościelny od osób, które w sposób dosłowny [czyli w okienku urzędu skarbowego, bo nawet nie w Kościele – przyp. tłum.] nie zadeklarowały swego wyjścia z Kościoła.

Pomimo że wśród katolików niemieckich uczestnictwo w nabożeństwach jest niewielkie, a wśród protestantów nawet ekstremalnie niskie, prawie 90 procent obywateli w dalszym ciągu płaci wyznaniową daninę, czym zabezpiecza Kościołom środki na prowadzenie działalności, znaczniejsze, niż ma to miejsce w którymkolwiek innym kraju świata, oprócz USA.

W czasach socjalizmu na niemal zupełnie protestanckim wschodzie Niemiec, większościowy Kościół luterański miał przez państwo wąsko określoną autonomię. Wielu księży uczestniczyło aktywnie w antykomunistycznym ruchu lat 80. Po zjednoczeniu tym obszarem spraw zawładnął „zachodnioniemiecki" model współpracy państwa [zwłaszcza – przyp. tłum.] z katolickimi i protestanckimi krajowymi Kościołami, który się sprawdził.

Na podstawie trzech konkretnych modelowych przykładów można skonstatować, że nie istnieje jeden model porządkowania stosunków Kościoła z państwem, który

uniwersalnie nadawałby się do zaaplikowania gdziekolwiek.

Dla okresu powojennego było charakterystyczne, że Kościół katolicki pogodził się z koniecznością funkcjonowania w przestrzeni pluralistycznej demokracji. Dla Kościoła katolickiego w Europie Zachodniej kluczowe były lata 60., kiedy to nastały zmiany zainicjowane przez Sobór Watykański II (1962–1965). Sobór wyraźnie zmienił stosunek Kościoła katolickiego do współczesnego świata i potwierdził rozdział Kościoła od państwa. Wynikiem Soboru było tak zwane *aggiornamento* (przysposobienie do dzisiejszości), którym Kościół reagował na niemożność utrzymania swojej dotychczasowej pozycji, na osłabienie autorytetu – zwłaszcza w rozwiniętych krajach europejskich – i na postępującą sekularyzację. Aż do tego czasu katolicyzm – ewentualnie katolickość kraju – częściej się kojarzył z odrzucaniem liberalnej demokracji i wyznaniowego pluralizmu.

W ogólności – Europy Środkowo-Wschodniej nie wyłączając – w różnych krajach Kościół katolicki uosabiał sobą zazwyczaj jedną z najwyraźniejszych opok reżimów autokratycznych. Na popieranie liberalnej demokracji przywódcy Kościoła nie zdecydowali się sami z siebie, lecz dlatego, że była to stosunkowo najbezpieczniejsza droga do pomyślnego funkcjonowania Kościoła w nowych warunkach.

Powojenne dziesięciolecia były dla Kościołów Europy Zachodniej okresem szukania aliansów z ideowo bliskimi partiami politycznymi. W takich państwach, jak Włochy, Niemcy, czy Francja za IV Republiki sukces odniosły bliższe relacje z powstającą chrześcijańską demokracją.

Katolicyzm słowacki a demokracja

Stosunek Kościoła katolickiego do poprzednich autokratycznych reżimów na Słowacji – wojennej Republiki Słowackiej (1939–1945) i komunistycznej Czechosłowacji (1948–1989) – bez wątpienia wpływa na jego współczesną pozycję. Ten stosunek jest w zasadzie jasny co do komunizmu, systemu, w czasie którego istniał – pomimo znanej współpracy części kleru z ruchem „Pacem in Terris" – jawny opór wobec autokratycznego systemu. Przejawiało się to zarówno w nieprzerwanym praktykowaniu wiary, jak i otwartych publicznych wystąpieniach w imię religijnej wolności.

Władza komunistyczna postrzegała Kościół katolicki na Słowacji jako nieprzyjaciela, choć nie można tu lekceważyć również i nacjonalistycznego ciernia, kultywowanego w podziemnym ruchu od czasów międzywojennej Czechosłowacji, a zwłaszcza wojennej Republiki Słowackiej, który to cierń, w ramach słowackiej katolicko-ludackiej podkultury, nigdy całkiem nie przestał oddziaływać, przysparzając czechosłowackim komunistom sporo problemów.

Symboliczny powrót byłego sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji Gustáva Husáka na łono Kościoła katolickiego, co przejawiło się w rytuale pogrzebowym po jego śmierci – już po upadku komunizmu – można złożyć na karb zarówno jego starczego sentymentalizmu, jak i wieloletniego, niegdyś, nacjonalistycznego „odchylenia".

W przypadku stosunku Kościoła do faszystowskiego reżimu Republiki Słowackiej (1939–1945) już taki to pryncypialny krytycyzm nie obowiązuje. Za tej władzy kolaboracja wyższego i niższego kleru była jawna i wyrazista, bowiem państwo otwarcie się opowiadało za chrześcijańskim nacjonalizmem sformułowanym przez teologa i ideologa Štefana Polakoviča (1912–1999). Mówiąc o chrześcijaństwie, przedstawiciele tego reżimu zawsze mieli na myśli katolicyzm. Ze strony słowackiego episkopatu aż po dzień dzisiejszy nie zabrzmiało jasne potępienie wysiedlania Żydów podczas wojny czy zaakceptowanie antyfaszystowskiego ruchu jako walki o wolność i demokrację.

Na dzisiejszą pozycję Kościoła katolickiego na Słowacji wpłynęła również postawa jego autorytetów wobec państwa po 1989 roku, a zwłaszcza wobec reżimu Vladimíra Mečiara (1994–1998) i zjawisk nacjonalistycznych. Wyjątek stanowi postawa Konferencji Biskupów Słowacji pod przywództwem Rudolfa Baláža, pod koniec tejże władzy. Ale i w tym wypadku częściową zmianę postawy spowodowała nie tyle troska o ochronę demokracji, ile raczej instynkt samozachowawczy wobec zagrożeń dla autonomii Kościoła.

Istnieją wszak i historycznie głębsze powody odmiennej sytuacji słowackiego Kościoła katolickiego od Kościoła na zachód od rzeki Morava. System powestfalski [wynik traktatu kończącego wojnę trzydziestoletnią z 1648 roku – przyp. tłum.] sprawił, że Europa Środkowa nie była w aspekcie wyznań jakoś wyraźniej porozgraniczana, ewentualnie – że w jej ramach nie powstały monokultury religijne aż w takiej mierze jak na Zachodzie. Rozmaici wyznawcy przez stulecia żyli tu obok siebie w mniejszej czy większej wzajemnej tolerancji. Ta konstatacja obowiązuje nawet mimo prześladowań protestantów ze strony habsburskiego państwa i rzymskokatolickiego Kościoła. Na ziemiach historycznego Uhorska [archaiczna nazwa Węgier obejmująca i obecną Słowację – przyp. tłum.] utrzymały się protestanckie mniejszości i wiele z nich było uznawanych za silne. Niewątpliwie dotyczy to na przykład słowackiej mniejszości ewangelickiej, której wpływy były historycznie znaczniejsze, niż by to wynikało z ilościowych proporcji wobec katolickiej większości – podobnie jak w wypadku kalwinów na Węgrzech. Pozostałe wyznania religijne – takie jak prawosławie, unici i aż do końca drugiej wojny światowej zwłaszcza religia żydowska – dopełniały funkcyjno-wyznaniowy pluralizm regionu. To większe zróżnicowanie w porównaniu z Europą Zachodnią zaprzecza uprzywilejowywaniu akurat jednego wyznania w tej części kontynentu.

Jednak dla stosunków współczesnej demokracji z Kościołem katolickim bardziej znaczące są

zwłaszcza ich koleje po drugiej wojnie światowej. Po 1945 roku Europa Środkowa należała do bloku komunistycznego, w którym nie można było całkiem swobodnie praktykować religii. Kościoły były prześladowane, a publiczne świadectwa wiary zakazywane. Również i z tego powodu nie można modelu relacji Kościoła z państwem, na przykład w kwestii finansowego rozdziału, przenieść z konkretnego zachodniego modelu na Słowację w sposób automatyczny. Z jednej bowiem strony na Zachodzie zmieniła się rola tradycyjnych Kościołów w społeczeństwie w porównaniu z okresem, gdy ich relacje z powojennymi państwami zaczęły się reinstytucjonalizować, z drugiej zaś, postkomunistycznego okresu nie sposób – ze względu na bardzo meandryczną drogę Kościoła katolickiego do zaakceptowania liberalnej demokracji – uważać za sytuację wyjściową.

Okres po upadku reżimu Vladimíra Mečiara, któremu nie było dane pochwalić się zawarciem konkordatu, był już wygodniejszy do definiowania stosunków Kościoła i państwa oraz do ustalenia, do której politycznej tradycji nawiązywać i co z niej wprowadzić w życie. Jednak zamiast szerokiej dyskusji już w 2000 roku podpisano umowę podstawową między Republiką Słowacką a Stolicą Apostolską.

Dla współczesnej Słowacji, jako państwa następującego po czechosłowackiej federacji, formalnie kluczowa byłaby jednak przedkomunistyczna, międzywojenna tradycja, ruchy demokratyczne – zwłaszcza w postaci SNP [Słowackie Powstanie Narodowe – druga połowa 1944 roku – przyp. tłum.] – a potem już ich rozwój w luźniejszych warunkach po 1989 roku. Wobec takich tradycji (w aspekcie stosunków Kościół–państwo) dziedzictwo Republiki Słowackiej (1939–1945) i doświadczenia z komunizmem – są w opozycji.

W kwestii wartości dałoby się podłączyć tylko do jednej z tych dwóch tradycji, nawet jeśli do poszczególnych punktów spornych, w każdej z nich, można się odnosić krytycznie. Model stosunków między Kościołem a państwem powinien się rozwijać od jednego z tych dwóch korzeni wartości.

Przyjmując model katolicyzmu jako religię preferowaną przez państwo, musimy mieć na uwadze asocjacje, które taka tradycja powoduje. Jeśli przyjmiemy tradycję demokratyczną, to, w rezultacie, trzeba już potem zabiegać o tolerancję Kościoła wobec państwa i odwrotnie, o autonomię Kościoła i państwa, czyli – de facto – rozdział. Jak wykażę poniżej, słowacki model nie pasował do żadnej z tych dwóch tradycji.

Model słowacki?

Przy definiowaniu priorytetów polityki zagranicznej Republiki Słowackiej, oprócz głównego wektora skierowanego na integrację (UE, NATO, OECD), mają znaczenie i niektóre cząstkowe relacje. Takimi są zwłaszcza stosunki z sąsiednimi czy co bardziej znaczącymi europejskimi i światowymi potęgami. Stosunki bilateralne Republiki Słowackiej ze Stolicą Apostolską nie mają powodu być szczególnie znaczące – wystarczy, że będą standardowe. Jednak w świetle tak pośpiesznego podpisania konkordatu jawią się jako wyjątkowo ważne.

Słowacka „polityka katolicka", która wyznacza ponadstandardowe stosunki Słowacji z Rzymem, często się inspiruje przykładem Polski. Północny sąsiad wprawdzie podpisał, a potem i ratyfikował konkordat, ale jego podpisanie poprzedziła kilkuletnia dyskusja. Na rzecz podpisania tejże umowy przemawia i fakt, że pozycja polskiego Kościoła jest nieporównywalnie znaczniejsza we współczesności i w polskiej historii niż w przypadku Kościoła słowackiego. Kościół w Polsce przez bardzo długi okres (w czasie braku państwowości polskiej) był jedynym depozytariuszem tożsamości narodowej – i dlatego zachował nieporównanie ważniejszą pozycję również i w epoce komunizmu.

Ten przykład wskazuje na nieistnienie na Słowacji spójnej polityki wobec Watykanu, której *conditio sine qua non* jest określenie przestrzeni i samozdefiniowanie państwa w relacjach z Kościołami, a następnie – ewentualne zadecydowanie o stosunkach Republiki Słowackiej z jednym czy kilkoma z nich, na przykład w formie umowy specjalnej. Brak podpartej ideowo postawy co do konkordatu – w niemal całym spektrum politycznym – wskazuje na słabe zakotwiczenie słowackiej elity politycznej w kwestiach wartości. Podpisanie umowy podstawowej między Republiką Słowacką a Stolicą Świętą obrazuje precedens, w wyniku którego Kościół katolicki uzyskał wyjątkową pozycję w społeczeństwie, co najmniej w stosunku do pozostałych wyznań.

A teoretycznie, przy tej okazji, aż się prosiło przyjąć model całkowitej separacji państwa od jakiegokolwiek Kościoła. Model przypominający rozwiązanie niemieckie chyba najlepiej by uwzględniał współczesną rzeczywistość słowacką oraz wiodącą pozycję Kościoła katolickiego, ale także pluralistyczną koegzystencję innych wyznań powiązanych umowami według konkretnego klucza – do czego, po latach zdefiniowanej przez konkordat wyjątkowej pozycji katolicyzmu, już sytuacja dojrzała.

Przedstawiciele Kościoła rzymskokatolickiego do wyjaśnienia relacji z państwem i do podpisania umowy w czasie kontrowersyjnego reżimu Vladímira Mečiara się nie garnęli. Dlatego pośpiech, z jakim pierwszy kontrowersyjny projekt konkordatu się pojawił, zaraz po wyborach 1998 roku – już w listopadzie 1999 roku – jest zadziwiający. Definitywny projekt z 2000 roku trudnych i dyskusyjnych paragrafów już nie zawierał (a dotyczyły zwłaszcza transparentnych sposobów finansowania Kościoła, problemów nauczania religii – czy kościelnego szkolnictwa w ogóle – i dostępu do komunikacji masowej). Już wtedy można było wnioskować, że kluczowe problemy stosunków między Kościołem a państwem staną się jeszcze przedmiotem dalszych rokowań, bowiem dopominające się o pierwszeństwo pytania – w owym czasie odsunięto „na kiedyś".

Wbrew oczekiwaniom, przy podpisywaniu umowy nie doszło do spodziewanej polaryzacji sceny politycznej w kwestiach wartości, zróżnicowania na przykład na lewicę i liberałów, kwestionujących uprzywilejowane miejsce Kościoła katolickiego, oraz na konserwatystów i nacjonalistów, którzy by taki konkordat wspierali. Istnieją dwa wyjaśnienia. Optymistyczne można wywieść z tego, że historycznie najstarsza i kulturalnie najmocniej zakorzeniona polaryzacja katolicko-protestancka, później częściowo przysłonięta podziałem katolicko-świeckim (a podczas istnienia Czechosłowacji przesłonięta również i podziałem nacjonalno-federacyjnym), zanikła.

Klerykalizm i antyklerykalizm już najwyraźniej nie dywersyfikują słowackiej polityki. A sądząc po politycznym spektrum, można było jednak oczekiwać wyrazistego stanowiska co najmniej dwóch obozów krytycznych wobec konkordatu: liberałów (w polityce słowackiej niezbyt znacząco reprezentowanych) i lewicowców.

Jak to dowodzi na przykład również i wielki sukces SMER-Socjaldemokracji w wyborach w marcu 2012 roku – rozstrzygającym nurtem lewicy na Słowacji są pragmatycy i populiści.

Niewątpliwie funkcjonuje także zjawisko, że wielu byłych komunistów rekompensuje sobie utraconą tożsamość partyjną przynależnością do Kościoła katolickiego. Chodzi tu o „konwersję wiary", a jednocześnie o nacjonalizm, którego słowaccy komuniści nigdy się całkiem nie wyzbyli – podczas gdy pozostali z nich, z obawy przed etykietką „byłego komucha", raczej wolą milczeć. U byłych komunistów i konserwatystów niewątpliwą rolę odegrał również i katolicko-klerykalny nacjonalizm, który spajał niegdyś dużą część elity o katolickiej proweniencji, w czasach wojennej Republiki Słowackiej.

Przy podpisywaniu umowy podstawowej można było również oczekiwać silniejszego sprzeciwu Kościołów niekatolickich, a zwłaszcza ewangelickiego. W związku z tak gładką ratyfikacją konkordatu w 2000 roku, a zwłaszcza w świetle aż takiej deklaracji lojalności polityków słowackich wobec katolicyzmu, nasuwa się jeszcze drugie, być może prawdopodobniejsze, bardziej pesymistyczne wyjaśnienie. Ustawodawcy – w rzadko spotykanej zgodzie opozycja i koalicja – działali w duchu biblijnego: *Nie wiedzą, co czynią!*. No bo nie mogli wiedzieć, skoro w kwestii relacji między państwem słowackim a katolicyzmem prawie nic nie jest jasne. A jednocześnie, wyjaśnienie stosunków demokratycznego państwa z Kościołem gwałtownie się dopominało o dłuższą dyskusję, chodziło bowiem o charakter konkretnego państwa. To w Konstytucji zdefiniowane jest jako *suwerenne, demokratyczne i praworządne. Nie wiąże się z żadną ideologią ani religią* (rozdział pierwszy, punkt 1) – jednak wbrew temu wyjątkową pozycję katolicyzmu przypieczętowano międzynarodową umową.

Większość znawców stosunków Kościół–państwo oczekiwała, że w słowackich warunkach najważniejsze z nie do końca rozwiązanych problemów dotyczyć będą roli religii w systemie szkolnym, ewentualnie eutanazji, prób na embrionach czy przerywania ciąży. Jednak, o czym świadczy niedawny przypadek arcybiskupa Róberta Bezáka, o wiele ważniejszym tematem, który od początku afery dominuje w mediach, są pieniądze i kontrola ich przepływu. Przy spojrzeniu na serdeczny stosunek Roberta Fica do kierownictwa Kościoła katolickiego, włączając w to i tych jego przedstawicieli, których poglądy wobec reżimu wojennej Republiki Słowackiej są więcej niż pobłażliwe – brak zakotwiczeń współczesnej elity polityków słowackich w sferze wartości aż bije w oczy.

…I oto, pod koniec lipca 2012 roku, wspólnota LGBTI (lesbijek, gejów, biseksualistów, transeksualistów i interseksualnie identyfikowanych ludzi) doczekała się swego udziału w rządowej radzie do spraw obrony praw człowieka, mniejszości narodowych i równouprawnienia płci. Takiego uznania mniejszości seksualnych nie zdołali przeforsować nawet tak oświeceni liberałowie w rządzie Ivety Radičovej, jak wicepremier do spraw mniejszości i równości płci Rudolf Chmel!

Summary

Slovak Catholic country and its pragmatic elite

This article discusses the relations between institutional Catholicism and modern politics in Slovakia. It shows how high-ranked politicians might efficiently play with the dominant religious identification in the country by using it for legitimation of their power. Particularly bold example in the case of Slovakia is the close affiliation of social democratic prime minister Fico to the highest representatives of the Catholic church. The article presents this behavior on the historical explanation of church – state relations in Slovakia.

Translated by Juraj Buzalka

Dr Juraj Buzalka (ur. 1975 w mieście Partizánske na Słowacji) – redaktor naczelny czasopisma „OS – Občianska spoločnosť", wydawanego w Bratysławie, wykładowca antropologii społecznej na Uniwersytecie im. Jana Amosa Komeńskiego w Bratysławie. Zajmuje się antropologią polityki i ekonomii. Autor książek: *Nation and Religion. The Politics of Commemoration in South-East Poland* (Naród i religia. Polityka upamiętnienia w Polsce południowo-wschodniej) – Berlin 2007, oraz *Slovenská ideológia a kríza. Eseje z antropológie politiky* (Słowacka ideologia i kryzys. Eseje z antropologii polityki) – Bratislava 2012.

Staram się nie myśleć w kategoriach czarno-białych

Zapis spotkania z Michałem Jagiełłą, zorganizowanego przez redakcję „Przemyskiego Przeglądu Kulturalnego" w związku z publikacją jego książki *Razem czy osobno? Przewodnik po lekturach*, tom II. Spotkanie odbyło się 23 października 2012 roku w Przemyskiej Bibliotece Publicznej. W numerze „PPK" 2 (21) 2011 zamieszczona jest rozmowa z autorem dotycząca między innymi książki *Narody i narodowości. Przewodnik po lekturach*, tom I.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Przyjechałem do państwa jako ten, który zajmuje się polskim postrzeganiem naszego najbliższego Wschodu. Programowo staram się nie używać słowa *Kresy*. To nie jest słowo przezroczyste ani niewinne. Kresy czyje? Kresy czego? Ja wolę mówić *wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej*. Siłą rzeczy każda granica jest pograniczem. Mamy różne pogranicza: polsko-słowackie, polsko-czeskie, polsko-ukraińskie, polsko-białoruskie, polsko-litewskie, w pewnym sensie. Nie znaczy to, że pogranicze to ziemia niczyja. Każda granica była kiedyś wytyczona, często przez jakieś siły polityczne, czasem zewnętrzne. Ale granice są przenikliwe, zawsze były. Nawet gdy są zasieki, to idea przekracza granice. To, że z taką uwagą przyglądam się polskiej refleksji o relacjach Polaków z Rusinami, Litwinami i Białorusinami, prawdopodobnie ma związek z moim nazwiskiem. Od kilkunastu lat prowadzę ćwiczenia ze studentami w Instytucie Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego pod nazwą *Mniejszości narodowe w Polsce*. W związku z tym zająłem się sporządzeniem skryptu do tych ćwiczeń, który rozrósł się do niebotycznych rozmiarów. Postanowiłem to wydać. Tom pierwszy pod tytułem *Narody i narodowości* obejmuje okres od końca XVIII wieku do 1906 roku. To właśnie wtedy car zezwolił na drukowanie czasopism w języku litewskim i polskim. W tym czasie zaczął się ukazywać „Kurier Wileński". Drugi tom *Razem czy osobno?* dotyczy lat 1907–1918. Oba tomy mają skromny podtytuł *Przewodnik po lekturach*, co jest trochę mylące, bo niektórzy sądzą, że są to poradniki bibliograficzne. Otóż są one poradnikami tylko przy okazji. W tych dwóch tomach próbuję odpowiedzieć na pytania, jak nasi poprzednicy widzieli sprawę Rusinów i kiedy zaczęli używać określenia *Ukrainiec*, nie w znaczeniu regionalnym, ale narodowym. Kiedy i kto pogodził się z tym, że Litwini to nie są Polacy, że mają odrębną kulturę, odrębny język. I kiedy wreszcie odważono się łaskawie napisać o tym, że białoruscy chłopi mówią, że są Białorusinami. W tych dwóch tomach nie zajmuję się literaturą piękną, bo to odrębne zagadnienie. Nie analizuję też historiografii – tym się zajmują zawodowi historycy. Analizuję prasę: tygodniki, miesięczniki, publicystykę, broszury, czasem i książki publicystyczne. Aż by się prosiło, aby podobną pracę wykonali Ukraińcy, Litwini i Białorusini. Ja trochę próbuję to robić za nich: czytam po białorusku i ukraińsku. Jednak jeśli chodzi o litewski, to poradzić sobie mogę tylko z prostym tekstem. Gdybym się więc poważnie tym zajął, pewnie nigdy bym tego nie skończył. Uznałem zatem, że skoncentruję się na polskim punkcie widzenia. Staram się nie myśleć w kategoriach czarno-białych. Zdaję sobie sprawę, że często zewnętrzna sytuacja polityczna naszych przodków wymagała od nich przebywania w szarościach. Co tu dużo mówić: zdecydowana większość z nas przeżyła swoje dorosłe lata w PRL. Chcąc żyć, musieliśmy być w szarościach. Obca mi jest apoteoza tylko tak zwanych żołnierzy wyklętych, którzy zostali w lesie w latach 1945–1948, mimo próśb biskupa lubelskiego, rychło arcybiskupa prymasa Stefana Wyszyńskiego, który powiedział, że trzeba bronić materię biologiczną narodu. Mam też szacunek dla tych, którzy starali się żyć w Polsce, jaka im została narzucona, ale się nie ześwinili. Byłoby haniebne, gdyby współczesny pisarz wymądrzał się, stosując dzisiejsze kategorie i wyobrażenia do sytuacji z 1900, 1831, 1863 czy nawet 1918 roku. Czasem aż mi się cisną na usta słowa: to jest niewyobrażalne, że ktoś w 1918 roku pisał: *Jaka Ukraina?! Jacy Ukraińcy?! Te dworki o białych kolumienkach są przecież nasze! Nawet za Kijowem to jest nasza ziemia!*. Myślę sobie: Boże, jeśli jesteś!… Ten sam ktoś się oburzał, że Niemiec mówił: *Poznań to jest moje miasto!*. Zaraz! Twoje, ale nie do końca! Tak samo Lwów – to miasto polskie, ale może nie tylko. No więc staram się nie wymądrzać…

W tych książkach jest ponad tysiąc cytatów, i to zawartych czasem w całych akapitach. Widać w nich ewolucję poszczególnych autorów. Niektórzy byli rewelacyjni, na przykład Leon Wasilewski – z matki Czeszki, z ojca Polaka, absolwent szkoły w Petersburgu. Ojciec Wandy Wasilewskiej. Jeden z najwybitniejszych znawców tematyki narodowościowej na początku XX wieku.

Pierwszy tom dlatego nazywa się *Narody i narodowości*, że w Europie po Wiośnie Ludów w 1848 roku zaczęto sobie zadawać pytanie: ile mamy w Europie narodów? Czy mamy poprzestać na Niemcach (zresztą nie było niemieckiego państwa, było

kilkaset księstw), na Austriakach, na Francuzach, na Anglikach? A co zrobić z Czechami? Wszyscy się zgermanizowali? A co ze Słowakami? Węgrami? Madziarzy nazywali tereny dzisiejszej Słowacji *Felvidék*, co znaczy po węgiersku *Górna Ziemia*. Polacy używali na nie określenia *Górne Węgry*. Na tych ziemiach tysiąc lat panowali Węgrzy, a miasto Kassa, czyli Koszyce, to jedno ze świętych węgierskich miast, tyle że nie na ziemi etnicznie madziarskiej. To jest takie ich Wilno.

Po 1848 roku w obiegu intelektualnym zaczęły funkcjonować dwie definicje narodu. Pierwsza określa naród jako kategorię polityczną. Kiedy jej używamy, mamy na myśli etnicznych Polaków, Litwinów, potomków Tatarów, potomków Kozaków różnych wyznań z okresu, w którym Polski jako państwa nie było, ale była idea. Każdy, kto należał do szlachty i kto wewnętrznie akceptował ideę Polski wielonarodowej, Rzeczypospolitej szlacheckiej, był Polakiem w sensie politycznym. Dlatego Mickiewicz, spoglądając na jezioro Świteź na ziemi białoruskiej, pisał: *Litwo, ojczyzno moja*. Do tego przekonania odwoływał się Czesław Miłosz czy wybitny humanista katolicki Stanisław Stomma, który mówił o sobie: *Jestem Litwinem*. Trochę w cudzysłowie. To znaczy: jestem z ziemi litewskiej, ale jestem Polakiem. Według tej pierwszej definicji naród słowacki nie istniał. W momencie, kiedy powstały Austro-Węgry, Madziarzy współrządzili wielkim imperium. I na swoim terenie robili, co chcieli. Zbuntowali się przeciwko Wiedniowi i wywołali powstanie, bo nie chcieli, by w Peszczie był tylko i wyłącznie język niemiecki. Doprowadzili do tego, że język węgierski był drugim równoprawnym obok niemieckiego językiem w Austro-Węgrzech. Ale ci sami Węgrzy nie potrafili zrozumieć, że Słowak chce mówić po słowacku. Że Czarnogórzec, Serb i Chorwat mają jakąś starożytną kulturę. I ta druga definicja narodu w najkrótszym ujęciu jest taka: jestem tym, za kogo się uważam. Ale nie biorę tego tak całkowicie z powietrza, bo jestem tym, w jakim języku najlepiej się czuję. Często również to, kim jestem, ma związek z religią, jaką wyznaję. Na przykład: jestem grekokatolikiem i w domu mówię po rusińsku. W latach 60., jeszcze 80. XIX wieku rusiński inteligent mówił: w sensie politycznym jestem Polakiem, gdyż mam świadomość, iż moi przodkowie byli częścią wielkiej Rzeczypospolitej polsko-litewskiej (dodajmy: polsko-litewsko-ruskiej, w końcu najważniejsze dokumenty Wielkiego Księstwa Litewskiego były spisane po rusku). Ale moim językiem macierzystym jest gwara, a dopiero potem pełnoprawny język rusiński. Później ta inteligencja zaczęła mówić: my jesteśmy Ukraińcami. My, ci z Galicji i ci z tamtej strony kordonu, tworzymy jeden starożytny naród ukraiński. I to wszystko widać w obu moich tomach.

Tom drugi nosi tytuł *Razem czy osobno* dlatego, że po 1906 roku pojawił się dylemat: czy Polacy mają żyć razem z mniejszościami narodowymi czy osobno? Najbardziej światli z naszych rodaków, tacy jak Józef Piłsudski i Leon Wasilewski wyobrażali sobie, że będzie to federacja – dodawali bardziej w myślach, szkoda, że nie na piśmie – równoprawnych członków: Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców. Jak wiadomo, historia nie dała szansy tej koncepcji. Po prawdzie, Józef Piłsudski nigdzie nie napisał, jak sobie to wyobraża. Teraz często się mówi, że koncepcja Piłsudskiego i jego otoczenia polegała na tym, żeby stworzyć bufor niezależnych, ale współpracujących z Polską państw leżących między nią a bolszewią. No tak, ale nie trzeba być złośliwcem, żeby zapytać: czy Polacy w tym układzie byliby starszym bratem i siostrą zarazem? To chyba jasne, że tak. I u Piłsudskiego, i u Wasilewskiego jest wiele takich sygnałów: oczywiście, bo my, Polacy, mamy doświadczenie, my najstarsi. I my łaskawie się zgadzamy. Ale na co?! Czy na to, by języki: polski, litewski i ukraiński były równoprawne?! Wiemy, że w ostateczności i legioniści, a potem sanatorzy, kontynuatorzy Piłsudskiego, ale także on sam pod koniec życia, przejęli koncepcję Romana Dmowskiego i endeków. Trochę na takiej zasadzie: skoro są problemy, wy nie bardzo chcecie z Polakami, to my, Polacy, do tej polskości was troszeczkę przymusimy.

RYSZARD GŁOWACKI: Kiedy wybuchła wolna Ukraina w 1991 roku, należałem do koła przewodników w Krakowie i współorganizowałem wycieczki na Ukrainę: na Czarnohorę i w Gorgany. Pamiętam, że w czasie pierwszej wycieczki jechaliśmy autobusem z Horodenki do Zaleszczyk. Po drodze zatrzymała nas Ukrainka z ogromnym bochnem chleba i z jakimś tobołkiem, by ją podwieźć. No i w tym autobusie słyszy obcą mowę. Więc pyta się: *Polacy? O Boże, Polacy! Wróćcie tu jeszcze! Niech tu będzie Polska! Niech tu będzie wreszcie porządek!*. Powiedziałem jej: *Polski to już tu nie będzie. A porządek to musicie sobie zrobić sami.* W czasie włóczęg po Ukrainie często spotykałem Ukraińców, którzy mówili podobnie. W tym roku zajechaliśmy aż do Mołdawii i do Republiki Naddniestrzańskiej. W Kiszyniowie spotkaliśmy Polaka, który opowiadał nam o stosunkach panujących w Mołdawii, no i o sobie. Jest żonaty z Rumunką i ma dwójkę dzieci. Z żoną rozmawia po rumuńsku, a z dziećmi po rosyjsku. Mnie się to nie mieściło w głowie. Mołdawia jest w tej chwili tyglem narodowościowym. Potem pojechaliśmy do Naddniestrza. Tam dopiero jest galimatias. W tym małym państwie (zajmuje ledwie cztery tysiące kilometrów kwadratowych) oderwanym od Mołdawii rządzi 14 Armia Sowiecka. Spotkaliśmy tam księdza, który mówił biegle po polsku, bo skończył seminarium duchowne w Przemyślu. Opowiedział nam, że w Naddniestrzu mają pocztę i znaczki pocztowe, ale listu do Polski stąd wysłać nie można, bo poczta obsługuje tylko i wyłącznie ten kraj. W Naddniestrzu i Mołdawii nadal mieszka wielu Polaków.

M.J.: Te narodowościowe sprawy nie są jeszcze w Europie załatwione.

Michał Jagiełło

Weźmy Wielką Brytanię. Pewnie lada rok odbędzie się tam referendum w sprawie Szkocji: czy Szkocja się oddzieli czy nie? Hiszpania jest na granicy rozpadu – to nie tylko Kraj Basków, ale i Katalonia. U nas zadaje się pytanie, czy istnieje język śląski, czy raczej gwara śląska. Kiedy Biblioteka Śląska zorganizowała promocję moich książek o Wschodzie, w ogóle się nie dało o tym rozmawiać, tylko stale byłem przepytywany, czy istnieje narodowość śląska. Cóż ja mogłem odpowiedzieć w Katowicach, wiedząc, że na sali są przedstawiciele Ruchu Autonomii Śląska? Zajmuję się już tyle lat sprawami narodowościowymi, że mogłem odpowiedzieć tylko tak: *Zapraszam was na piwo za sto lat, wtedy pogadamy. Tylko czas może coś rozstrzygnąć*.

A wracając do tego, że tak na nas czekają na Ukrainie: z tym nie jest tak pięknie. To mogą być tylko

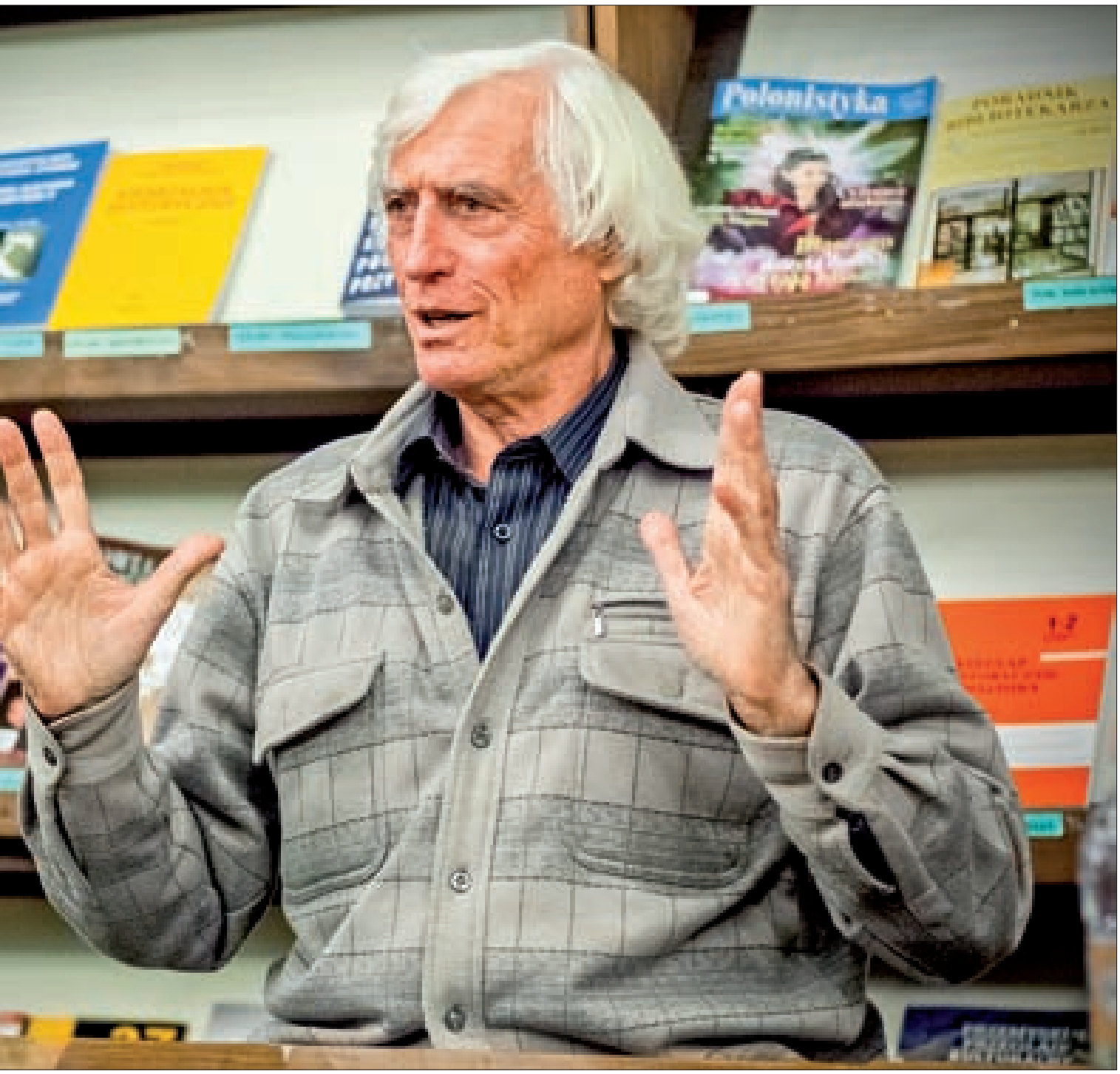

Adam Podulka

jednostkowe przypadki. Szalenie ważne jest, jakimi mitami i legendami pokolenia są karmione przez literaturę. Każdy ma jakąś Rzepichę, jakiegoś Piasta, jakieś myszy, jakiegoś Popiela, choć po prawdzie nie wiadomo, jak było. Nie wiemy przecież, kim był Mieszko I. Nawet nie wiemy, czy to był Słowianin czy może wiking, na co przecież są dość poważne poszlaki. Ważne, że zaczął tworzyć te polany i że jest Polska. Natomiast nowożytna, nowoczesna świadomość narodowa ukraińska wytwarzała się dopiero po Wiośnie Ludów, a tak naprawdę w drugiej połowie XIX wieku i na początku XX wieku karmiona była mitem *Lachy za San!*. Ten okrzyk wywodzi się co najmniej od wojen kozackich. Naród rusiński kształtował się poprzez opór przeciwko polskim panom i jezuitom. Teraz, na szczęście, trzeźwo myślący Ukraińcy mają inny

stosunek do Polaków. My, Polacy, też powinniśmy inaczej podchodzić do Ukraińców. Powinniśmy unikać jakiegokolwiek pouczania, bo nawet nasze zaangażowanie może być rozumiane opatrznie: polskie pany wracają i chcą nas pouczać. Niech oni sami wszystko u siebie porządkują. My porządkujmy u siebie.

Dziś Polacy z Ukraińcami mogą rozmawiać o wszystkim. Coraz częściej polscy historycy rozmawiają z ukraińskimi, białoruskimi i litewskimi o najbardziej dramatycznych momentach w naszej wspólnej historii.

Ale bywa też, niestety, inaczej. Było mi bardzo przykro, kiedy wiele razy na Wileńszczyźnie i w samym Wilnie dostawałem po łbie z obu stron. Jeden z liderów polskiej społeczności w Solecznikach, w obecności ówczesnego ministra kultury i oświaty Litwy, krzyczał na mnie, dlaczego nie idę po *puti* (bo prawie nie mówił po polsku). Dlaczego nie idę po *puti* Lenina i Mickiewicza jednocześnie? I dlaczego ja, rzekomo polski minister kultury, podobno Polak, mówię po litewsku, jak pokazała wczoraj telewizja? Ale ja przecież powiedziałem tylko *Laba diena*, czyli *dzień dobry*. Nawet gdybym chciał, to nie jestem w stanie za wiele powiedzieć po litewsku. A od niektórych Litwinów nieraz słyszałem takie słowa: *Wy, Jogajła, panie Jogajła, wy nasz czy chytry Polak*?. Dlaczego chytry Polak?! Ja reprezentuję państwo polskie! Uważają Władysława Jagiełłę za Litwina, który stał się chytrym Polakiem. Raz do gardła skoczyłem jednemu z profesorów: wyobrażasz sobie, że Wielka Litwa byłaby od Bałtyku do Morza Czarnego? A co z kawalerami mieczowymi? A Iwan? Księstwo moskiewskie przecież rosło w siłę, no i gdyby nie ten genialny pomysł panów krakowskich, w który wszedł Jogajła (Jogajła to przecież było imię) i Vytautas, czyli Witold, to przecież sto lat później Litwy by nie było. Inna sprawa, że Kazimierz Wielki zrzekł się na rzecz jednego z królów czeskich praw do korony polskiej. Oddał mu Śląsk po to, by móc wjechać w Grody Czerwieńskie. Było to w połowie XIV wieku. Można zadać sobie historiozoficzne pytanie: czy to dobrze, żeśmy zaangażowali ogromną energię na Wschodzie poprzez sojusz z Litwą? Przecież i tak musielibyśmy się stamtąd wycofać, nawet wtedy, gdyby nie było Stalina? Trudno sobie wyobrazić współczesne państwo polskie w granicach sprzed I rozbioru. Przy tak silnym poczuciu narodowym Ukraińców, Białorusinów i Litwinów rozpętałoby się tu piekło. Co wcale nie znaczy, że pochwalam to, co zrobił Stalin, który zadecydował: *Polska wycofuje się ze Wschodu, a dostaje za to Szczecin i Wrocław*. W średniowieczu odpuściliśmy Pomorze, Ziemię Lubuską, Śląsk Opolski, Śląsk Cieszyński, Dolny Śląsk, a zaangażowaliśmy się na kilkaset lat na Wschodzie. Dramat polega na tym, że niektórzy z nas w pewnym sensie wciąż są uwięzieni na Wschodzie.

R.G.: A co sądzisz o Goralenvolku?

M.J.: Tę tematykę świetnie przedstawia książka Wojciecha Szatkowskiego *Goralenvolk. Historia zdrady*, która wyszła pół roku temu. Wojciech Szatkowski to historyk, pracownik Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Jego rodzony dziadek był jednym z twórców Goralenvolku. Pod koniec wojny wyjechał z Niemcami i zniknął. Nie wiadomo, czy żyje i co się z nim działo. Część górali dała się omotać Wacławowi Krzeptowskiemu ze świetnej rodziny, prezesowi Związku Górali, a część znalazła się między młotem a kowadłem. Byli szantażowani, że jeśli nie przyjmą karty G, to ich dzieci może spotkać coś niedobrego. Dlatego jestem jak najdalszy od potępiania postaw tych, którzy tę kartę przyjęli. Trzeba wyraźnie rozróżniać zachowania, które są ewidentną zdradą, zaprzaństwem, ciężką kolaboracją, od położenia uszu po sobie, by ratować własną rodzinę. Zdaję sobie sprawę, że taką postawę łatwo jest po dziesięciolecia obciążyć koniunkturalizmem, nazwać miękką kolaboracją. Ale co mogli zrobić ludzie, którzy zostali wrzuceni w niedemokratyczny system.

Uchwalenie Konstytucji 3 maja zawdzięczamy temu, że doszło do porozumienia się różnie myślących politycznie Polaków. To uchwalenie było prawie zamachem stanu. Gdyby nie przyśpieszono obrad Sejmu, gdyby dojechała twardogłowa, mówiąc niełądnym językiem, większość, nie przegłosowano by tego aktu. Nie mielibyśmy jednego z fundamentów nowoczesnej Polski. Ale na szczęście radykałowie demokraci porozumieli się wcześniej z prorosyjskim królem Stanisławem Augustem Poniatowskim. I teraz mamy się czym chwalić.

Podobnie w XX wieku: gdyby nie porozumienie polskich elit jesienią 1918 roku, mimo wszystkich ogromnych różnic, nie byłoby możliwości rozbrajania żołnierzy i żandarmów. Działająca z upoważnienia Niemców Rada Regencyjna dała na to ciche przyzwolenie. Gdyby Józef Piłsudski nie wziął do swojej armii generałów, którzy wcześniej strzelali do siebie – no bo jeden był generałem austriackim, drugi rosyjskim, a trzeci pruskim – tobyśmy, być może, nie obronili się potem przed bolszewickim atakiem. I później: gdyby nie porozumienie Okrągłego Stołu, toby nie było tego fenomenu, że partia, było nie było jakoś tam komunistyczna, oddaje władzę i zmieniamy ustrój bez jednej wybitej szyby. Przeprowadziliśmy zmianę ustroju, kiedy formalnie istniał PRL, prezydentem był człowiek PZPR, a w Polsce stacjonowała Armia Czerwona. Wiem, jak wielkie było zagrożenie. Gdyby Jaruzelski powiedział wtedy: *Chłopaki, przeszkadzać Mazowieckiemu*, to mogło nam się nie udać. Nie wiem, czy Jaruzelski, Kiszczak i Siwicki robili to z czystego koniunkturalizmu, czy też przejrzeli na oczy, ale gdyby nie chcieli wspierać Mazowieckiego, tobyśmy byli teraz w zupełnie innym miejscu. Generalnie opowiadam się przeciwko wszelkim powstaniom, żadne powstanie nic nam nie dało. Każde powstanie to była klęska i traciliśmy. Jestem za miękkim oportunizmem: kiedy jest źle,

trzeba ratować substancję: tworzyć prywatne biblioteki, takie jak u Pawlikowskich w Medyce. Można tak jak Jan Gwalbert Pawlikowski zamówić u Witkiewicza Dom pod Jedlami, takie centrum polskości. A co? Czy Pawlikowski biegał po ulicy i krzyczał: *bijmy Austriaków!*? Musiał się z nimi jakoś układać. To jest mało efektowne, kiedy się mówi o pojednaniu i porozumieniu. I bardzo trudno odróżnić skurwysynów i ewidentnych drani od ludzi, którzy może nie byli superbohaterami, ale coś dobrego zrobili. Nie mnie oceniać postawę na przykład Jarosława Iwaszkiewicza. Dobrze, że ukazują się o nim kolejne książki. Starał się robić dobrze, choćby wydając miesięcznik „Twórczość".

ANDRZEJ SKIBNIEWSKI: Czy myśli pan o trzeciej części *Przewodnika po lekturach*? Bo drugi tom kończy się w momencie, od którego zaczyna się jeden z najciekawszych okresów w polskiej historii, oceniany bardzo niejednoznacznie.

M.J.: Moi znajomi namawiają mnie, żebym kontynuował ten cykl. Ale chyba się na to nie zdecyduję: materiał jest zbyt obszerny. Nie mógłbym tak szczegółowo analizować prasy. Do 1864 roku przejrzałem wszystko, co się wtedy ukazało, nawet pisemka wychodzące w nakładzie stu egzemplarzy w Paryżu, po powstaniu listopadowym, jeśli było w nich na przykład coś o naszych Rusinach. Potem już, na przełomie XIX i XX wieku, tej prasy było znacznie więcej; samych polskich dzienników było kilkadziesiąt. Więc musiałem wybierać i uważać, by przez przypadek nie skrzywić swojej książki poprzez własne sympatie polityczne. Lokowałbym je w umiarkowanym skrzydle Polskiej Partii Socjalistycznej, mam też dużą sympatię do PSL-Wyzwolenie. Byłbym zwolennikiem jakiejś socjaldemokracji. W żadnym wypadku nie Komunistycznej Partii Polski. Mam określone poglądy polityczne i głosuję na taką, a nie inną partię, więc niektórzy dziwią się, że w mojej książce jest nadreprezentacja cytatów z Dmowskiego i przedstawicieli endecji. Pilnowałem się, żeby zbyt często nie cytować Piłsudskiego, Wasilewskiego, Abramowskiego, publicystów z lewicy – przez co zamieściłem bardzo dużo tekstów Popławskiego, Dmowskiego, Balickiego. Jakżesz oni pisali! To byli wspaniali polemiści! No więc z drugiej strony po cichu chwali mnie obecna prawica.

Te dwa tomy spotkały się z dobrym przyjęciem i zainteresowaniem, co znaczy, że temat jest wciąż nośny i że moja metoda, polegająca na tym, że przedstawiam czytelnikowi materiał, by on sam wyciągał sobie wnioski, się sprawdziła.

Opr. redakcja

Summary

I try not to think in terms of black and white

The text contains extensive excerpts from conversation with Michał Jagiełło – journalist, essayist, poet and prose writer, deputy minister of culture during the years 1989–1997 and director of the National Library (1998–2006). The meeting was held on the occasion of the promotion of his book entitled *Together or separately?*, which first part is *The nations and nationalities*. Both volumes present the way that Polish public opinion saw – from the turn of the XVIII and XIX century till 1918 – the national issues, especially in the lands lying on the east of the present Polish borders (formerly belonging to Poland). Author pays special attention to multinationality and multiculturalism of these lands, as well as to – changing over the time – sense of identity of its inhabitants. Volume I and II have the same subtitle *A Guide to readings*, because both have very extensive bibliography containing not only greater publications, but also interesting social life documents such as: press releases, speeches, proclamations, etc.

Translated by Sylwia Mikuła

Michał Jagiełło (ur. 1941 w Janikowicach pod Krakowem) – historyk literatury polskiej, prozaik, eseista, publicysta i poeta. Absolwent polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Od młodości związany z górami: taternik, ratownik, były naczelnik Grupy Tatrzańskiej Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, członek honorowy Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. W latach 1966–1981 członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Przez rok zastępca kierownika Wydziału Kultury Komitetu Centralnego PZPR, z której to funkcji zrezygnował po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Publikował w drugim obiegu. W latach 1989–1997 wiceminister kultury i sztuki, a w okresie 1998–2006 dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie. Od wielu lat prowadzi ćwiczenia *Mniejszości narodowe w Polsce* w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", litewskim orderem Księcia Giedymina IV stopnia i ukraińskim krzyżem „Za zasługi" III stopnia. Autor książek, między innymi: *„Tygodnik Powszechny" i komunizm (1945–1953)* (drugi obieg, 1988), *Trwałość i zmiana. Szkice o „Przeglądzie Powszechnym" 1884–1918* (1993), *Partnerstwo dla przyszłości. Szkice o polityce wschodniej i mniejszościach narodowych* (wyd. 2, 2000), *Próba rozmowy. Szkice o katolicyzmie odrodzeniowym i „Tygodniku Powszechnym" 1945–1953* (t. 1–2, 2001), *Słowacy w polskich oczach. Obraz Słowaków w piśmiennictwie polskim* (t. 1–2, 2005), *Wołanie w górach. Wypadki i akcje ratunkowe w Tatrach* (wyd. 7, 2006), *Goryczka, słodyczka, czas Opowieści* (2007), *Sosna i pies. Poemat z Zagrody* (2008), *Ciało i pamięć. Wiersze* (2010). Ostatnio ukazały się: *Narody i narodowości. Przewodnik po lekturach* (t. 1, 2010), *Razem czy osobno? Przewodnik po lekturach* (t. 2, 2011) oraz album *Tatry. Koncert na dwóch* (2012), zawierający 25 wierszy Michała Jagiełły i 54 fotografie Tatr Krzysztofa Wojnarowskiego.

Nasi czy nie nasi?

Polska i jej Kresy w opiniach inteligencji patriotycznej w przededniu niepodległości

Bruno Drwęski

W tej książce Michał Jagiełło prowadzi nas na kolejną wyprawę po meandrach rozwijającej się nowoczesnej tożsamości polskiej. Tożsamości rozwijającej się w warunkach ścierania się z prądami narodowymi alternatywnymi wobec spuścizny Pierwszej Rzeczypospolitej, po wielkim, ale i dopiero wstępnym, wstrząsie 1905 roku na obszarach zaboru rosyjskiego, ale także poniekąd i pruskiego. Pierwszy wstrząs na miarę ogromnego imperium carsko-feudalno-kapitalistycznego z perspektywy czasu wydaje się zadziwiająco zbyt słabo uwzględniany przez polskie elity, które stawiały sobie wówczas za cel usamodzielnienie się narodu na obszarze co najmniej byłej Rzeczypospolitej z 1772 roku, jak i dalej, na zachodzie (Śląsk, Mazury, Pomorze Zachodnie) bądź na wschodzie (Ukraina lewobrzeżna oraz wybrzeże czarnomorskie wraz z Krymem).

Autor dobierał w sposób przekonujący kluczowe elementy bogatej literatury głównych polskich myślicieli, swoistych strategów tej przyszłości. Strategów i marzycieli zauważających, owszem, rosnące wpływy coraz bardziej wykluczających się wzajemnie nacjonalizmów na spornych ziemiach, ale także najczęściej stroniących od dogłębnych analiz ogólnoświatowych procesów gospodarczych i społecznych, stanowiących bazę ówczesnych procesów kulturowych i narodowotwórczych, na które Polacy, z braku własnej państwowości, nie mieli i mieć nie mogli decydującego wpływu.

Ucieczka w sferę marzeń i idealizowanej rzeczywistości oraz nierealne plany są charakterystyczne dla grup niemających wpływu na bieg wydarzeń. Idealizm na krótką metę zawsze przegrywa z materializmem. Bo te dwie strony życia muszą biec osobnym rytmem. Jedne grupy definitywnie zanikają, inne użyźniają swoimi ideami glebę, na której wyrosną całkiem odmienione społeczności. Tak właśnie się stało ze spuścizną byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów u współczesnych, z powrotem „u-piastowionych" Polaków. No i prawdopodobnie doświadczą tego też i inne narody Międzymorza lub rodem z Międzymorza, w miarę jak wydorośleją.

Człowiekowi jakoś trudno dostrzec swój nieunikniony upadek. Tak też bywa ze społeczeństwami. I taka była sytuacja „tradycyjnych" Polaków, z ich słabnącymi elitami ekonomicznymi, usytuowanymi między nowoczesnymi zachodnimi imperializmami a masą rosyjską doganiającą mocarstwa z całą swoją, dostosowaną do tych czasów „węgla i stali", bezwzględnością. Całkiem nowa Polska mogła się, owszem, narodzić, i się narodziła. Ale coraz bardziej traciła naturalny związek z odchodzącą bezpowrotnie w przeszłość „sielanką kresową". Autor zresztą daje nam odczuć, że samo pojęcie Kresów jest już zdradą wspólnego spadku. Z początku nie było przecież narodu środka i narodów peryferii. Wilno na przykład przed rozbiorami było w takim samym stopniu centrum, a może i w większym, jak podupadający od XVII wieku Kraków. Tak zresztą było jeszcze po 1795 roku aż do co najmniej 1831 roku. Odgrywało ono rolę stolicy kulturowej „Rzeczpospolitańskiej", polskiej, białoruskiej, litewskiej, żydowskiej, nie wspominając o jego znaczeniu dla Karaimów i Tatarów.

Nie było więc już przed pierwszą wojną światową miejsca na niewielką tylko i patriarchalną przebudowę społeczną, wymarzoną czy to przez konserwatystów latyfundystów, czy to przez demokratów, czy nawet socjalistów – czyli przez rodzącą się inteligencję, warstwę typową dla krajów peryferii kapitalizmu, bez odpowiedniej bazy materialnej i klasowej, by stać się ośrodkiem władzy. Pozostało nam jednak coś z tych czasów, co pokazuje właśnie Michał Jagiełło: to, co ponadczasowe: literatura, idee, marzenia, opinie, wizje, apele, programy, dramaty, tęsknoty… To, co należy szanować, nawet jeśli nie jest zgodne z naszymi poglądami. Właśnie na tym polega szczególna wartość drugiego tomu książki Jagiełły, ukazującego wielki trud tych, którzy w swej różnorodności nie mogli uratować tego, co kiedyś politycznie łączyło ludy Rzeczypospolitej. Wydarzenia między rokiem 1918 a 1945 udowodniły to ostatecznie. Ten trud inteligencji nie poszedł jednak na marne, bo przekazała ona potomnym świadomość trwałych więzów, zdolnych przetrwać mimo granic państw, różnic narodowościowych i klasowych, zmieniających się epok i ustrojów. Ta konstatacja to chyba największa wartość tej pracy.

Michał Jagiełło dokonał wyboru cytatów z polskiej publicystyki lat 1907–1918, utrwalając dla potomnych zawarty w niej obraz sporów i wahań w kontekście zagadnień narodowościowych. Wpierw ukazał tęsknotę za byłą wyidealizowaną wspólnotą: *Narodowi polskiemu obce były i obce są teraz wszelkie hasła przemocy i wynaradawiania. Polacy nieśli na Litwę i Ruś pochodnię kultury ze szlachetną i niezawodną dewizą: wolni z wolnymi, równi z równymi.* Widać,

że już wówczas marzyciele odróżniali naród polski od narodów kresowych. Naród przynoszący kulturę narodom, a jednocześnie odbierający tym niby-biernym narodom ich własną kulturę. Nie było więc już wspólnoty politycznej ponadnarodowościowej, równej. Dostrzec można, że rozwinął się spór między rzecznikami powstania nowych, zwartych i nowoczesnych narodów, który zastępował coraz bardziej stare tarcia polsko-rosyjskich elit politycznych, czego skutki można było w pełni zauważyć dopiero po 1991 roku, kiedy ani Polska, ani Rosja nie panowały już niepodzielnie na tych obszarach. Nowe państwa zapewne nie powstałyby bez tej twórczej sprzeczności między Polską a Rosją, bez tego pierwotnego sporu o ziemie już definitywnie kresowe dla obu tych narodów (rosyjska „bliższa zagranica", a polskie „Kresy").

Dziś może budzić zdziwienie na ogół niby-czyste sumienie ówczesnych luminarzy polskiej myśli, ale i rodzący się nowoczesny już spór wraz z unowocześnionym etnocentryzmem: *Przyznajemy, że może dawniej, głównie np. w XVII wieku, źle traktowaliśmy kwestię ruską, ale w ostatnich latach Rzeczypospolitej* [...] *dążyliśmy do naprawy. Pod tym kątem mamy czyste sumienie* [...] *i w początkach ery konstytucyjnej mamy czyste sumienie w stosunku do Rusinów* [...] *wszystko to, co mają Rusini w Galicji, zawdzięczają tylko polityce polskiej,* [...] *Rusini w tej walce udziału nie brali – zawsze stali wiernie przy boku centralistów.* Autorowi tych słów nie przyszło do głowy chociażby pytanie: niby dlaczego Rusini woleli, jeśli już, centralizację od autonomii, która w dodatku nie była dla nich? Bo jaki awans społeczny autonomia galicyjska proponowała chłopom, którzy stanowili zdecydowaną większość Rusinów?

Żaden wolny naród nie lubi i nie chce być pograniczem centrów cywilizacji. Nie można się więc dziwić, że Rusinów – dziś powiedzielibyśmy: Ukraińców – nie mogła zbytnio pociągnąć taka najbardziej polocentryczna wizja przyszłości: [...] *Ruch Ukraiński naturalnym pędem musi przeć w tą stronę, gdzie leży ogromna jego większość: w kierunku Dniepru i Donu aż po Morze Czarne.* [...] *A dla nas niezależna Ukraina to potężny wał ochronny na froncie Wschodnim. Dla nas*, czyli *Oni to jednak już nie my!*, i to w momencie, kiedy postęp społeczny, pokój i rozbrojenie stały się marzeniem narodów.

Narodowości musiały więc z tradycyjnych form państwowości ponadetnicznej, z tradycyjnymi podziałami religijno-ludowymi, przeobrazić się w prawdziwe narody. Dotyczyło to również narodowości „nieterytorialnych": [...] *by wyznawcy judaizmu stali się częścią narodu polskiego, podobnie jak ewangelicy, katolicy i muzułmanie, tak samo jak mieszczanie i chłopi* [...]. O prawosławnych, a szczególnie o grekokatolikach cytowany przez Jagiełłę współczesny autor wspomnieć nawet nie raczy. Co świadczy także i o tym, że religie stały się w czasach nowoczesnych co najwyżej dodatkami do „nowej wiary" tych czasów państwowo-ideologiczno-narodowych. Dodatkami przerobionymi, służebnymi, instrumentalizowanymi.

Mamy więc tu do czynienia z bardzo nam potrzebnym, dobrze wyselekcjonowanym i jasno wytłumaczonym materiałem źródłowym, który daje zrównoważone spojrzenie na ówczesną ewolucję polskiej myśli narodowej – jej główne nurty, jej braki, jej odniesienia do narodów już coraz mniej swojskich, a coraz bardziej sąsiednich – oraz na inne problemy dzielące wewnętrznie polski naród. Problemy narodowościowe, ekonomiczne i społeczne, których rozwiązania próbowały znaleźć, często skutecznie, zgodnie ze swoimi interesami mocarstwa dążące przez cały XX wiek do opanowania obszaru Międzymorza Bałtycko-Czarnomorskiego. Książka Michała Jagiełły daje obraz uczuć i wizji w przededniu „wielkiego przeobrażenia". ●

Michał Jagiełło

Razem czy osobno?
Przewodnik po lekturach, tom II

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2011

Dr hab. Bruno Drwęski (ur. 1955 w Montrealu) – historyk i politolog. Mieszka na stałe we Francji. W 1978 roku ukończył historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktoryzował się z historii na Uniwersytecie Sorbonne Nouvelle – Paris III (1982) oraz z politologii w Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu (1991). W 2002 roku uzyskał habilitację z politologii na Uniwersytecie Marne-la-Vallée w Paryżu. Wykładowca w Narodowym Instytucie Języków i Kultur Wschodnich (INALCO) w Paryżu. Sekretarz naukowy Ośrodka Studiów nad Europą Środkową Narodowego Instytutu Języków i Kultur Wschodnich (CEEM – INALCO) w Paryżu. W latach 2007–2009 wykładowca politologii na Uniwersytecie Rzeszowskim. Stały współpracownik Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu. Członek redakcji wielu francuskich czasopism naukowych, między innymi: „Outre-Terre. Revue Française de Géopolitique", „La Pensée Libre", „Revue des Études Slaves". Autor książek o społeczeństwach Europy Środkowo-Wschodniej i Bliskiego Wschodu.

„Ruska wyspa"

Adam Białoń

Twórczość pisarska, ta naukowa, jak i mniej naukowa, poświęcona Łemkowszczyźnie w najrozmaitszych kontekstach i odcieniach jest naprawdę spora. Urokliwość tegoż tematu przyciągała naukowców i publicystów różnej proweniencji, którzy w obszarze zagadnień dotyczących kwestii przynależności etnicznej, narodowej, religijnej, kulturowej, etc. próbowali stosować różne metody i narzędzia badawcze, nie wspominając już o próbach wprzęgania „kwestii łemkowskiej" w polityczne tryby. Co ciekawe, sprzyjała temu i nadal sprzyja swoista moda i zapotrzebowanie na badanie czy opisywanie zjawisk, procesów i zagadnień nazywanych od jakiegoś czasu niszowymi oraz różnych aspektów pograniczy kulturowych i etnicznych, prężnie w ostatnich latach rozwijające się w wielu krajach Europy.

Do tego i tak imponującego dorobku pisarstwa o Łemkowszczyźnie doszła w ostatnim roku kolejna publikacja o charakterze naukowym *Rzecz o łemkowskiej enklawie na północ od Krosna. Prace dedykowane dr. Modestowi Humeckiemu z okazji 170. rocznicy urodzin* pod redakcją Sebastiana Dubiel-Dmytryszyna. Ta dość skromnie się prezentująca książka już samym tytułem może w wielu czytelnikach wywołać zdziwienie. Powszechnie bowiem wiadomo, iż osadnictwo łemkowskie koncentrowało się w paśmie Karpat, istnienie zaś jeszcze do końca lat 40. XX wieku wsi łemkowskich około 60 kilometrów na północ od tegoż pasma może być dla wielu sporym zaskoczeniem. Mieszkańców tych dziewięciu wiosek: Bonarówki, Czarnorzeki, Krasnej, Oparówki, Pietruszej Woli, Rzepnika, Węglówki, Gwoździanki i Bliznianki już od XIX wieku nazywano Zamieszańcami, co prawdopodobnie pochodzi od ich obszaru zasiedlenia z dala od Łemkowszczyzny, wmieszanego (zamieszanego) w zwarte osadnictwo polskie. Podtytuł tomu ma zaś swego bohatera w osobie Modesta Humeckiego (1842–1899), syna greckokatolickiego księdza, łemkowskiego patrioty, jednego z budzicieli samoświadomości łemkowskiej w XIX wieku, związanego przez całe swe życie zawodowe z ziemią krośnieńską i zasłużonego burmistrza miasta Krosna. Zbiór tematycznie dzieli się na dwie zasadnicze części: pierwszą poświęconą właśnie wybitnej w społeczności łemkowskiej postaci Humeckiego, poety, działacza społecznego i lekarza, drugą dotyczącą historii, kultury i tożsamości nieistniejącej już enklawy Łemków krośnieńskich. Całość otwiera dość interesująca przedmowa, zbyt długa jednak w stosunku do objętości zbioru, jak i poszczególnych artykułów, dotycząca wielu złożonych zagadnień. Młody, jak mniemam, naukowiec – sądząc po skłonności do maksymalnego nasycania tekstu specjalistyczną terminologią z różnych dziedzin nauki i specyficzną w warstwie językowej manierą w formułowaniu wywodów i refleksji (co jednak nie jest zarzutem) – podjął się próby połączenia w szerokim omówieniu najważniejszych, poruszanych w artykułach zagadnień. Tekst z gatunku tych zaangażowanych, co nie może dziwić z racji osobistego identyfikowania się autora z opisywaną społecznością. We fragmentach przypomina punkt widzenia znany z twórczości Bogdana Huka, kto zatem lubi ten rodzaj dyskursu, będzie zadowolony. Razić może używanie przez autora terminu *Ruś Krośnieńska*. Powszechnie nazwę *Ruś* łączy się z określonymi konotacjami polityczno-narodowościowymi (tak jak Ruś Kijowska czy Ruś Halicka), jednak w odniesieniu do kilku krośnieńskich wsi zastosowanie tego terminu jest swego rodzaju nadużyciem i może błędnie sugerować istnienie tam jakiegoś silnego ośrodka integrującego lokalną społeczność w znaczeniu narodowościowym czy politycznym.

Większość artykułów zawartych w tym tomie była już wcześniej publikowana. Dość solidnie od strony aparatu naukowego prezentuje się artykuł Stanisława Stępnia *Ruska „wyspa" w polskim otoczeniu. Wokół tożsamości narodowej „Zamieszańców"*. Autor, znany przemyskim czytelnikom ze swojej publicystyki w lokalnej prasie, bez silenia się na złożone konstrukcje słowne, kreśli tło historyczne i charakteryzuje specyfikę różnych aspektów życia społeczności krośnieńskich Zamieszańców. Dla zainteresowanych pogłębianiem wiedzy na ten temat tekst może stanowić punkt wyjścia dalszych badań. Podobnie jak artykuł *Historia i kultura Łemków krośnieńskiej „wyspy"* nieżyjącego już Petro Kohuta, pochodzącego z zamieszańskiej wsi Pietrusza Wola, opisujący krótko w kolejnych akapitach historię wszystkich po kolei wsi tytułowej „wyspy".

Artykuł Oleny Duć-Fajfer *Modest Humieckij w pamięci kulturowej Łemkowyny*, napisany specjalnie do tego tomu, stanowi zarazem jego najwartościowszą pozycję, jako że jest chyba jedną z pierwszych w polskiej historiografii naukowych prób oceny postaci Modesta Humeckiego. Przybliżając nieco czytelnikowi jego osobę, należy pamiętać, że był on klasycznym przykładem przedstawiciela ruskiej inteligencji swoich czasów, zarówno w wymiarze postawy ideologicznej, jak i pochodzenia społecznego czy rodzinnego. A wychowywał się w rodzinie kapłańskiej. Jego ojciec Jan, długoletni proboszcz Rzepnika koło Krosna, jak większość ówczesnych greckokatolickich księży należał do elity społeczności ruskiej z racji swego wykształcenia i prestiżu społecznego. On właśnie miał zasadniczy wpływ na kształtowanie się światopoglądu i zainteresowań syna. Przyszły lekarz od najmłodszych lat przygotowywany był jednak przez

ojca do stanu duchownego. Tradycją bowiem w rodzinach greckokatolickich księży było, że profesję tę (a często i parafię) dziedziczyło się z ojca na syna. Pomimo podjęcia studiów teologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, szybko porzucił zamiar zostania księdzem, przenosząc się na wydział lekarski tej uczelni. Swoisty wewnętrzny nakaz wpojony mu przez ojca księdza, aby swą pracę i działalność traktować jak misję i rodzaj posługi wobec bliźnich i społeczeństwa, realizował przez całe swe życie zawodowe. Czuł się jednak blisko związany ze środowiskiem kapłańskim, rozumiał jego problemy. Już jako uznany lekarz o ugruntowanej pozycji społecznej wielokrotnie wspomagał finansowo przemyski Instytut Wdów i Sierot po zmarłych greckokatolickich księżach. Podobną troskliwością o dobro wspólne wykazywał się będąc lekarzem, a przede wszystkim burmistrzem Krosna, zapisując się we wdzięcznej pamięci wszystkich jego mieszkańców, bez względu na narodowość i wyznanie. Artykuł Duć-Fajfer, choć niepozbawiony wątków biograficznych Humeckiego, skupia się jednak na innym, równie ważnym obszarze jego działalności. Oprócz nakreślenia tła historycznego kultury łemkowskiej oraz specyfiki środowiska, w którym żył, działał i tworzył Humecki, autorka skupia się głównie na charakterystyce jego dorobku pisarskiego, poszczególnych utworów, wyodrębniając w nich wpływy pisarstwa i poezji polskiej oraz wskazując na te rodzime, charakterystyczne dla kręgu kulturowego łemkowskiego czy szerzej – ruskiego. Autorka stawia Humeckiego w rzędzie czołowych budzicieli świadomości narodowościowej Łemków „złotego sześćdziesięciolecia" w kulturze łemkowskiej, chociaż pomija głębszą analizę tego, jak twórczość Humeckiego wpływała na ów proces budzenia oraz czy i jaki wpływ wywarły jego utwory na innych twórców kręgu kultury łemkowskiej.

Typowym zaś artykułem biograficznym jest praca Stanisława Pomprowicza *Modest Humiecki (1824–1899) – życie i twórczość*, charakteryzująca poszczególne etapy życia bohatera. Całość tomu uzupełniona jest unikatowymi zdjęciami, głównie z okresu międzywojennego. Te nigdzie dotąd niepublikowane, pochodzące z archiwów rodzinnych fotografie są niepowtarzalnym zapisem scen z życia codziennego oraz różnych uroczystości obchodzonych w nieistniejących już łemkowskich wsiach w okolicach Krosna.

Charakterystyczną cechą niemal wszystkich publikacji o Łemkowszczyźnie, także i tej, są powracające pytania: czy świadomość narodowościową wśród ludności łemkowskiej można odnieść, nawet jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym, do jej ogółu czy tylko do jej, nazwijmy to, elit, czy też do jednostek najbardziej uświadomionych, które ową świadomość własną chciały rozciągnąć lub nawet narzucić ogółowi? Czy świadomość ta była udziałem wszystkich, większości czy niewielkiej, ale aktywnej grupy owych budzicieli? Czy świadomość ta była skażona czynnikami zewnętrznymi, chcącymi Łemków wtłoczyć w ramy wygodnych dla siebie koncepcji polityczno-narodowościowych? Trudno powiedzieć, czy omawiany tom wniesie do tegoż toczącego się dyskursu coś nowego. Jego walorem jest natomiast ponowne zaistnienie, tym razem jako obiektu badań, zapomnianej dziś nieco sylwetki Modesta Humeckiego oraz to, że zebrano w nim artykuły poświęcone krośnieńskim Zamieszańcom. Zważywszy, iż dotąd zagadnienie to nie doczekało się zbyt wielu opracowań, publikacja ta będzie przez jakiś czas swoistym kompendium wiedzy i odzwierciedleniem stanu badań. Z pewnością nie jest to książka dla każdego, ale dla dość wąskiego grona badaczy lub osób mających osobisty, sentymentalny stosunek do poruszanych w niej zagadnień. Choć, z drugiej strony, niewielka objętość tomu, urozmaicona sporym materiałem fotograficznym, czyni go „strawnym" nawet dla laików. Wypada mieć zatem nadzieję, że publikacja zostanie dostrzeżona nie tylko przez naukowców i specjalistów z tej dziedziny i zgodnie z życzeniem autora przedmowy wywoła *płomienną dyskusję* po jej lekturze.

Rzecz o łemkowskiej enklawie na północ od Krosna. Prace dedykowane dr. Modestowi Humeckiemu z okazji 170. rocznicy urodzin

pod red. Sebastiana Dubiel-Dmytryszyna, Wydawnictwo RuthenicArt, Krosno 2012

Adam Białoń (ur. w Limanowej) – absolwent historii na Uniwersytecie Jagiellońskim, studiował też na tej uczelni historię sztuki. Od 2002 roku współpracownik, a następnie pracownik naukowy Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu. Autor artykułów i recenzji publikowanych w „Biuletynie Ukrainoznawczym", „Studiach Polsko-Ukraińskich" oraz biogramów do *Słownika biograficznego twórców oświaty i kultury XIX i XX wieku Polski Południowo-Wschodniej*. Doktorant w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie przygotowuje rozprawę o działalności charytatywnej Kościoła greckokatolickiego w okresie międzywojennym.

Jezuici i Pani na Jarosławiu

Anna Siciak

Listy księdza Piotra Skargi zostały wydane z inicjatywy Parafii pod wezwaniem Bożego Ciała i Stowarzyszenia Kulturalno-Wychowawczego im. ks. Piotra Skargi w Jarosławiu. Tym gestem został uczczony Rok Księdza Piotra Skargi, ustanowiony przez Sejm z okazji czterechsetlecia jego śmierci. Zawartość publikacji stanowi wybór listów pisanych przez Piotra Skargę do przełożonych Towarzystwa Jezusowego, dotyczących projektu założenia w Jarosławiu kolegium jezuickiego. Korespondencja (z okresu 21 czerwca 1571 – 12 sierpnia 1604) została zamieszczona równolegle w dwóch językach: łacińskim i polskim. Autor listów (ur. 2 lutego 1536, zm. 27 września 1612) był jezuitą, teologiem, pisarzem i kaznodzieją, przedstawicielem kontrreformacji w Polsce, nadwornym kaznodzieją Zygmunta III Wazy, ponadto rektorem Kolegium Jezuitów w Wilnie, a także pierwszym rektorem Uniwersytetu Wileńskiego. Był znany z patriotyzmu i pobożności, co uzewnętrzniał w swoich kazaniach, a ich treść oraz umiejętność głoszenia zjednywały mu popularność i zaufanie wielu wiernych. Wśród nich była księżna Zofia z Odrowążów Tarnowska, ówczesna właścicielka Jarosławia, która w 1571 roku postanowiła ufundować w tym mieście kolegium jezuitów wraz z kościołem. Na mediatora w tej sprawie wybrała księdza Piotra Skargę, z którym korespondowała i którego sprowadziła do Jarosławia. Pośrednio dzięki Skardze wiemy, jak usilnie zabiegała o kolegium, choć jezuici skłaniali się raczej, aby utworzyć je w Przemyślu lub we Lwowie. Skarga tak pisał o księżnej Tarnowskiej do Franciszka Borgiasza, przełożonego generalnego Towarzystwa Jezusowego w Rzymie: *Niech wie jednak Wasza Wielebność, że nie uspokoi się ona, dopóki czegoś nie zdziała*. W czerwcu 1571 roku wydawało się już, że sprawa została przesądzona wbrew życzeniom księżnej, o czym Skarga wspominał następująco: *Tej kobiecie z Rusi* [Zofii Tarnowskiej] *odpowiedział Wielebny Ojciec Prowincjał, że przecież ja, zgodnie ze swoją decyzją, nagliłem raczej do* [wyboru] *Przemyśla, wciąż jeszcze nie chcąc zdecydować się na Jarosław*. Tarnowska nie ustawała jednak w naleganiach na ustanowienie siedziby w Jarosławiu, choć Skarga, zgodnie z instrukcją wydaną przez władzę zakonną, miał ją od tego odwodzić, używając *całego swego sprytu i zręczności* […]. Ostatecznie „Pani jarosławska" przekonała do swoich racji księdza Piotra następującymi słowami: *gdybym wiedziała, że Lwów i Przemyśl bardziej rozświetlą chwałę Pana, wówczas przeniosłabym tam nie tylko kolegium, ale i samą siebie wraz z całym dworem*. Skarga uwierzył wówczas, że kasztelanka Tarnowska działała z Bożego natchnienia. Wniosek ten nasunęło mu nie tyle zacytowane wyżej zdanie, ile okoliczności, w jakich księżna sformułowała powyższą myśl.

Ks. Piotr Skarga

Listy

Przełożył i opracował Paweł [Tomasz] Kozioł, Stowarzyszenie Kulturalno-Wychowawcze im. ks. Piotra Skargi w Jarosławiu, Jarosław 2012

W lutym 1573 roku ostatecznie zostało uzgodnione, że w Jarosławiu zostanie utworzone kolegium, a wszelkie koszty związane z budową i utrzymaniem poniesie kasztelanka Zofia Tarnowska. Przeznaczyła na to pieniądze w gotówce oraz przepisała na własność jezuitów wieś Pawłowe Sioło do niej należącą. Miejsce do wzniesienia kolegium i świątyni w Jarosławiu zostało wybrane przez księdza Piotra Skargę i ówczesnego biskupa przemyskiego Walentego Herburta (1524–1572) na wzgórzu od północno-zachodniej strony. Pisał Skarga o tej lokalizacji następująco: *Z trzech stron ma stromy brzeg w kształcie łuku, a z niego roztacza się widok na rzekę San, zagrody i piękne pola, pod wzgórzem zaś dano Towarzystwu stawy rybne i jak najprzyjemniejsze miejsce na odpoczynek. Samo wzgórze może pomieścić nie tylko kolegium, lecz także ogrody i winnice*.

Świątynia wraz z sąsiadującym kolegium została zbudowana przez Józefa Bricciusa w latach 1582–1594. Jezuici osiedlili się w Jarosławiu w 1574 roku. Budowla przetrwała do dzisiaj jako kolegiata pod wezwaniem Bożego Ciała; mieści się przy placu Piotra Skargi. Należy do najstarszych kościołów pojezuickich w Polsce. W ołtarzu głównym znajduje się obraz Matki Bożej Śnieżnej z 1584 roku, przekazany do Jarosławia przez świętego Franciszka Borgiasza, generała zakonu jezuitów.

Podkreślenie starań księżnej Zofii Tarnowskiej i jej wielkiej hojności oraz przypomnienie o wiekowości kolegiaty, ponadto nawiązanie do Roku Skargi – to świetne powody do zainicjowania wydawnictwa, które wszem i wobec ogłasza o tych ważnych w dziejach Jarosławia faktach. Wybór listów Skargi w języku polskim pomoże uzupełnić wiele kwestii związanych z przeszłością miasta. Staranne tłumaczenie listów z języka łacińskiego oraz współczesna forma przekładu (ponieważ *tłumacz starał się unikać archaizacji*) pozwalają na zaczytanie się i łatwe przyswojenie wiedzy. Choć we wstępie tłumacz poinformował nas o trudnościach związanych z pracą translatorską, nie dają się one zauważyć w tekście. Wydaje się to potwierdzać zasadę, że im więcej wysiłku włoży w swoją pracę autor i tłumacz, tym łatwiejszy odbiór ma czytelnik. Porównując styl listu pisanego przez księdza Skargę w języku polskim z przełożonymi z łaciny listami, zdecydowanie przychylam się do koncepcji zastosowania współczesnych środków stylistycznych w tej publikacji.

Książka ma jeden mankament: brakuje w niej wstępu historycznego odnoszącego się do sylwetki fundatorki Zofii Tarnowskiej, dziejów budowy kolegium i świątyni oraz ich późniejszych losów. Przypuszczam, że wydawcy przewidują następną publikację, w której te zagadnienia zostaną szczegółowo i dostatecznie wyjaśnione.

Ballansowanie

Monika Maziarz

O Vladimírze Balli (ur. 1967), który publikuje wyłącznie pod nazwiskiem, mówi się, że jest „najdziwniejszym" pisarzem na Słowacji. Pewnie dlatego, że ma specyficzny, powiedzielibyśmy, gombrowiczowski, stosunek do patriotyzmu i religii, jest szorstkim i prześmiewczym obserwatorem słowackiej rzeczywistości, nie próbuje przypodobać się krytykom i konsekwentnie, gardząc komercyjnymi trendami, podąża własną literacką drogą. Przy tym wszystkim zdumiewa fakt, iż pisarz z wykształcenia jest ekonomistą i na co dzień pracuje jako urzędnik w powiatowych Nowych Zamkach, gdzie mieszka od urodzenia. Jednak, jak się okazuje, nawet tak nużąca, monotonna praca dla człowieka o wyobraźni Balli może mieć i swoje plusy. *Interesanci nie są dla mnie upierdliwymi przypadkami, jak dla większości urzędników, lecz źródłem inspiracji, postaciami, które tylko trzeba uchwycić i włożyć do odpowiedniego tekstu, oblać nieco sosem fabuły i dosmaczyć fantazją…* – mówi pisarz w wywiadzie dla Biura Literackiego. *Gdyby to oni wiedzieli!* – ciągnie. *Ale nie czytają i to jest moja wygoda*. Nie czytają, ponieważ tworzy on niszową literaturę, jak sam ją określa. Powoli jednak zaczyna się to zmieniać. Balla staje się w swoim kraju coraz bardziej popularny i doceniany, o czym świadczy chociażby przyznanie mu w tym roku prestiżowej nagrody Anasoft litera za książkę *V mene otca* (W imieniu ojca).

Na talencie słowackiego pisarza poznano się także za granicą, między innymi w Polsce, gdzie ukazały się trzy zbiory jego opowiadań: *Niepokój* (2008), *Świadek* (2011) oraz *Podszepty* (2012), do których teksty wybrał Jacek Bukowski, tłumacz Balli i propagator jego twórczości.

W ostatnim zbiorze, złożonym z pięciu prozatorskich miniatur, tak jak i w poprzednich książkach Balla układa niepowtarzalne surrealistyczne mozaiki, czerpiąc ze swojego „tu i teraz", czyli z realnych motywów tworzących jego lokalny, prowincjonalny krajobraz. Sceny rodem z rzeczywistości, nierzadko naturalistyczne, rozgrywające się w całkiem realistycznych, bliskich pisarzowi miejscach: piwnej gospodzie, kawiarni,

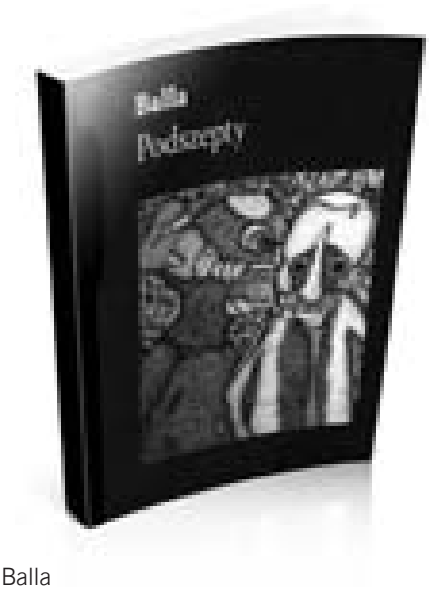

Balla

Podszepty

Wybór, przekład ze słowackiego i posłowie Jacek Bukowski, Biuro Literackie, Wrocław 2012

mieszkaniu, nabierają symbolicznego, niekiedy nawet metafizycznego wymiaru. Naprawiający kran hydraulik z *Powodzi* przestrzega przed wznoszeniem się poziomu Dunaju niczym starotestamentowy Bóg zapowiadający potop. Gwałtowny żywioł wody istotnie nadchodzi już w kolejnym opowiadaniu *Podszepty*, zrywając most i oddzielając miejscową gospodę na skraju lasu od reszty świata. W takich to okolicznościach zwyczajni ludzie odsłaniają swoje niezwyczajne oblicze. Jedni wyglądają *niczym wodnicy, z glonami między palcami, z mokrymi dłońmi*, inni toczą zwykłe knajpiane rozmowy, które – wbrew zapewnieniom wtrąconego, bliżej niezidentyfikowanego „my" – przeradzają się w dysputy filozoficzno-metafizyczne. Ni stąd, ni zowąd dwóch kumpli zaczyna kroczyć leśną ścieżką, by równie z nagła zagłębić się w rozważaniach o *drugim lesie – właściwym*, *prawdziwym*, zdaniem Hercega, ponieważ *nie tylko to, co widzimy, istnieje, lecz zwłaszcza to, czego nie widzim*y […], albo będącym jedynie wytworem tradycji, według Kazimira, *która głosi rozmaite rzeczy i* […] *może się przecież pomylić*.

Dyskusja ta nie przynosi jednoznacznych rozstrzygnięć, podobnie jak i cała proza Balli, w której więcej jest pytań niż odpowiedzi. Pewna jest tu tylko znikomość ludzkiego bytu wobec jakiejś ponadludzkiej siły: natury, przeznaczenia czy Boga – *Zewnętrznego Obserwatora*. W codziennych próbach odgadywania i oswajania świata człowiek widziany oczyma Balli nie jest niczym więcej niż tylko *pająkiem, który nadaremnie przebiera nóżkami.* I tylko głos podszeptywacza, odzywający się od czasu do czasu zza jego pleców, otwiera mu oczy na to, co przez niego nieuświadamiane bądź wypierane ze świadomości.

Jednak sprowadzanie *Podszeptów* wyłącznie do tej konstatacji byłoby dużym uproszczeniem. To wielowymiarowa lektura, pełna ukrytych sensów, erudycyjnych, w tym biblijnych i metaliterackich aluzji, opowiadająca o zwyczajnych ludziach, którym przytrafiają się nieprawdopodobne, tragikomiczne historie. To magiczna, momentami mistyczna proza, klimatem niesamowitości i groteski nawiązująca do twórczości Kafki, Topora i Schulza, ale wyraźnie odrębna. Autor balansuje w niej między realnością a oniryzmem, między tym, co wiarygodne, a tym, co zanurzone w oparach absurdu, egzystencjalno-filozoficzne rozważania łączy z ironią i czarnym humorem, a wysublimowany styl splata z potocznym, nierzadko dosadnym językiem. To balansowanie nie jest jednak tylko sprawną, wyrafinowaną metodą zadziwienia czytelnika, ale także – jak powiedział sam autor – *najzwyklejszym realizmem: obrazem życia, mimesis*, ponieważ *również i w życiu wszystko jest złączone ze wszystkim, wysokie jest pomieszane z niskim*.

Kunszt pisarski Balli polega więc na błyskotliwym, wysmakowanym stylu, ale i na umiejętności wyzwalania w czytelniku potrzeby zadawania sobie pytań dotyczących kondycji ludzkiej, wartości, spraw ostatecznych. Przy tym wszystkim jest Balla mistrzem wywracania na nice konwencjonalnych sądów o świecie, twórcą przewrotnych, zaskakujących mądrości, zawartych w lapidarnej formie, głoszonych jakby przy okazji, wypływających najczęściej z dialogów, na przykład z rozmowy małego człowieczka z ukochaną, z którą zapragnął on zamieszkać w… walizce: – *Możemy zamieszkać razem. – Nie za wcześnie? Przecież się prawie nie znamy. – No proszę cię, a czy chciałby ktoś z kimś zamieszkać, gdyby go tak naprawdę poznał?* To właśnie cały Balla. Vladimír Balla. ●

Powieść pozbierana z głosów samego życia

Małgorzata Myszka

Wszyscy tkwimy w niewoli „męskich" wyobrażeń i „męskich" doznań wojennych. „Męskich" słów. Trudno nie zgodzić się z powyższymi słowami Swietłany Aleksijewicz. Bo jeśli uznać, że podejmowany w literaturze – zwłaszcza wspomnieniowej – temat wojny jest tematem rzeką, to trzeba zauważyć, iż pływają w niej tylko panowie. Przez lata wydano wiele książek poświęconych ich żołnierskim wspomnieniom, konspiracyjnym przedsięwzięciom lub jedynie fantazjom wojennym przelanym na papier. Niektóre z nich doczekały się nawet adaptacji filmowych.

Swietłana Aleksijewicz postanowiła przerwać, a właściwie wzbogacić tę męską narrację. Uzupełniła ją o głosy kobiet, które również zostały doświadczone przez wojnę. Ale tym razem nie tylko jako żony czy matki czekające na powrót swoich mężczyzn, lecz jako ich towarzyszki broni. Bo rzeczywiście – jeśli myślimy o kobietach w kontekście wojny, to na ogół nasza wyobraźnia, pamięć podsuwa nam żołnierskie opowieści, w których kobiety występują w „niezapomnianych" rolach dziewcząt czekających na powrót narzeczonego, nierzadko też figurują na zdjęciach, do których wzdychają mężczyźni i chłopcy w okopach. Zaś w przypadkach, gdy są zaangażowane w działania wojenne, występują jako piękne działaczki ruchu oporu lub łączniczki. No i oczywiście sanitariuszki trzymające umierających za rękę w lazarecie.

Tymczasem, jak podają źródła historyczne, na które powołuje się Aleksijewicz, w samej armii radzieckiej w trakcie drugiej wojny światowej służyło około miliona kobiet, które *opanowały wszystkie specjalności wojskowe, również te najbardziej „męskie"*.

Swietłana Aleksijewicz

Wojna nie ma w sobie nic z kobiety

Przekład z rosyjskiego Jerzy Czech,
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010

Oczywiście po powrocie z frontu ich losy potoczyły się różnie: jedne wychodziły za mąż i rodziły dzieci, przyjmując tym samym role, jakie miało dla nich społeczeństwo, inne z kolei w samotności leczyły traumę wojennych przeżyć. Ile dziewczyn, tyle historii. Jednak łączyło je jedno – milczenie. Objęło ono niemal całą wojenną przygodę – choć niejednokrotnie odznaczane za odwagę musiały przemilczeć swoje dokonania i wspomnienia, schować je na długo w zakamarkach pamięci. Bo przecież nie wypadało kobiecie być na wojnie. Bo pamiętały i chciały mówić o rzeczach nieważnych, głupich…, babskich. Bo ich wspomnienia nie pasowały do wizerunku radzieckiego żołnierza – za dużo w nich było łez, błota, krwi, smutku. Bo kobiety, zamiast mówić o wspaniałych ofensywach i wielkich bitwach, pamiętały o papilotach z szyszek i radości z sukienki. Zaburzało to męskie relacje pełne wspaniałych gestów, odważnych czynów. Podkopywało obraz męskiego świata, jaki chłopcy sobie stworzyli, a którego kobietom nie wolno było zawłaszczać na swoje „babskie" historyjki.

Dopiero kilkadziesiąt lat po wojnie pojawiła się wspomniana wcześniej pisarka, która podjęła się trudnego zadania, gdyż, jak sama przyznała, postanowiła pomóc kobietom walczącym z niemieckim najeźdźcą obronić własną historię wojny. Historię, w której właściwie *nie ma bohaterów i niesamowitych wyczynów, są po prostu ludzie, zajęci swoimi ludzkimi-nieludzkimi sprawami*.

Trzeba przyznać, że jej się to udało. Przez blisko trzydzieści lat nagrała kilometry taśm magnetofonowych i spisała setki relacji z czasów wojny. Tym sposobem otrzymaliśmy około trzystu stron opowieści. Różnych, jak same autorki: felczerki, sanitariuszki, praczki, kucharki, nawigatorki, czołgistki, pilotki, snajperki… Ich wspomnienia tworzą rodzaj wielobarwnej mozaiki mieniącej się kolorami ich własnych emocji.

Potrzeba było aż sześćdziesięciu lat od zakończenia wojny, aby dać żołnierkom głos w tej sprawie. Owa „osobność" i świeżość spojrzenia z kobiecej perspektywy sprawia, że czytelnik uświadamia sobie, iż o takiej wojnie nie słyszał. O wojnie bez nazwisk generałów, bez opisów strategii, ale za to z ogromnym ładunkiem emocjonalnym podyktowanym kobiecą wrażliwością.

Historie zebrane w książce są opowieściami kobiet niezwykłych, które wybierając mundur, zadecydowały o swojej roli w wojnie – już nie musiały biernie czekać na rozwój wydarzeń, ale mogły je po prostu kreować. Mało tego, decydując się na udział w walce, mniej lub bardziej świadomie przełamały społeczne (a może nawet i boskie) prawo nakazujące im być strażniczkami życia. Już go nie dawały, ale odbierały – w imię Matki Ojczyzny. I ponosiły tego różnorakie konsekwencje…

Książkę Swietłany Aleksijewicz należy usytuować gdzieś w okolicach reportażu (post)wojennego. Odzyskując skazane na zapomnienie opowieści, reporterka daje głos kobietom, a tym samym również pomaga zająć należne im miejsce w historii i w wojennym świecie mężczyzn. Mało tego, jej książka w naturalny sposób współtworzy niezwykły i bezcenny dwugłos o wojnie, stanowiąc przy tym również ciekawą relację z „kolonizowania" nowej dla kobiet przestrzeni.

Polski horror nad Wełtawą

Krzysztof Bortnik

Praskie wydawnictwo „Volvox Globator" sporo uwagi poświęca ostatnio zapomnianym klasykom literatury grozy. Niedawno wznowiło *Alraunę* Hannsa Heinza Ewersa, teraz zaś wypuściło na rynek ponad sześćsetstronicowy zbiór nowel naszego Stefana Grabińskiego pod tytułem *V domě Sáry a jiné provídky* (W domu Sary i inne opowiadania). Składające się nań 36 opowiadań wybrał i przełożył wykładowca Uniwersytetu Śląskiego w Opawie (Slezská univerzita v Opavě), Libor Martinek, znany między innymi z tłumaczeń poezji Ewy Lipskiej.

V domě Sáry stanowi pierwszą od ponad osiemdziesięciu lat próbę zapoznania czeskiego czytelnika z twórczością Grabińskiego. Poprzednią w trzeciej dekadzie XX wieku podjął Bohumil Vydra. Przełożony przezeń dramat *Ciemne siły*, mimo początkowego zainteresowania ze strony praskiego Teatru Narodowego (Národní divadlo), nie doczekał się wszak wydania ani inscenizacji. Nadwrażliwy Grabiński obwiniał o to warszawskie koterie literackie, które – jak sądził – blokowały jego zagraniczną karierę. W rzeczywistości jednak sam wybór utworu był niefortunny. Grabiński uchodził za kiepskiego dramatopisarza – wszystkie jego sztuki zrobiły klapę, a i krytyka nie była wobec nich łaskawa (Tadeusz Boy-Żeleński stwierdził, iż naszpikowane są *banalnościami godnymi zdolnej pensjonarki*). Zapoznanie czeskiego czytelnika z dziełem fantasty należało rozpocząć raczej od nowelistyki, stanowiącej eminentną część jego dorobku.

Ponadto Grabiński twórczość swą traktował bardzo poważnie, uważając ją za rodzaj manifestu światopoglądowego, a Czesi chyba lubią troszeczkę podśmiechiwać się ze straszydeł; przecież nawet moce piekielne wykpione zostały w tamtejszej literaturze (vide *Igraszki z diabłem* i *Zapomniany diabeł* Jana Drdy). Być może ulegam stereotypom (mam wszak na uwadze casus *Przygód dobrego wojaka Szwejka*, w których – zdaniem niejednego z naszych

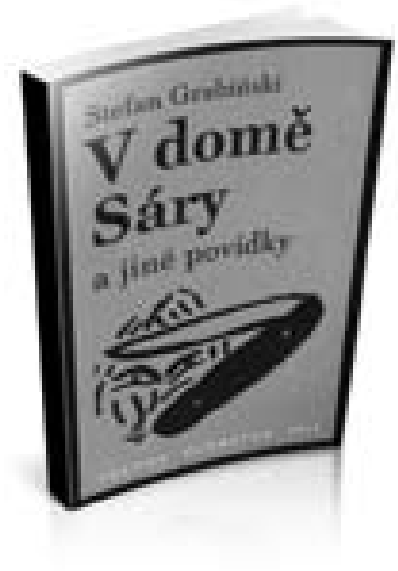

Stefan Grabiński

V domě Sáry a jiné provídky

Przekład z polskiego Libor Martinek,
Volvox Globator, Praha 2012

południowych sąsiadów – „duch czeski" przedstawiony został fałszywie), trudno mi jednak oprzeć się wrażeniu, że nawet dziś krajanie Jaroslava Haška postrzegać mogą Grabińskiego jak przybysza z kosmosu.

Owa dziwaczność polskiego pisarza nie musi wszelako przekreślać jego szans nad Wełtawą. Przeciwnie, może okazać się atutem. Czyż bowiem odmienność nie fascynuje? A i „doktrynerstwo" Grabińskiego w licznych jego opowiadaniach niekoniecznie wychodzi. Martinek zresztą trafnie wytypował do publikacji wyłącznie utwory kanoniczne; za podstawę tłumaczeń posłużyły mu, sprawdzone już na polskim rynku, wybory krakowskiego Wydawnictwa Literackiego: *Niesamowite opowieści* (1975) i *Nowele* (1980). Jest tu więc wszystko, co charakteryzuje Grabińskiego jako pisarza grozy: nawiedzone, czy raczej „zaburzone" miejsca (*Šílený statek*, *Požářiště*), demoniczne kobiety (*V domě Sáry*, *Szamotova milenka*), zaraza psychiczna (*Šedivý pokoj*, *Svědek Materna*), manie i psychoseksualne dewiacje (*Ohnivá hostina*, *Pohled*). Nie zabrakło oczywiście także „horrorów kolejowych", które stały się wizytówką lwowianina.

Szkoda tylko, iż *Szaloną zagrodę* (*Šílený statek*) przełożył Martinek w wersji skróconej, zaś wydawnictwo pominęło część z wytypowanych przezeń do publikacji nowel, między innymi znakomitego *Smolucha* (*Usmolenec*). Jeśli nawet uznano materiał za nazbyt obszerny, można było przecież odrzucić utwory mniej udane, na przykład *Sygnały* (*Návěstí*) czy *Białego wyraka* (*Bílý vyjevenec*). Wypada mieć jednak nadzieję, że opuszczone teraz opowiadania wejdą niebawem do kolejnego zbioru nowel pisarza; w tę bowiem stronę winno iść dalsze zapoznawanie Czechów z jego twórczością, za nietrafiony uważam wszak pomysł tłumaczenia „przeterminowanych" już dziś powieści, które Stanisław Lem celnie określił *magicznymi produkcyjniakami*.

Zaakcentowania wymaga rzetelne opracowanie zbioru (kilka drobnych niedociągnięć pominę, zamierzam bowiem omówić je szczegółowo przy innej okazji). Nadmienić warto także, iż książka wydana została w twardej oprawie oraz wzbogacona ilustracjami autorstwa Alžběty Zemanovej. A choć te, w moim odczuciu, niezbyt trafnie współgrają z duchem pisarstwa Grabińskiego, być może jest to też tamtejsza specyfika, którą wypada po prostu zaakceptować. Żywię jednocześnie nadzieję, że czescy czytelnicy okażą się tym razem mniej na naszego horrorystę odporni i w niejednej biblioteczce znajdzie on swoje miejsce obok, jakże przecież odmiennych, Ladislava Klímy czy Josefa Váchala.

Na koniec zaznaczyć należy, iż *V domě Sáry* stanowi kolejny przykład rosnącego zainteresowania Grabińskim poza Polską. Nowele lwowianina były już bowiem tłumaczone na liczne języki obce (angielski, niemiecki, portugalski, włoski, francuski, węgierski, słowacki, ukraiński, rosyjski), a także ekranizowane przez zagranicznych filmowców. W latach 1986–1990 ukazywał się w Stanach Zjednoczonych poświęcony fantaście periodyk „The Grabinski Reader", zaś popularny brytyjski pisarz, China Miéville, niejednokrotnie podkreślał swą fascynację jego twórczością. Uwagę zwrócili nań również: Roger Caillois, Franz Rottensteiner, Robert Bloch, Thomas Ligotti… I pomyśleć, że w oczach wielu współczesnych – choćby Jarosława Iwaszkiewicza – był Grabiński jedynie *przedstawicielem głębokiej prowincji*.

O czym gwarzą szyny?

O opowiadaniach kolejowych Stefana Grabińskiego

Andrzej Juszczyk

Siedzę w pociągu i jadę jak co tydzień trasą Kraków–Przemyśl. Za oknem ten sam dobrze znany widok, przedział wygląda tak samo jak zawsze, ten sam, znany z widzenia, konduktor sprawdza bilety. Trudno o bardziej zwykły i banalny obrazek. Jednak wystarczy, że pójdę na koniec ostatniego wagonu i popatrzę na ciągnące się w nieskończoność tory, na migające podkłady, a wrażenie nudy i jednostajności znika. Szyny wydają się ożywać na zakrętach i rozjazdach, płyną w oczach, błyskawicznie się poruszają… Wiem, że to tylko złudzenie, ale i tak robi to na mnie wrażenie. Myślę wtedy, że tak samo jak ja musiał na nie patrzeć Stefan Grabiński.

Jednym z najbardziej rozpoznawalnych tematów jego twórczości są bowiem niesamowite wizje kolei i pociągów, które są dla niego czymś więcej niż tylko martwymi przedmiotami. Kolejowe opowiadania zebrane w tomie *Demon ruchu*, mimo że czasem rażą staroświeckim językiem o młodopolskiej proweniencji, wciąż robią wrażenie na czytelnikach. I to nie tylko jako sympatyczna historyczna ramota, z czasów dynamicznego rozwoju kolei.

W drugiej dekadzie ubiegłego wieku, kiedy Grabiński pisał *Demona ruchu*, kolej była już zjawiskiem zwykłym i oczywistym, zwłaszcza na terenie Galicji, która od kilkudziesięciu lat poprzecinana była liniami kolejowymi. Jazda pociągiem nie była już ani atrakcyjną nowością, ani też wielkim luksusem. Istniała już skomplikowana kolejowa infrastruktura, która musiała odpowiadać zwiększającym się potrzebom komunikacyjnym państwa polskiego. Grabiński opisuje kolej nie jako nowy wynalazek, nie zwraca też uwagi na jej stronę technologiczną, choć wiedzę na ten temat posiadał ogromną. Postrzega ją raczej metafizycznie i symbolicznie. Staje się ona dla niego znakiem jakiejś innej rzeczywistości, znakiem dyskretnym i najczęściej nierozpoznawanym przez zwykłych ludzi.

Grabińskiego nie interesowała podstawowa społeczna funkcja kolei – czyli transport ludzi i towarów. Rzadko opisywał ją z tej perspektywy, którą my znamy – perspektywy podróżnego. Narrator jego opowiadań raczej jakby stawał obok toru i patrzył tylko na przejeżdżające pociągi. Ich przeznaczenie i cel nie miały tu znaczenia. O wiele ciekawsze było dla niego funkcjonowanie kolei jako jednego ogromnego mechanizmu. Wszystkie kolejowe urządzenia i budynki łączą się bowiem nieprzerwaną siecią szyn, a więc między wszystkimi jej elementami istnieje powiązanie. Ta ogromna sieć zaczyna w jego opowiadaniach żyć własnym życiem.

Grabiński całymi dniami obserwował ruch pociągów. Ze specjalnym pozwoleniem odpowiednich władz mógł chodzić po przemyskich torowiskach, odwiedzać nastawnie i budki dróżników. Tam praca toczyła się jak co dzień, wykonywały ją setki pracowników kolejowych, od zawiadowców i maszynistów po młotkowych. Była to ogromna instytucja, prawie państwo w państwie. Wszystkie czynności pracowników kolei były pragmatyczne i podporządkowane jednemu celowi – zachowaniu sprawności i płynności ruchu pociągów. I właśnie ten ruch staje się dla Grabińskiego czymś nieuchwytnym, niezwykłym. Nieożywiona materia, jaką są tory, zwrotnice czy parowozy, zmienia swój stan, przechodzi ze spoczynku, typowego dla przedmiotów, w ruch, przynależny istotom żywym. Pęd pociągu jest jednocześnie uwolniony i okiełznany, bo porusza się on tylko po torach.

Dlatego Grabiński tak wiele miejsca poświęca przedmiotom: maszynom i urządzeniom kolejowym. Często przedstawia ich działanie jako samoistne, jakby niezależne od ludzkiej woli.

W opowiadaniu *Sygnały* pojawia się na przykład motyw urządzeń sygnałowych używanych na dawnej kolei, które pewnego dnia zaczynają przekazywać sygnały o katastrofie, której wcale nie było. Zirytowani tym niewczesnym żartem kolejarze szukają źródła tych sygnałów, bo przecież powinien je ktoś nadawać, jednak nie mogą określić ich autora. Dopiero po pewnym czasie docierają do dalekiej budki dróżnika, z której owe sygnały muszą pochodzić, znajdują jednak już tylko martwe ciało kolejarza, w stanie takiego rozkładu, który wyklucza możliwość, że to on owe wiadomości wysłał. A jednak sygnały pojawiały się, mało tego, wkrótce dochodzi do takiej katastrofy, jak ta z tajemniczych wiadomości. Prorocze sygnały nie pochodziły jednak od dróżnika, ale wynikły jakby z samej nieskończonej sieci kolejowych przewodów. Tak jakby druty i szyny wiedziały więcej, przeczuwały, co się stanie, i chciały poinformować ludzi o tym w jedynym dostępnym dla nich języku.

Na pierwszy rzut oka ten literacki pomysł może uchodzić po prostu za środek służący wytworzeniu atmosfery niesamowitości, wzbudzeniu lekkiego dreszczyku u odbiorcy. Czy jednak rzeczywiście budzi on grozę? Te tajemnicze sygnały zgoła nie przerażają, nie stanowią dla człowieka żadnego zagrożenia, wręcz przeciwnie – mają ostrzegać i pomagać. Tak jakby urządzenia były mądrzejsze od ludzi, którzy ich używają.

Tylko niektóre postaci z opowiadań Grabińskiego potrafią zrozumieć to, co mówią kolejowe urządzenia. Najbardziej chyba znamiennym tekstem jest tu *Głucha przestrzeń*, której bohaterem jest Szymon Wawera, samotny dróżnik pilnujący nieużywanego fragmentu linii kolejowej. To były konduktor, który po wypadku tuła się po różnych miejscach, by wreszcie wybłagać u kierownictwa niepłatną posadę dróżnika „głuchej przestrzeni", fragmentu sieci, po którym już nie jeżdżą pociągi. Jawny bezsens tego zajęcia sprawia, że inni kolejarze traktują go jak wariata, on jednak jest bardzo szczęśliwy w tej swojej samotni. Całe dnie poświęca na doglądanie i naprawy urządzeń kolejowych, które w gruncie rzeczy niczemu nie mają służyć, bo przecież linią tą żaden ruch się nie odbywa. Wawera traktuje je jak swoich przyjaciół, jak byty żywe i świadome. W rozmowie z kolejowym kowalem Luśnią wypowiada znamienne zdanie: *Czy myślisz, że szyny nie żyją tak jak my, ludzie, zwierzęta i drzewa?*. W pierwszej chwili może się to wydać tylko bredzeniem dziwaka-samotnika. Jednak to właśnie Wawera rozumie, czym jest kolej. To ogromny organizm, w którym wszystkie elementy są ze sobą połączone, stopniem swej złożoności i sprawności przerastający człowieka, który go zbudował. Linie kolejowe są nieskończone, dają niewyobrażalne możliwości, a tylko ludzie prymitywni nie dostrzegają ich istoty i korzystają z nich dla swych przyziemnych, małostkowych celów.

Stąd też bierze się u Grabińskiego częsty motyw podróży bez celu. W jego opowiadaniach pojawia się kontrastowe zestawienie praktycznych podróżnych, którzy zmierzają do jakiegoś konkretnego miejsca, z ludźmi, którzy upajają się samym ruchem, jazdą, nieskończonym pędem. W tym sensie kolej jest metafizyczna, bo wykracza poza ludzkie pojmowanie. Kasjer, konduktor, pasażer – oni wszyscy traktują ją jako zwykły środek transportu, podczas gdy w niej kryją się o wiele większe możliwości.

Tak jak w opowiadaniu *Ślepy tor*, gdzie pozbawiona celu jazda pociągiem prowadzi grupę pasażerów do nieskończoności, do roztopienia się w kosmosie. Tak jak w opowiadaniu *Maszynista Grot*, w którym tytułowy bohater odrzuca prostą funkcjonalność kolei. Najpierw czyni to nie zatrzymując się na stacjach, lecz stając przed lub za nimi, bo mierzi go traktowanie pociągu jako środka transportu. A potem porywa lokomotywę i pędzi nią aż do ostatecznej katastrofy, upajając się tą pozbawioną pragmatycznego celu jazdą. To właśnie maszynista Grot zrozumiał, jaką szansę daje człowiekowi kolej – dzięki niej można wyzwolić się od przyziemnego, prostackiego pojmowania rzeczywistości, można wznieść się ponad poziom fizyczności, choć dzieje się to za cenę kresu doczesnego życia. Bo ono jest płytkie, miałkie, banalne i żenujące. Jeśli bohater się go wyrzeka, to ostateczna katastrofa jest jego wyzwoleniem i szczęśliwym spełnieniem, o jakim zwykli ludzie podróżni nawet nie śnili.

Ten mizantropijny rys opowiadań Grabińskiego widoczny jest także w jego niezwykłej fascynacji kolejowymi katastrofami. Prawie w każdym tekście z *Demona ruchu* mamy do czynienia z kolejowym wypadkiem, jednak nie są one pokazywane jako efekty błędów ludzkich czy nieszczęśliwych przypadków. To tak jakby sama kolej pokazywała ludziom swe groźne oblicze, uczyła ich pokory – nie wobec losu, ale wobec siebie. Takie traktowanie kolei przypomina trochę mityczne wyobrażenia na temat żywiołów, groźnych dla tych, którzy je lekceważą. Z tym że u Grabińskiego żywiołem jest świat kolei. Oczywiście, został on zbudowany przez człowieka, ale jest od niego nieskończenie większy.

W opisach katastrof Grabiński nie przejmuje się zbytnio losem ludzi ofiar. W opowiadaniu *Fałszywy alarm* opisuje ich cierpienia zdawkowo i konwencjonalnie, za to sczepione ze sobą wraki lokomotyw i wagonów przedstawia poetycko, oryginalnie, z wyraźnie wyczuwalnym emocjonalnym zaangażowaniem. Katastrofa kolejowa zwykłych pasażerów zabija, ale dla ludzi widzących w kolei coś więcej – staje się przejściem do wyższej formy bytu. Co ciekawe, dzieje się to przez symboliczne zlanie się człowieka z materialną i duchową naturą kolei. Może mieć ono formę połączenia ludzkiego ciała ze szczątkami pociągu w akcie katastrofy, może też przejawiać się poprzez swoiste „podłączenie" człowieka do systemu kolejowego, jak dzieje się to w opowiadaniu *Ultima Thule*, w którym osobowość zmarłego zawiadowcy stacji zaczyna funkcjonować w kolejowym telegrafie.

Wszystkie te niezwykłe pomysły Stefana Grabińskiego, wbrew naturze literatury grozy, nie mają służyć rozrywce. Niepowtarzalna metafizyka kolei raczej ma wyrwać nas z bezmyślnego życia, zdezautomatyzować nasze postrzeganie rzeczywistości. Bo każda, nawet najbardziej banalna rzecz, jeśli dobrze się jej przyjrzeć, może być tajemnicza. Warto czasem tak spojrzeć na świat, jadąc jak co tydzień pociągiem na trasie Kraków–Przemyśl.

Summary

What are rails chatting about? Rail stories by Stefan Grabiński

The main topic of this article is special status of rail installations and machines in Grabiński's stories collected in *Demon ruchu* (*Demon of Motion*). Railway infrastructure shown by Grabiński have its own mysterious life, which is invisible for normal people. Only few humans can hear how rails speaking (*Głucha przestrzeń, Deaf space*), only few can understand signs given by rail mechanisms (*Sygnały, Signals*). Very important motif in Grabiński's stories is journey without purpose (*Maszynista Grot, Machinist Grot*) and contrast in treating the train as a pragmatical tool and – contrary – as a kind of metaphysical experience. Even rail disaster can open the way to higher level of being.

This unusual Grabiński's idea of the metaphysical nature of rail can make human life less mechanical and ordinary. Rail machines can teach us how to be more open minded.

Translated by Andrzej Juszczyk

Drużbacki i spółka

Viťo Staviarsky
Tłumaczenie ze słowackiego
Jacek Bukowski

Pani Klaro, Drużbacki podsłuchuje pod drzwiami! Ale jak wyjdę, schowa się zaraz do wnęki z Panienką Marią. Twierdzi, że jestem szpiegiem!

W dniu, kiedy do nas trafił, szurał wesoło kapciami po korytarzu, w ogóle się nie spodziewając, że Augustyn nie znosi, by ktoś mu łaził po kafelkach, które akurat myje. Tyle że myje na okrągło! Ledwie rozmaże to od okna aż po drzwi wejściowe i już zaczyna od początku… Więc zamachnął się na Drużbackiego szmatą, a ten podskoczył jak konik i przyśpieszył kroku. No to podstawił mu pod nogi wiadro. Drużbacki potknął się o nie i woda się rozlała… Biedny Augustyn! Zawsze, gdy się rozzłości, ucieka do sali, krzyczy i sam siebie policzkuje. Gdy za niedługo wyjdzie, z zaczerwienioną twarzą – znów jest spokojny i cichy. Chwyta za szmatę i zmywa…

Drużbacki, z czołem opartym o kratę, palił przy oknie i dumał. Tymczasem Jozef Vaš gmerał mu po kieszeniach.

– Smakuje wam, panie? – spytałem Drużbackiego przy obiedzie, szczerze patrząc mu w oczy. Lecz on tylko jadł arogancko zupę i w ogóle nie odpowiedział. A Ignac swoją porcję wylał na blat stołu i zaczął ją zlizywać. Widziałem już takich, co i z podłogi zlizywali…

Panno Klaro, po tygodniu już się z Drużbackim zapoznaliśmy bliżej. Stałem na dwieście trzydziestym kafelku, w kącie, i rozważałem, czy wnerwić Augustyna, ale bałem się, że mnie obleje wodą. A tu nagle wyszedł z ubikacji Vaš. Przystanął w drzwiach, z dłonią zatkniętą za piżamą, jak Napoleon – twarz zarośnięta, pomarszczona, uszy brudne. Do bosej stopy miał przyklejonego peta. No bo je zbiera stopami. Ledwie ktokolwiek rzuci niedopałek, błyskawicznie go przydeptuje i już czyha na następną okazję. Od rana do wieczora potrafi ze dwadzieścia sztuk zebrać. I gromadzi je potem w blaszanej szafce przy łóżku, by w nocy spokojnie sobie poprzeżuwać. To, czego nie zdąży przeżuć, próbuje odsprzedać. Nie jest zbyt gadatliwy. Ludzie mający jakieś konkretne hobby bywają cisi. Pewnie tylko główkuje, kto mógłby być jego klientem. A gdy już proponuje, podtyka je wam pod nos i mamrocze: – To ten, to ten, to ten… A wy dyskretnie wsuniecie mu do kieszeni dwudziestokoronówkę.

No więc Vaš stał, gdy obok przechodził Drużbacki. Zatrzymał się między mną i Vašem, jakby się wahał, czy wstąpić na szlak Augustyna. Wtedy Jozef Vaš

wskazał na niego palcem i krzyknął: – To ten, to ten, to ten! I zmrużył oczy. A ja, z rezygnacją, machnąłem na Vaša ręką.

Drużbackiego już całkiem to zdezorientowało. Przygarbił się: że niby co on winien, że jest, jaki jest, ale Vaš dalej rechotał, marszczył czoło i wrzeszczał: – To ten, to ten, to ten!

Wreszcie Drużbacki przyskoczył do niego, chwycił go za kołnierz i zamknął w ubikacji. Potem otrzepał sobie szlafrok z tytoniu i przywołał mnie palcem.

– Niczego pan nie widział i nie słyszał! – oznajmił.

A ja, wskazując na mój aparacik w uchu, odrzekłem:

– Jest wyłączony.

Na co on pokiwał głową, ale bez przekonania. Żeby go uspokoić, zdjąłem też okulary.

– To dla niewidomych – szepnąłem.

Wziął je ostrożnie do ręki, popatrzył przez nie na lampę, potem mi je oddał i sobie poszedł.

Następnego dnia znowu stał w tym samym miejscu, jak zwykle, na dwieście trzydziestym czarnym kafelku, pełen niepewności, czy warto rozwścieczyć Augustyna, gdy ni stąd, ni zowąd pojawił się Drużbacki. Powłóczył noga za nogą, przygasły i nachmurzony – w ręku reklamówka z kakaem.

Pani Klaro, przez ostatnie noce w naszej izbie się potajemnie zbawiamy. Siedząc na podłodze, podajemy sobie kolejno torebkę z kakaem i opowiadamy różne historie. Ale jeden zawsze filuje, żeby nas nie nakryły siostry. Czasami to bywa Augustyn. Udaje, że myje korytarz, ale zerka gdzie trzeba. Z tym że on nawet nie musi udawać. Bez korytarza i szmaty i tak nie mógłby się obejść.

No ale Drużbacki nie poszedł w stronę okna, tylko zatrzymał się przy nas. Reklamówkę powiesił na klamce od ubikacji. Staliśmy się czujni. Augustyn, który na końcu korytarza właśnie usunął ślady po Drużbackim, z zaciekawieniem rozdziawił usta. Przestał zmywać. Zapanowała cisza. Przeciąg ze świstem przeciskał się poprzez nieszczelne framugi. I nawet muchy nie zabrzęczały, bo je pozjadał Vaš. Miesza je z niedopałkami. Panno Klaro, staliśmy tak pięćdziesiąt dziewięć sekund, czekając, co się zadzieje…

Nagle Vaš pochwycił reklamówkę i zaczął kręcić nią jakoś dziwnie z prawa do lewa, wykonując jakby spiralę. Gdy już nieco przepuszczała w szwach, wypuścił ją z dłoni i odskoczył. A ona przez chwilę sama jeszcze powirowała! Natomiast Vaš, z rozpromienioną miną, cały przyprószony kakaem, krzyczał: – To ten, to ten, to ten!

Gdy już reklamówka znieruchomiała, Vaš znów ją pochwycił i znowu zaczął nią kręcić w powietrzu – tym razem w przeciwną stronę. I jeszcze szybciej. Jak w transie. I znów ją wypuścił z dłoni!… Pani Klaro?! Czyżby pani przysnęła?

Więc rzuciliśmy się na Vaša i zaczęliśmy go ciągnąć za włosy, a gdy mu jeszcze porozrywaliśmy piżamę, wraz z kieszeniami – po podłodze rozsypały się pety. Potem przewróciliśmy gościa na ziemię i zaczęliśmy po nim skakać. Augustyn oganiał się od tego zamieszania szczotką, ale i wciskał ją Vašowi do ust. Gdy tamten już przestał dyszeć, my rozbiegliśmy się po kątach, z kieszeniami pełnymi petów.

– Pan i ci dwaj, co stoją za okienkiem, chcieliście mnie otruć! – oświadczył mi przy kolacji Drużbacki, siorbiąc herbatę. Obejrzałem się. Za okienkiem nikogo nie było.

– Pan wcale nie jest głuchy. Ani ślepy. Tylko takiego udaje! – roześmiał się i zamoczył łokieć w herbacie.

A siedzący obok Augustyn, ze szmatą wokół szyi w charakterze śliniaka, zaczął mnie gorliwie bronić: że przecież to nie moja wina, że z powodu tych okularów i aparacika w uchu wszyscy mnie zaraz uważają za szpiega. Spojrzałem na niego z wdzięcznością.

W pewnej chwili Drużbacki wstał od stolika i ryknął Vašowi do ucha:

– Chodźmy!

Więc Vaš, utykając, i z grymasem pogardy na twarzy, poszedł za tamtym, wrzeszcząc, jakbyśmy byli głusi: – To ten, to ten, to ten!!!

I obaj zamknęli się w łazience.

– Będziesz mi bratem? – spytałem Augustyna.

Potaknął głową, więc dałem mu trzy korony na herbatniki. A on zawinął je w szmatę i pocałował mnie w rękę.

– Zadanie pierwsze: mieć oko na Drużbackiego! – zarządziłem.

Mogę zapalić? Papierosy, panno Klaro, palę aż po koniuszek, wraz z filtrem, żeby nic się nie dostało Vašowi. Zresztą filtr mnie najbardziej kręci. Wiem, że to niebezpieczne!… Ale i bez tego czyha tu wiele zagrożeń! Że sobie wymyślam? No to proszę posłuchać!

Szedłem kiedyś po korytarzu, otumaniony filtrem, obijając się nieco głową o ściany. Augustyn mnie przed tym chronił, wymachując jednocześnie szmatą, żeby przegonić Vaša, który kopniakiem usiłował przewrócić wiadro i rozlać wodę. Tak tylko, by się Augustyn wnerwił i uciekł do swojej sali… Drużbacki, zamaskowany okularami dla ślepców, podszedł do mnie niepostrzeżenie od tyłu, przystanął przy oknie i sobie zapalił. Znaleźliśmy się oko w oko.

– Opowiem panu smutną historię – powiedział zdejmując okulary, by sobie przetrzeć szkiełka: – Praga – Metrobudowa. Praca pośpieszna, ale nieźle płatna. Koledzy to głównie Cyganie, więc się niczego nie boisz. W nocy wracasz do barakowozu, kładziesz się i zasypiasz. Ale raz jakoś nie mogłem zasnąć. Przewalałem się na legowisku, starając się domulić piwem, aż tu nagle coś za mną zaszeleściło. Wstałem. I widzę, że w ramę pryczy właśnie się wbija nóż! Wyskoczyłem w gatkach na zewnątrz, biegnę w kierunku lasu, i tak dalej, aż wreszcie przysiadam na pieńku, żeby odetchnąć. Tuż obok leży spory korzeń. Całkiem ładny. Dziwaczny. Wyważam go sobie w dłoniach i bez żadnej intencji odrzucam w krzaki. I nagle słyszę gardłowy okrzyk! Przeciskam się w tamtą stronę: ktoś leży. Czyżby jakiś mój pijany kolega? W ciemności niewiele widzę, więc tylko macam po tym ciele i już chcę dotknąć twarzy – a tutaj: głowy brakuje! Jakbym ją komuś tym korzeniem odrąbał… Więc ściągam

z martwego ubranie. Jakby dla mnie uszyte…

Następnego dnia już się kręcę po dworcu. A tutaj, przy kiosku z parówkami, wyrastają przede mną, jak spod ziemi, dwaj faceci.

– Gdzie jest Nestor? – pyta ten pierwszy, w szarym kapeluszu i ze zgasłym papierosem w ustach.

– Nestor? To jakiś koń? – odpowiadam ze śmiechem.

– A takie ubranie to niby koń by nosił? – pstryknął palcami w mój kołnierz drugi mężczyzna. Kapelusz ma dla odmiany czarny. Tak łatwiej ich zapamiętać. Pierwszy szary. Drugi czarny. Pierwszy jasny. Drugi ciemny. Jaśniejszy kolor pierwszy. Drugi – ciemniejszy. Dobrze, że mieli różne kapelusze, bo trudniej by było opowiadać. Już całkiem by się to poplątało. Rozumie pan? Już byśmy nie wiedzieli, kto jest kto. Ale do rzeczy! No więc CZARNY pstryknął palcami w mój kołnierz. I wtedy zauważyłem, że marynarkę mam całą we krwi. A SZARY otwiera skórzaną walizkę i pozwala mi do niej zajrzeć.

– Cóż to takiego?! – krzyknąłem zdumiony.

– Nie udawaj przygłupa! – mówi ten z papierosem. Szary. – To jest głowa Nestora!

– Miał pana doprowadzić! – dorzucił czarny.

– A to niby dlaczego? – pytam, nie rozumiejąc.

– Czyż nie sortował pan w dziewięćdziesiątym drugim przesyłek na poczcie? – naciskał szary i, żeby się upewnić, wyciągnął z kieszeni notes.

– Owszem – przyznałem, czując, że mnie zmroziło.

– To gdzie te dwadzieścia tysięcy? – wołają w unisonie.

– Jakie dwadzieścia?

– Te, które pan ukradł!

– Ja?!… Bo będę krzyczeć, panowie! – oponuję, czując niepokój, i ścieram szminkę z warg. Przepraszam, co ja gadam! To już z innej historii…

– A krzycz pan sobie. I tak tutaj nikt niczego nie słyszy. Co najwyżej głośniki! – oznajmił szary kapelusz i rezolutnie wypluł spomiędzy warg papierosa.

– Pani konduktor!!! – wrzasnąłem.

Wtedy się obejrzeli. Kretyni. A ja w nogi. Strzelali co prawda do mnie, ale nic! Zabili tylko kilku podróżnych. Cha, cha! Za dwie minuty już sobie jechałem pośpiesznym. Na gapę. Ukryty w toalecie, w szafce pod umywalką… I tak się zakotwiczyłem w zakładzie. No bo kto by mnie tu między wami szukał, między Vašem i Augustynem – powiadam sobie.

Drużbacki zamilkł i dmuchnął mi dymem w twarz.

– Ja tych pieniędzy nie ukradłem! To Eleonora! Stemplowała listy za przepierzeniem – kontynuował coraz bardziej podniesionym głosem. – Pewnie nas pomylili, bo jesteśmy podobni! Ona teraz gdzieś sobie siedzi na stercie pieniędzy, a ja muszę się ukrywać. No, niech pan sam powie! Czy to jest sprawiedliwe?

– Eleonora jest u nas! – powiedziałem z uśmiechem.

– Że co?!

– Nie widział jej pan, bo od miesiąca nie wychodzi z salki.

– Na Boga! Z mojego powodu? – krzyknął zaskoczony Drużbacki.

– Nie. To Vaš ją tak przydołował tym swoim: to ten, to ten… A i Augustyn, jak tylko się pojawiła, od razu do niej przyskakiwał z tym swoim wiadrem i chciał ją umyć. No to wolała się zamknąć. Jedzenie jej podają przez okno. Zawsze o dwunastej spuszcza linkę z menażką, a oni jej nakładają obiad.

– Jacy oni? – szepnął Drużbacki i nerwowo rozejrzał się po korytarzu.

– Siostry! – uspokoiłem go.

– Pan ma kontakty z prześladowcą – powiedział składając dłonie. – Proszę mi pomóc wyrwać się z tej karuzeli! Błagam!

– Dobrze, zadzwonię do centrali – zapewniłem, żeby już się go pozbyć. A on pokłonił się nisko, niechcący wpychając sobie przy tym papierosa w usta, i zaczął się dusić. Na szczęście złapał go straszny kaszel i papierosa wypluł. Jozef Vaš przyskoczył natychmiast i zagarnął tego peta stopą.

Pani Klaro, przez kilka nocy był spokój. Popijaliśmy kakao, Augustyn znowu miał preteksty do mycia korytarza, ja nadal wystawałem w kącie, a Vaš wytrwale zbierał niedopałki. Dziś jednak Drużbacki mnie zaczepił!

– No i co pan załatwił? – zapytał i wywalił język, a broda aż mu się trzęsła z nerwów.

– Jest pan wolny! – odrzekłem.

– To kłamstwo! – wybuchnął nieoczekiwanie. – Rozmawiałem z Eleonorą.

– Jak ją pan znalazł? – spytałem zdziwiony.

– Po drzwiach. Stop. Rozmowa dwuminutowa. Stop. Szkoda. Stop. Międzymiastowe są drogie. Stop! – krzyczał, jak w transie.

– Czyżby uchyliła drzwi? – spytałem.

– Nie. Stop – odpowiedział ze smutkiem, rzucił mi się w ramiona i zapłakał. Więc go pogłaskałem po głowie… Wiedziałem z opowieści, że Eleonora rzeczywiście ukrywa pieniądze w starym marynarskim kufrze.

– W nocy musi pan sforsować drzwi i zmusić ją, żeby się przyznała! – szepnąłem przebiegle, odsunąłem go nieco i spojrzałem mu w oczy.

– Rozkaz! – wrzasnął Drużbacki i stuknął piętami. Przez godzinę maszerował po korytarzu, salutował Augustynowi, a Vaša odganiał kopniakami. Po półtorej godziny już się wspólnie czołgali od okna aż do korytarzowych drzwi i z powrotem. Augustyn miał wolne. Ciężko to znosił i już zamierzał się policzkować, ale że puściłem do niego oko, to tylko lamentował.

Panno Klaro, widzę, że to panią nudzi. Jest wpół do czwartej. Wiem, że pani zaraz idzie do domu, więc tylko powiem szybko, co się tu wydarzyło, zanim pani mnie zawołała na testy.

Vaš stał przed ubikacją, marszczył czoło i krzyczał: – To ten, to ten, to ten! Wskazując palcem na Drużbackiego. I właśnie wtedy korytarzem przechodził sanitariusz. Ten nowy, z brodą, co kiedyś był kulturystą. Wystraszony Drużbacki natychmiast odrzucił papierosa. Ale łapiduch sięgnął po niego szybciej od Vaša.

– Skąd to macie? – spytał jak śledczy i ze znawstwem obwąchał papierosa. – Wywrócić kieszenie! Liczę do trzech!

Drużbacki, śmiertelnie blady, stał jak zamurowany. Więc sanitariusz chwycił go za kołnierz i zaczął nim potrząsać, a potem przychylił mu głowę niemalże do podłogi. Na ziemię wypadł ostry przedmiot.

– To sztylet! – zawołał zdziwiony sanitariusz.

– Nie, to tylko brzytwa – wyjąkał Drużbacki, wciąż jeszcze z głową do dołu i ledwie żywy.

– Przecież nie zarastacie! – wrzasnął sanitariusz.

– Ale Vaš zarasta! – bronił się Drużbacki.

– Jego goliłem wczoraj. Wiecie, co was czeka?!

– Nie wiem – dukał Drużbacki, starając się patrzeć sanitariuszowi w oczy, co w takim pochyleniu nie było łatwe.

– Ależ wiecie! – naciskał sanitariusz. – Elektrowstrząsy!!!

I obracał sobie Drużbackiego w rękach, jakby razem wykonywali jakiś artystyczny numer.

…Testy, panno Klaro, były tylko pretekstem, żebym wyjawił, co zamierza Drużbacki, prawda? Dobrze, no to już powiem. W sali pod poduszką ukrywa siekierkę!

Gdy się zorientowałem, że Klara przysnęła, zwinąłem jej papierosy i po cichutku opuściłem gabinet. A za drzwiami Drużbacki. No bo któż by inny?

– Pożałujesz, ty szpiegowska świnio! – zasyczał. Ale ja szybko się oddaliłem.

Jednak aż do wieczora spotykałem go na każdym kroku. W jadalni nie spuszczał mnie z oka.

Wreszcie, gdy szedł po korytarzu, skoczyłem na niego od tyłu, zaś Augustyn związał mu ręce szmatą. By nic nie widział, założyliśmy mu na głowę reklamówkę po kakao, a ja pobiegłem, żeby na niego donieść. Znudzony sanitariusz, w okularach i z brodą niemal do pasa, najmniejszym palcem grzebał sobie w uchu.

– Dziś w nocy będę miał oko na salkę Eleonory – oznajmił ziewając, sięgnął po niedopałek Drużbackiego i mnie wygonił z dyżurki.

Drużbackiego wypuściliśmy na wolność. Całował nas po stopach, a nawet i po paznokciach, ale to już ze wstrętem… Gdy przyszła noc, to aż drżeliśmy z napięcia. O dziesiątej Drużbacki dał Vašowi sygnał. I gdy już na paluszkach niemalże opuszczali salę – Drużbacki z jaśkiem pod pachą – Vaš potknął się zdrowo o krawędź łóżka. A ja natychmiast usiadłem, że niby, co to za hałas?

– Gdzież to idziecie? – spytałem, udając zaspanego.

– Do kibla! – szepnął Drużbacki i zasłonił Vašowi usta, który już marszczył czoło, jakby chciał coś oznajmić.

Nikczemnicy wykradli się na korytarz.

A my z Augustynem za nimi.

Ostrze siekierki wystawało spod jaśka, połyskując w półmroku.

Ci dwaj przystanęli pod drzwiami Eleonory, a my ukryliśmy się we wnęce z Panienką Marią. Drużbacki wzniósł siekierkę i z krzykiem rzucił się do ataku. Lecz w tym momencie pochwyciła go ręka sanitariusza!… Przerażony Vaš wskazał palcem na Drużbackiego i zawołał: – To ten, to ten, to ten!!!

– Zdrajca – zaskomlił Drużbacki i chciał się na kolegę rzucić, lecz sanitariusz już wlókł go za kołnierz do izolatki.

Wtedy wyszliśmy z ukrycia. Gdy Vaš nas ujrzał, okropnie zmarszczył czoło i rozpędził się po korytarzu, tyle że za chwilę się potknął, przywalił głową o narożnik ściany, padł na ziemię i już się nie poruszył. Krew na posadzce zwabiła Augustyna.

Trzy dni później Vaša pochowaliśmy. Na trumnę żeśmy mu wysypali worek niedopałków. A Drużbacki? Zniknął nam gdzieś na dobre. Bóg wie gdzie!… Tydzień po jego odejściu Eleonora zdobyła się na odwagę. W końcu przekroczyła drzwi i przyłączyła się do nas.

Teraz często się razem przechadzamy, zbieramy pety i omijamy Augustyna. A Eleonora pyta mnie niekiedy z uśmiechem: – Nie szukali mnie tacy dwaj w kapeluszach?

Spoglądam na nią czasem z wielką obawą: Bo rzeczywiście! Ona z tym Drużbackim są do siebie strasznie podobni… Ta dziwaczna nerwowość, a nawet i ten papieros w ustach…

1990

Viťo Staviarsky (1960), mieszkający w Preszowie, wielce oryginalny autor tylko trzech (i to niezbyt obszernych) książek prozatorskich i kilku opowiadań opublikowanych w pismach literackich, tak naprawdę został zauważony i doceniony dopiero trzy, cztery lata temu. Ale już teraz wiadomo, że jego ostatnia powieść *Kale topanky* (Czarne pantofle) zostanie wkrótce nominowana do najważniejszej na Słowacji, corocznej nagrody literackiej – Anasoft litera. I jest dosyć prawdopodobne, że tę nagrodę otrzyma.

Choć z wykształcenia scenarzysta (po praskiej szkole filmowej), utrzymuje się jednak z czego innego: jeżdżąc po prowincjonalnych jarmarkach, z pełną świadomością sprzedaje kiczowate gadżety. A przedtem wiele lat przepracował jako sanitariusz w izbie wytrzeźwień i w szpitalach psychiatrycznych. I to tylko niektóre z wykonywanych przez niego „zawodów". Zawsze z wrodzoną sobie empatią, ale i z poczuciem groteski, opisuje w sposób paradokumentalny losy na ogół „trzecioligowych" bohaterów: Cyganów, alkoholików, drobnych przestępców, bądź osoby nie całkiem zdrowe psychicznie. Słowem – interesują go zwłaszcza ci, którym się nie powiodło.

Niniejsze opowiadanie pochodzi z przygotowywanej do druku (Wydawnictwo Pogranicze) książki Staviarskiego – *Wytrzeźwiałka*.

J.B.

Słowik z ręką w gipsie

Adam Erd

Kiedy w 2007 roku na łamach „Przemyskiego Przeglądu Kulturalnego" popełniłem tekst pod tytułem *…pomiędzy, czyli sen o potędze*, delikatnie mówiąc, nie spotkał się on z aprobatą działaczy Towarzystwa Muzycznego w Przemyślu. Jedni twierdzili, że smutkiem z niego powiewa i nie czuć w ogóle entuzjazmu, który powinienem mieć jako wieloletni działacz, ba, członek zarządu tej szacownej instytucji. Inni wytykali mi, że zakończyłem historię zacnego Towarzystwa na okresie zdecydowanie niechlubnym, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Fakt, okres ten nie należał w historii Towarzystwa do najlepszych, podobnie zresztą jak dla całej Polski. Wprawdzie na gruzach PRL-u powstawały zręby w miarę normalnego europejskiego kraju, co samo w sobie było faktem ze wszech miar pozytywnym, ale działo się to w atmosferze kompletnego rozpadu instytucji państwa, szalejącej inflacji i degrengolady gospodarczej. Najwięcej do powiedzenia w tamtych czasach miał ten, co najgłośniej krzyczał. Towarzystwo Muzyczne, powstały nieco później Teatr Fredreum i Towarzystwo Przyjaciół Nauk były instytucjami kształtującymi świadomość elit intelektualnych miasta. Aby zapisać się w szeregi tych stowarzyszeń, nie trzeba było posiadać dyplomu konserwatorium, szkoły teatralnej czy tytułu naukowego. Każdy miał prawo działać w tym czy innym towarzystwie, a często we wszystkich trzech naraz, albowiem mówimy o elicie intelektualnej. Co z ową elitą stało się w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu, nie trzeba nikomu zbyt szczegółowo tłumaczyć. Przetrwali nieliczni, próbując żyć w równoległych światach: dawnym pięknym i tym codziennym, często wypieranym ze świadomości.

Świat piękny składał się z wnętrz wypełnionych przedwojennymi meblami, które traktowane były nie jako lokata kapitału czy przejaw zmysłu estetycznego właścicieli, ale raczej jako efekt braku sensownej alternatywy. Codziennością były meblościanki z płyty wiórowej i papendekla, wadliwe już w sklepie, a pomimo to znajdujące nabywcę na pniu. Świat piękny pachniał naftaliną, która niewielkie wrażenie robiła na szkodnikach odzieży, ale stanowiła specyficzny element systemu. Kolejnym elementem tej układanki były miejsca, na przykład ponurawa oficyna przy ulicy 1 Maja 6a, gdzie słońce nie docierało w zasadzie nigdy, albowiem kamienicę zbudowano wzdłuż osi wschód–zachód, z dużymi wprawdzie oknami, ale wychodzącymi w kierunku północnym i na dodatek zasłoniętymi sąsiednimi zabudowaniami. Do pomieszczeń zajmowanych wówczas przez Towarzystwo Muzyczne wiodły drewniane, kręte i skrzypiące schody. Z klatki schodowej wchodziło się wprost do sali prób, gdzie stały rzędy zdezelowanych jak całe to miejsce krzeseł, stary fortepian i jeszcze starsza fisharmonia. Pod jedną ze ścian znajdował się gdański kredens, ciężki i masywny, raczej bez szczególnego zastosowania dla muzyki, prawdopodobnie spadek po jakiejś nobliwej damie, działaczce.

Były takie czasy w historii Przemyśla, kiedy panowało przeświadczenie, że aby znaleźć się w gronie wybrańców losu (czytaj: uczniów szkoły muzycznej), należało mieć rodziców ustosunkowanych i majętnych. W te rewiry byle kto wstępu nie miał. Do dziś nie wiem, jak udało mi się przekonać rodziców do wysłania mnie na przesłuchanie kandydatów do tej szkoły, ale pamiętam słowa: *Ja tam nikogo nie znam, więc na pewno się nie dostanie, ale pójdę z nim, żeby kiedyś nie narzekał, że mu szansy nie dano.* Przed oficjalnymi egzaminami do szkoły odbywał się nieobowiązkowy etap przesłuchań u jednego z nauczycieli. Chodziło o wyłowienie ewentualnych talentów do gry na tym lub innym instrumencie. W moim wypadku wędkarzem była Jarosława Popowska, wieloletnia nauczycielka chóru w szkole muzycznej, jednocześnie udzielająca się w Towarzystwie Muzycznym i Ukraińskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym. Pani ta była uosobieniem wszystkiego tego, o czym napisałem na wstępie. Przedwojenna aparycja, polszczyzna z gładkim *ł*, granatowy żakiet, koronki i woń naftaliny przemieszanej z perfumami. Po wysłuchaniu mojej produkcji wokalnej powiedziała mniej więcej takie słowa: *No, młody człowieku, dobrze, bardzo dobrze, trzeba będzie popracować jeszcze nad emisją i będzie znakomicie. Będziesz chodził na zajęcia z emisji głosu do pani Graziadio i wszystko się wyprostuje. Zapraszam w piątek na próbę.* Tym sposobem stałem się członkiem Chóru Chłopięcego „Przemyskie Słowiki", z przydziałem do głosu pierwszego. Kim była pani Graziadio, nie wiedziałem wówczas. Kiedy już zacząłem uczęszczać na próby chóru, jej nazwisko jeszcze co jakiś czas pojawiało się, ale przynajmniej ja nigdy osobiście jej nie poznałem. Niektórzy koledzy ponoć na jakieś indywidualne zajęcia chodzili, mnie ten zaszczyt z jakichś niejasnych powodów ominął.

Jak zawsze w Przemyślu, nowe projekty artystyczne miały założenia wielkie i wiekopomne. Skoro mieliśmy już chór chłopięcy, to należało poszerzyć go o głosy męskie, wzorem

Ze zbiorów autora

Chór Chłopięcy „Przemyskie Słowiki", fotografia z około 1975 roku

poznańskich chórów Stefana Stuligrosza i Jerzego Kurczewskiego. Tu już pojawiły się problemy, bo – pomimo wielkich planów – profesjonalnie wykształconych głosów męskich w takiej ilości nigdy w Przemyślu nie było, a zapał pasjonatów też niestety nie był aż tak wielki, na jaki wyglądał. Summa summarum, byt artystyczny pod nazwą Chór Chłopięco-Męski „Przemyskie Słowiki" nigdy się nie urodził, ale co się pogadało, to nasze.

Kolejną ciekawą postacią w krótkiej, bo maksymalnie pięcioletniej historii Przemyskich Słowików była Ciocia – zwana tak powszechnie pani, która zajmowała się wszystkim tym, co stanowiło otoczenie organizacyjne prób i koncertów chóru. Ciocia załatwiała przymiarki strojów w technikum odzieżowym, rozliczała chórzystów z pożyczonych ubrań i nut, a w razie potrzeby przyszywała urwane guziki, służąc jednocześnie zestawem agrafek we wszystkich możliwych wielkościach i do wszelkich możliwych zastosowań. Do dziś nie wiem, kim była owa Ciocia, czym zajmowała się na co dzień, ba, nie wiem nawet, jak miała na imię.

Próby odbywały się we wtorki i w piątki po południu. Zaczynała je obowiązkowa rozśpiewka według ścisłych instrukcji. Madame demonstrowała precyzyjnie, jak i co należy wymawiać, jak incytować poszczególne dźwięki i jak brać oddech *na przeponę*, a wszystko to nienaganną, przedwojenną polszczyzną. Koncerty zdarzały się na ogół przy okazji świąt państwowych. Programy składały się z utworów stanowiących kanon literatury akademiowej, typu *Ukochany kraj*, pieśni sławiących polski oręż, a czasami też bohaterstwo sprzymierzonych armii, na czele z Armią Czerwoną rzecz jasna. Z braku dostępu do oryginalnych opracowań nieraz trzeba było dokonywać adaptacji tekstu do potrzeb chwili. I tak na przykład fragment pieśni sławiącej polską marynarkę wojenną *To polscy marynarze, strażnicy morskich fal*, z okazji zbliżającej się rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej urabiało się do konsystencji *Radzieccy marynarze, strażnicy morskich fal*. Mój epizod z chórem chłopięcym trwał około dwóch lat, a zakończył się banalnie, jak u wszystkich moich kolegów,

mutacją głosu, po której zakończeniu, przynajmniej teoretycznie, powinienem był wrócić do zespołu, śpiewając już w którymś z głosów męskich, ale – jak wspomniałem – pomimo szumnych zapowiedzi chór chłopięco-męski nigdy nie powstał.

W czerwcu 1983 roku po raz drugi do Polski pielgrzymował Jan Paweł II. Jak kraj długi i szeroki, wszyscy szykowali się na tę wielką chwilę. Szykowało się także i mocno już wówczas nadszarpnięte kadrowo przemyskie Towarzystwo Muzyczne. Wprawdzie papież nie planował wówczas wizyty w Przemyślu, ale na cześć czcigodnego gościa zorganizowano koncert muzyki religijnej i patriotycznej w jednym z przemyskich kościołów. Trzynastego, w poniedziałek, miałem wypadek, który być może zaważył na całym moim późniejszym życiu. Kontuzja ręki i konieczność interwencji chirurgicznej prawdopodobnie spowodowała, że już nigdy „wyczynowo" nie zagrałem na żadnym z klawiszowych instrumentów, ale po raz drugi moje losy splotły się z historią najstarszego przemyskiego towarzystwa. Dzień po tym nieprzyjemnym, bądź co bądź, zdarzeniu udałem się do szkoły, aby dostarczyć stosowne zaświadczenia lekarskie. W piwnicznej sali, tak zwanej klubowej, odbywała się właśnie próba połączonych chórów szkoły muzycznej i Towarzystwa, poprzedzająca papieski koncert. Ponieważ frekwencja była gorzej niż marna, każde gardło zdolne do wydawania dźwięku miało wartość nie do przecenienia. Podszedł wówczas do mnie pan, którego znałem już wcześniej z prób tego nieco osobliwego zespołu, uścisnął moją zdrową prawicę, przedstawił się pierwszy: – *Galijski jestem. Czy pan, panie kolego, jest może organistą?* – zapytał. – *Owszem* – odpowiedziałem – *jeszcze wczoraj tak mi się wydawało, ale dziś, z ręką w gipsie, to już taki pewien nie jestem. – Bo ja miałbym do pana wielką prośbę. Jak pan już wydobrzeje, to wspólnie wykonamy tournée po parafiach okolicznych z programem pieśni maryjnych, ale póki co, tu, proszę, jest deklaracja członkowska naszego towarzystwa, proszę podpisać tu, i jeszcze tu.* I w ten oto dziwny i kompletnie niezamierzony sposób, z ręką w gipsie i kilkunastoma szwami dłoni, zostałem członkiem Towarzystwa Muzycznego w Przemyślu. Kiedy moja ręka doszła już do stanu względnej używalności, kilkukrotnie odbyłem próby z marzącym o ogólnodiecezjalnej karierze wokalnej panem inżynierem, ale do planowanego tournée jakoś nigdy nie doszło. Próby połączonych chórów prowadziło na zmianę kilku dyrygentów, najczęściej byli to nauczyciele szkoły muzycznej, którzy prowadząc próby, odbywali jednocześnie swoje zajęcia etatowe w szkole. Najczęściej na *pace* dyrygenckiej stał prof. Jan Niemiec, ale bywał on zmieniany przez bratanka Przemysława – matematyka i muzyka, Alfreda Czernego – działającego w Towarzystwie jeszcze od czasów przedwojennych, albo Zofię Jabłecką – śpiewającą w niemal wszystkich przemyskich chórach. Patrząc z mojej ówczesnej perspektywy nastolatka, Towarzystwo było zbiorem przedziwnych indywidualności, a każda godna byłaby osobnej notki biograficznej. Wraz z kolegami niejednokrotnie stroiliśmy sobie żarty z tych ludzi, nie bardzo rozumiejąc, po co im to wszystko, jednocześnie zdając sobie sprawę, że pasja muzyczna jest dla tych niejednokrotnie zaawansowanych wiekiem osób czymś, co trzyma ich przy życiu.

Oficjalna ówczesna propaganda, która tu i ówdzie do dzisiaj pokutuje, głosiła, że aby być dobrym, dajmy na to, pianistą, należało skończyć stosowny fakultet, i to już zapewniało pewność bytu. Taki dobry (?) pianista nie mógł równocześnie dobrze malować portretów, bo stosownego fakultetu nie ukończył, ergo nie znał się. Ba, on nawet nie mógł kupić sobie farb, aby namalować ów portret, bo patrz, jak wyżej. Tylko zacne gremia, mianowane przez inne, jeszcze zacniejsze gremia, miały prawo ferować wyroki na temat tego, czy coś jest sztuką, czy nią nie jest, a pasjonaci jakoś w ten schemat nie dawali się wmontować, stawiając się – chcąc nie chcąc – na pozycji outsiderskiej.

Bibliotekarzem Towarzystwa był Kazimierz Galikowski, znany powszechnie jako „Kiju", kolejny niepraktykujący w zawodzie organista, absolwent szkoły salezjańskiej. Opowiedział mi kiedyś taką oto historyjkę ze swojej pierwszej i ostatniej jednocześnie posady organisty, którą piastował w jakiejś podprzeworskiej parafii. *Przyszła raz do mojego szefa, czyli proboszcza, świeżo upieczona wdowa, aby zamówić u dobrodzieja godny, acz niedrogi pogrzeb dla swojego męża. Ponieważ była osobą biedną jak mysz kościelna, prosiła proboszcza o odstąpienie od zwyczajowej ofiary w uświęconej tradycją wysokości. Proboszcz okropnie się zeźlił i posłał ową wdowę do wszystkich… Zapłakana kobieta opowiedziała o całym zajściu młodemu organiście, a ten, chcąc ulżyć jej w cierpieniach, zaproponował, że jako absolwent tak zacnej uczelni, jak Salezjańska Szkoła Organistowska sam odśpiewa wszystkie należne modlitwy, i to za darmo. Tak też się stało – wieczorem tego samego dnia denat został pochowany zgodnie z wszystkimi kanonami. Nietrudno się domyślić, co się stało, gdy o zajściu dowiedział się przełożony Kija, ksiądz proboszcz. Z wilczym biletem nasz filantrop opuścił podprzeworską parafię, aby już nigdy za kontuarem organów nie zasiąść.* Wierzyć w tę opowiastkę czy nie, ale znając batiarską naturę organisty, szefa kapeli podwórkowej, kaligrafa i bibliotekarza w jednym, istnieje duże prawdopodobieństwo, że historia ta mogła się zdarzyć.

Tamtej Polski już nie ma (za co chwała Najwyższemu), większość wspomnianych bohaterów przeszła do krainy wiecznej próby, a idea wspólnego muzykowania, niekoniecznie dla pieniędzy, przetrwała i żyje, chociaż już całkiem innym życiem. Życiem nowomowy urzędniczo-unijnej, walki z wykluczeniem, projektów i tym podobnych znaków czasu, o czym będzie jeszcze zapewne sposobność wspomnieć. ●

Czy zauważyliście, że między wierszami pewnych książek przelatują tłumnie jaskółki, całe wersety drgających, spiczastych jaskółek? Należy czytać z lotu tych ptaków…
Bruno Schulz

Rozterki czytelnika

Tadeusz Nuckowski

Czytać nauczyłem się, jak pamiętam, tuż przed pójściem do szkoły; było to tak dawno temu, że aż wstyd pisać. A pisać nauczyłem się już w szkole, co również było w dawnych czasach. I odtąd czynność czytania (częściej niż pisania) towarzyszy mi nieustannie, na każdym kroku; nawet jeśli nie czytam książek lub gazet, muszę odczytywać najróżniejsze komunikaty i instrukcje związane z funkcjonowaniem w cywilizowanym świecie.

Jeśli można, zatrzymam się jeszcze w zamierzchłych czasach (co w moim wieku jest zjawiskiem dość częstym) i opowiem o książce otrzymanej za bardzo dobre wyniki w nauce na koniec roku szkolnego w pierwszej klasie szkoły powszechnej (umyślnie użyłem niedzisiejszego określenia *powszechnej* zamiast *podstawowej*). Była to wierszowana opowieść Jana Brzechwy *Opowiedział dzięcioł sowie*. Do dziś potrafię cytować z pamięci obszerne fragmenty tego utworu sławiącego wyższość handlu spółdzielczego nad prywatnym. Posłuchajmy kluczowej wypowiedzi prywaciarza, właściciela sklepu spożywczego, wilka Bazylego: *Kto powiedział, że jest drogo? / Nie prosiłem z was nikogo, / By odwiedzał moją knieję. / Komu drogo – niechaj nie je*. Hasło KOMU DROGO – NIECHAJ NIE JE wydaje się niepokojąco aktualne. Na przeciwnym, słusznym wówczas ideologicznie biegunie ulokował autor apoteozę uspołecznionego handlu, wyrażaną przez pieśń kukułek: *Powiedzcie, słowiki, / Ku-ku, / Gdzie kupić pierniki? / Ku-ku, / W spółdzielczym sklepie, / Ku-ku, / Kupisz najlepiej, / Ku-ku.* Aż chciałoby się dodać: *kuku na muniu*.

Ów koniec roku szkolnego zapamiętałem jeszcze z powodu świadectwa, na którym moja wychowawczyni, na pierwszej stronie podpisana jako *Józefa Kroczykowska*, na rewersie, w miejscu oznaczonym *wychowawca klasowy*, podpisała się: *Józef Kroczykowski*. Wtedy nie wiedziałem, co o tym myśleć, teraz też wydaje mi się to niepojęte. Ta zmiana płci nie była w żadnym wypadku żartem, była raczej wynikiem chęci skrupulatnego wypełniania przepisów: *wychowawca klasowy* to przecież rodzaj męski. Wciąż przechowuję ten dokument.

Czytelnictwo jest wyższą formą umiejętności czytania, zwykle oznacza zwyczaj obcowania z książkami (proszę wybaczyć, że zamiast *czytania książek*, napisałem *obcowania z książkami*, zrobiłem to tylko dlatego, żeby w jednym zdaniu nie użyć dwa razy słowa *czytania*).

Kiedyś miałem zwyczaj, dziś wydający mi się nieco pretensjonalny, szczegółowego opisywania okoliczności towarzyszących powstawaniu listów, lubiłem dokładnie opowiedzieć o stole, przy którym siedziałem, wyliczyć wszystkie leżące na nim przedmioty, podać dokładną godzinę, napisać o towarzyszącej mi muzyce i wspomnieniach przez nią przywoływanych. Było to w czasach mojej aktywności epistolograficznej, dziś już bardzo przygasłej, w epoce odręcznego pisania listów, często przy użyciu tradycyjnej stalówki maczanej w atramencie. Proszę jednak nie myśleć, że tak zwane wieczne pióra i długopisy były wtedy jeszcze nieznane. Mam wprawdzie wciąż spory zapas stalówek, atrament też, posiadam kilka wiecznych piór (zwanych niegdyś wiecznymi rączkami), jednak twarda rzeczywistość zmusza mnie do stukania w klawiaturę i obserwowania rezultatów na monitorze (teraz, zamiast powiedzieć: *tekst mojego pióra*, należałoby użyć zwrotu: *tekst mojego klawisza*; o rany, to brzmi ohydnie!). Zapragnąłem mimo to na chwilę wrócić do dawnego zwyczaju, niech więc opowiem: zacząłem to pisać w dość chłodną majową noc, mając na uszach słuchawki, w nich muzyka z internetu (iTunes), w przerwach między piosenkami słyszałem bębniący o parapet deszcz (cholera, żeby mi tylko nie wytłukł petunii dopiero co posadzonych w starej beczce przed domem!). Ale maj dawno minął, słowików ani na lekarstwo, za oknem szara jesień, petunie wnet zwarzą przymrozki, beczkę przysypie śnieg.

No tak, chyba mi się coś pomieszało, przecież nie piszę listu. Swoją obecną sytuację nieskromnie porównam do występów aktora lub muzyka, który podczas spektaklu upatruje na widowni jedną osobę i dla niej gra (często słyszę o tym w wywiadach z różnymi performerami). Oświadczam więc, że tekst ten kieruję tylko do Jednej Wybranej Osoby. Powiem dokładniej: jest nią Osoba, która w tej chwili to czyta.

Tak, to ma być o czytaniu, nie o pisaniu! No dobrze. Zewsząd słychać biadolenie nad upadkiem czytelnictwa, wylicza się, ile to książek rocznie czyta statystyczny Polak, próbuje się dociec przyczyn słabego zainteresowania tym szlachetnym zajęciem. Może książki są zbyt drogie? Chyba

Tadeusz Nuckowski

nie, ceną zwykle równają się z butelką dobrego wina lub przeciętnej whisky (ewentualnie whiskey, jeśli irlandzka). Nie wiem tylko, dlaczego niedobra książka jest w cenie dobrej, choć powinna być przecież tańsza. Tego problemu tu nie rozstrzygnę, zauważając przy okazji, że w sklepach jest więcej dobrego wina niż dobrych książek. A mnie się zdaje, że czytelnictwo wcale nie upada, bo zawsze było podobne, czyli upadłe.

Usłyszałem gdzieś dość dowcipną uwagę, że czytelnictwo upada, bo teraz więcej ludzi pisze książki niż czyta. Jest w tym coś z prawdy: dawniej książki pisali pisarze, teraz prawie każdy (chciałoby się rzec dosadniej: teraz byle kto). Obecnie w księgarniach aż roi się od książek autorstwa ludzi, którzy uznali, że chwilowa popularność upoważnia ich do napisania czegoś o sobie. A niech piszą (zwykle robią to w ich imieniu *ghostwriterzy*), nic mi do tego, może akurat kupią to ich fani, traktuję to zjawisko jak próbę wiązanej sprzedaży okolicznościowych gadżetów typu maskotka lub T-shirt. Jeśli mam być szczery – choć nie wiem, czy powinienem – przyznam się, że sam kiedyś miałem ochotę napisać książkę, jednak zrezygnowałem po tym, gdy uświadomiłem sobie, że książka, którą chętnie bym napisał, już dawno została napisana.

Po chwili namysłu muszę jednak stwierdzić, że każde ludzkie istnienie zasługuje na książkę, zaś każda książka choćby na jednego czytelnika. Ludzi interesuje przecież głównie życie innych ludzi. Stąd takim powodzeniem cieszą się biografie, dzienniki i pamiętniki, wspomnienia i listy.

Przypomnę też inne, usłyszane dawno temu powiedzenie, według którego posiadanie książki zwalnia z obowiązku jej przeczytania. W nim też są elementy prawdy, które łatwo mogę sprawdzić na sobie: nie wszystkie książki ze swojego zbioru zdążyłem przeczytać (lub przeczytać do końca), choć przeważnie kupowałem je z takim zamiarem. Mam więc parę książek niedoczytanych, które – jak myślę – uda mi się w końcu przeczytać, mam też kilka nierozpoczętych i odłożonych na później, tu czołową pozycję zajmuje *Sto lat samotności* Márqueza, książka nieprzeczytana chyba dlatego, że wszyscy w moim otoczeniu ją przeczytali i się nią zachwycają. Nieraz nachodzi mnie myśl, żeby ją wreszcie przeczytać, jednak myśl tę odsuwam od siebie w obawie, że czas, w którym mogła mi się podobać, minął już bezpowrotnie.

Przy okazji należałoby wspomnieć o zjawisku kolekcjonowania książek, nie zawsze związanym z czytelnictwem. To bibliofilstwo, hobby kojarzące mi się z filatelistyką. I tu, i tam obiekt kolekcjonerski oderwany jest od swojej podstawowej funkcji czy przeznaczenia: filatelista nie nakleja swoich znaczków na listy, a bibliofil nie zajmuje się czytaniem. Chyba mam coś z bibliofila, bo w mojej kolekcji jest sporo książek zdobytych nie zawsze z myślą o ich przeczytaniu. A książki kupione wyraźnie do przeczytania często oceniam

z bibliofilskiego punktu widzenia, punktu sprowadzonego zwykle do moich graficznych wymagań i gustów. W czytaniu niektórych przeszkadza mi na przykład okładka czy obwoluta, posuwam się nawet do zaklejania drażniących mnie okładek i do wyrzucania obwolut, często też wkurza mnie układ typograficzny tekstu, zbyt małe marginesy, bezsensownie stosowane wcięcia akapitowe na początku rozdziałów. Może to bierze się stąd, że sam jestem projektantem książek?

Z tymi książkami to jeden wielki kłopot, nasze mieszkania są zwykle za małe, mają ograniczoną pojemność, nikogo już nie stać na przeznaczenie osobnego pokoju na bibliotekę. Dzięki swoim politechnicznym zdolnościom buduję wprawdzie coraz to nowe półki, ale od czasu do czasu zmuszony jestem przeprowadzać selekcję. Do niedawna miałem rezerwowe pomieszczenie w postaci pracowni, dokąd wywoziłem z mieszkania książki mniej ważne, ale niedawno z tej pracowni zrezygnowałem i przeniosłem się z całym graficznym warsztatem do swej podmiejskiej siedziby, nie wlokąc za sobą całego pracownianego księgozbioru. A selekcja zwykle polega na tym, że zadaję sobie podstawowe pytanie: czy zechcę jeszcze kiedyś sięgnąć po tę książkę? Jeśli nie, powinna ona ustąpić miejsca nowym nabytkom. W przeciwnym razie stałbym się podobny do kolekcjonera starych ubrań, które już nigdy nie zostaną użyte[1]. Ale co zrobić z niechcianymi książkami? Spalić? *Gdzie się pali książki, dojdzie wkrótce do palenia ludzi*, powiedział Heinrich Heine, co później sprawdziło się za sprawą jego rodaków. Przyznam się, że spaliłem sporo książek, a jeśli idzie o palenie ludzi, powiem tylko, że sam chciałbym być kiedyś spalony (najchętniej po śmierci). Wrócę jednak do palenia książek, co w moim przypadku należałoby raczej nazwać paleniem książkami. Zeznaję: z początkiem lat 80. ubiegłego wieku rozgrzałem kaflowy piec w moim ówczesnym mieszkaniu przy ulicy Grodzkiej kilkunastoma tomami dzieł Józefa Stalina i kilkoma Włodzimierza Lenina. Wyrzutów sumienia nie odczuwałem, a ponieważ było to w stanie wojennym, w trakcie hajcowania czułem się prawie jak opozycjonista walczący z komuną.

Opowiem o nietypowym zachowaniu się wobec książki, jakie kiedyś mi się przydarzyło, zachowaniu graniczącym z barbarzyństwem. Stało się to bardzo dawno temu, kiedy miałem dwadzieścia lat. Nazwiska autora rzeczonej książki już nie pamiętam, nawet próbowałem sobie na tę okoliczność przypomnieć, niestety, bezskutecznie. Była to powieść jakiegoś współczesnego polskiego pisarza, wydanie pierwsze, i chyba ostatnie. Kupiłem ją w księgarni na Franciszkańskiej (zawsze była tam księgarnia, upadła wraz z upadkiem całej ulicy, po której nikt już nie chce spacerować). Pracowała tam wtedy moja koleżanka z ogólniaka, która pozwalała mi wejść za ladę i buszować po półkach. Dziś jest to normalny sposób kupowania książek, i nie tylko książek, ale wtedy sklepów samoobsługowych, zwłaszcza księgarni, jeszcze u nas nie było. Owa książka tak mnie wkurzyła, że przerżnąłem ją w poprzek piłką do drewna, co wcale nie było łatwe. Nikomu dotąd o tym nie mówiłem, bo czym się tu chwalić. Jednak teraz, w dobie coraz częstszych *coming outów*, postanowiłem i ja się ujawnić. Ale pomyślałem też (nie to, że chciałbym się usprawiedliwiać) o pozytywnych aspektach tego wydarzenia, takich jak: niezwykle emocjonalne zaangażowanie w lekturę, szczera i spontaniczna reakcja… Nie, chyba tego postępku się nie da obronić, zachowałem się jak jakiś bibliofob. Przypomniałem sobie cytowane wyżej powiedzenie Heinego, a w ślad za tym cytatem – znane z nieodległej historii obrazy przerzynania piłą ludzi. Brr!

Jestem czytelnikiem kapryśnym i wybrednym. Pierwsza cecha jest ujemna, druga dodatnia, więc się bilansują. Mógłbym właściwie przestać kupować książki, od nowa czytając te, które już mam i znam, które mi się podobają (według słynnej zasady inżyniera Mamonia z *Rejsu*). Nowa, świeżo przeczytana książka musi sporo odczekać, zanim znów po nią sięgnę, w lepszym położeniu są te kupione dawniej. Natrafiam nieraz na książki z umieszczonymi w nich zakładkami w postaci różnych przypadkowych papierków: paragonów ze sklepu, kolejowych biletów, metek odzieżowych, pocztówek, fotografii, zdarza się nawet kawałek papieru toaletowego, świadczący o miejscu lektury. Czy zakładka oznacza punkt, do którego dobrnąłem? Nie zawsze, gdyż często jest to ślad kolejnego czytania, zwykle nieprzydatny, bo przecież książkę trzeba znów zacząć od początku, czasami jest to zaznaczenie jakiegoś ważnego miejsca. Mam też kilka książek, które czytam na wyrywki, czyli otwierając w przypadkowym miejscu. Te książki nie potrzebują żadnych zakładek. Należy do nich, co oczywiste, Biblia (dość rzadko czytywana, przyznaję); spośród kilku pozostałych wymienię przede wszystkim prozę Brunona Schulza. Sięgam po nią głównie w lipcu i sierpniu, nie wiem dlaczego, ale tak już mam od wielu lat (może to jest przykład wspomnianej kapryśności?). Prawdopodobnie przeceniam tę prozę, kiedy myślę, że po Schulzu już nic lepszego nie napisze żaden polski pisarz. Kiedyś zatytułowałem jeden ze swoich linorytów zdaniem z jego opowiadania. Podobny przypadek użycia cytatu jako tytułu grafiki zdarzył mi się z prozą Buczkowskiego. Miałem okazję osobiście spytać poznanego przed laty pana Leopolda o zgodę (zapraszaliśmy go do Przemyśla, ale *nie zdążył na pociąg*). Zdaje mi się, że mam wszystkie jego książki, na ogół bez obwolut, bo były bardzo kiepskie, zwłaszcza te z Wydawnictwa Literackiego.

Na wyrywki czyta się przede wszystkim poezję. A z poezją mam pewien kłopot. Zajmowałem się

[1] Gdybym był pisarzem, z pewnością pokusiłbym się o rozwinięcie tego smacznego wątku i przyznałbym się, że jednak mam kilka sztuk garderoby trzymanych ze względu na ich wartość bardziej sentymentalną niż użytkową.

niegdyś niekomercyjnym wydawaniem tomików współczesnej poezji polskiej w bibliofilskich, ograniczonych do stu egzemplarzy nakładach. Poznałem przy tej okazji wielu poetów. W większości byli to (lub nadal są, jeśli jeszcze żyją) wspaniali ludzie i artyści. Niektórych jednak wolałbym w ogóle nie poznać. Teraz, jeśli czytam poezje, to głównie autorów nieżyjących i nieznanych mi osobiście. To znacznie bezpieczniejsze. Dodam jeszcze, że poezja zajmuje niewiele miejsca na moich półkach, może też i dlatego, że poeci publikują zwykle dość cienkie tomiki. Mimo wszystko zazdroszczę poetom: ich cały warsztat to kartka papieru i coś do pisania. Kiedyś nawet chciałem być poetą (*dobrze być poetą, bo u poety cztery żony, a z każdą dawno rozwiedziony* – cytuję [Bursę] z pamięci), siedzieć w kawiarni i pisać na serwetkach genialne wiersze rozchwytywane przez wydawców, dostawać różne nagrody, z Noblem włącznie. Wkrótce zarzuciłem ten zamiar, gdyż nie lubię przesiadywać w kawiarniach, nie wiem nawet, czy są jeszcze kawiarnie. Nie wiem też, czy potrafiłbym napisać wiersz, bo nigdy nie próbowałem. Poza tym poetą trzeba się urodzić, a ja o to nie zadbałem w stosownym czasie.

Znajomość szczegółów biografii autora nie zawsze pomaga w odbiorze jego dzieła, a często jest wręcz przeszkodą. Zdarzało mi się, że poznawszy szczegóły biografii pisarza, zniechęcałem się do czytania jego książek. Tak się stało, kiedy nieopatrznie przeczytałem trzytomowy *Dziennik* Tomasza Manna. Z podobnych powodów obrzydł mi M. Białoszewski; do tego stopnia, że nawet nie wymienię jego imienia. Był wprawdzie świetnym poetą i pisarzem, ale czy zaraz muszę go lubić? Podpadł mi też kiedyś Bohumil Hrabal, nigdy już nie wrócę do jego książek, choć kiedyś się w nich zaczytywałem. Manna na razie nie ruszam, bo dobrze się prezentuje na półce, ale Białoszewskiego i Hrabala chyba spakuję i schowam w ustronnym miejscu. Zastanawiałem się, czy kupić drugi tom *Dzienników* Mrożka. I nie kupiłem, bo nie mam już ani siły, ani czasu babrać się w jego problemach; ciekawość życia innych ludzi też ma swoje granice. Ale mimo wszystko lubię go, cenię i szanuję. Dotychczasowe Mrożki zostają na półce.

Najbardziej eleganckim, estetycznym i higienicznym sposobem przechowywania książek jest umieszczanie ich w specjalnych etui, z ozdobnymi, zunifikowanymi grzbietami, zdobionymi i tłoczonymi. W takim pudełku książka czuje się komfortowo, nie osiada na niej kurz, nie płowieje pod wpływem światła. A jak szlachetnie i bogato wygląda półka z takimi grzbietami! Niestety, mało kogo (w tym i mnie) stać na takie fanaberie. Ale też nie każda książka zasługuje na taki luksusowy żywot. Książkę, według powszechnego mniemania, należy szanować jak chleb. Pogląd ten pochodzi z czasów, kiedy zawierała ona wartościowe treści spisane przez równie wartościowych autorów, a więc w dzisiejszych czasach jest już mocno anachroniczny.

Czytanie książek nie zawsze jest *szlachetnym zajęciem*, że zacytuję sam siebie. Czy to określenie pasuje na przykład do czytelnika brukowej literatury typu harlequin? Tu z pewnością należałoby wyjaśnić, co to takiego jest ten harlequin, gdyż nie sądzę, aby Czytelnicy niniejszego tekstu kiedykolwiek mieli w ręku ten rodzaj literatury. Cóż, sam dobrze nie wiem, wiem tylko, że jest to synonim złego smaku i tandety. Postanowiłem sprawdzić to w internecie. Spełniły się moje najgorsze przeczucia. Zacytuję tylko opis serii „Światowe Życie Extra": *Bohaterowie to ludzie bogaci i odnoszący sukcesy w życiu zawodowym – milionerzy, biznesmeni, arystokraci, gwiazdy show biznesu. Mieszkają komfortowo, prowadzą wystawne życie, lubią luksus, śmiało realizują marzenia, wiele podróżują po całym świecie. Na pozór niczego im nie brak, ale pieniądze i popularność to nie wszystko, więc wytrwale poszukują tego, co najważniejsze – miłości i szczęścia.* Zainteresowałem się tytułem bliskim mi zawodowo: *Niezapomniany wernisaż*. Przeczytałem nawet kilka słów o tej książce (określenie *książka* wydaje się tu nadużyciem) i uznałem, że takie coś, choć wydrukowane na papierze, nie zasługuje nawet na pojemnik z napisem PAPIER.

Nie ma się co tak srożyć i denerwować, niezbadane są wyroki boskie, może harlequiny są stworzone po coś, czego nie ogarnia mój rozum? Wciąż na przykład nie mogę pojąć, po co istnieją komary i kleszcze, choć myślę, że one doskonale wiedzą, po co istnieje człowiek.

Ostatnio dość dobrze się ma gatunek literacki będący odwrotnością harlequina, nazwijmy go może spolszczonym określeniem *antyarlekin*. W przeciwieństwie do klasycznego arlekina, który pozwala ludziom ubogim (ubogim przede wszystkim duchem) wznosić się w marzeniach ponad sytuacje doświadczane w *realu*, antyarlekin oferuje obrazy z życia warstw niższych niż reprezentowana przez czytelnika. Jest taki autor (a może nawet kilku), którego nazwiska przez grzeczność nie wymienię, specjalizujący się w opisywaniu żywotów prostych czy innych niż prostych (zakręconych?) ludzi, żywotów smutnych, beznadziejnych i nieudanych, często dość egzotycznych i nietypowych. Co robi czytelnik w zetknięciu z takimi przypadkami? Czyta z przyjemnością i dziękuje Bogu (jeśli agnostyk – losowi), że nie jest w położeniu opisywanych, przez co czuje się lepszy i szczęśliwszy. I dlatego nie żal mu tych trzydziestu złotych wydanych na książkę autora z pewnością wybitnego, bo przecież pokazują go w telewizji i piszą o nim w bardzo ważnej gazecie.

Czas już na konkluzję i jakieś zgrabne zakończenie. Powiem tak (użyłem tego kretyńskiego zwrotu dla żartu): ludzie dzielą się na dwie grupy – czytających i nieczytających, patrzące na siebie nawzajem z politowaniem, przy czym żadna z nich nie ma racji. A tak naprawdę (znów słynny zwrot, używany przez ludzi kulturalnych zamiast *k…*), nie ma co tak fetyszyzować książki, wciąż przecież istnieją ludy nieznające tego wynalazku i jakoś się bez niego obywające. ●

Projekt „Polsko-ukraińskie braterstwo broni w 1920 roku”

Bogumiła Kowal

Narodowy Instytut Audiowizualny w Warszawie w 2012 roku zainicjował ciekawy program „Archiwistyka Społeczna”. W ten sposób pragnie ocalić od zapomnienia oraz upowszechnić wiele cennych kolekcji i spuścizn osób prywatnych dotyczących naszych dziejów ojczystych. Często bowiem takie materiały po zakończeniu pracy zawodowej lub śmierci kolekcjonera bywały rozproszone lub nawet ulegały zniszczeniu.

Jednym z beneficjentów programu został Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyślu, który przejął kolekcję znanego historyka wojskowości dr. Aleksandra Kolańczuka dotyczącą sojuszu polsko-ukraińskiego 1920 roku oraz losów emigracji petlurowskiej w Polsce. Wspomniany historyk materiały te zbierał przez prawie 50 lat. Penetrował polskie i ukraińskie archiwa, gromadził literaturę, a także zbierał relacje od żyjących jeszcze byłych żołnierzy Ukraińskiej Republiki Ludowej oraz ich potomków. Kolekcja przekazana w 2012 roku do zbiorów Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego została opracowana i zdigitalizowana. Dzięki czemu będzie ona udostępniana w całości w bibliotece Instytutu oraz w znacznej części (85 procent) na stronie internetowej. Jej kopie przekazane zostały do Narodowego Instytutu Audiowizualnego i Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

Zespół pracowników i współpracowników Instytutu zrealizował ten projekt w bardzo krótkim czasie, bo zaledwie w ciągu jednego miesiąca, kiedy to zdołano wykonać i opracować 7000 skanów, w tym 500 fotografii. Po uporządkowaniu akta zawierają 202 jednostki archiwalne, co stanowi 0,81 metra bieżącego akt. Zakres chronologiczny zbioru obejmuje lata 1914–1946, 1948–1953, 1955–2012. Natomiast jego zakres terytorialny obejmuje głównie obszar Polski i Ukrainy.

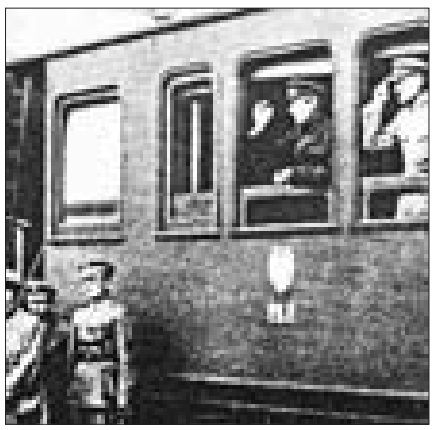

Ze zbiorów Aleksandra Kolańczuka

Marszałek Polski Józef Piłsudski i Ataman Główny URL Symon Petlura w pociągu PKP, wyruszający do Winnicy na akademię po zajęciu Kijowa 8 maja 1920 roku

W skład kolekcji Aleksandra Kolańczuka wchodzą zarówno dokumenty osobiste historyka, jego prace naukowe, jak i ogromny zbiór dokumentów i zdjęć przedstawiających stosunki polsko-ukraińskie w okresie walki Ukrainy o niepodległość w latach 1917–1921 oraz późniejsze losy byłych ukraińskich żołnierzy, sojuszników Polski w czasie wojny z Rosją bolszewicką 1920 roku. Nie mogąc powrócić do ojczyzny, zostali oni na emigracji w Polsce lub wyjechali do Europy Zachodniej. W Polsce, swej przybranej ojczyźnie, wykonywali różne zawody. Jedni, tak jak młodszy brat Symona Petlury, Aleksander, czy Pawło Szandruk, późniejszy kawaler Orderu Virtuti Militari, byli oficerami kontraktowymi Wojska Polskiego. Inni, na przykład Iwan Feszczenko-Czopiwski i Aleksander Łotocki, byli profesorami polskich uczelni wyższych. Jeszcze inni wzbogacali polskie życie artystyczne albo po prostu pracą fizyczną zarabiali na chleb, budując codzienność II Rzeczypospolitej.

Wśród zgromadzonych przez Aleksandra Kolańczuka akt niektóre mają unikalny charakter. Są to bowiem ręcznie pisane świadectwa szkolne, patenty oficerskie uzyskiwane w obozach internowania, gazetki, biuletyny, odezwy oraz oficjalne dokumenty rządu ukraińskiego na emigracji.

Ważną część kolekcji stanowi korespondencja autora z takimi wybitnymi osobami ze środowiska kultury, jak: Jerzy Giedroyc, Witalij Korotycz czy Leon Getz. Wśród archiwaliów istotne znaczenie mają również wykonane przez Aleksandra Kolańczuka zdjęcia przedstawiające ukraińskie cmentarze wojskowe na terenie Polski, jak również fotografie dokumentujące wspólną walkę Polaków i Ukraińców przeciwko bolszewikom oraz bohaterów tych walk.

Udostępnione dzięki programowi Narodowego Instytutu Audiowizualnego materiały były na ogół dotychczas mało znane nie tylko polskim, ale również ukraińskim historykom wojskowości. Badaczy polsko-ukraińskiego braterstwa broni w 1920 roku jest bowiem w Polsce tylko kilku: prócz autora kolekcji Jan Jacek Bruski, Waldemar Rezmer, Zbigniew Karpus, Emilian Wiszka, Robert Potocki i Stanisław Stępień. Pozostaje więc mieć nadzieję, że udostępnienie materiałów tych w internecie zainspiruje innych badaczy, także na Ukrainie.

Ze zbiorów Aleksandra Kolańczuka

Marszałek Polski Józef Piłsudski i Ataman Główny URL Symon Petlura wśród żołnierzy polskich i ukraińskich wyruszających na wojnę przeciwko bolszewikom w 1920 roku

Ze zbiorów Aleksandra Kolańczuka

Przywódcy obu narodów Marszałek Polski Józef Piłsudski i Ataman Główny URL Symon Petlura

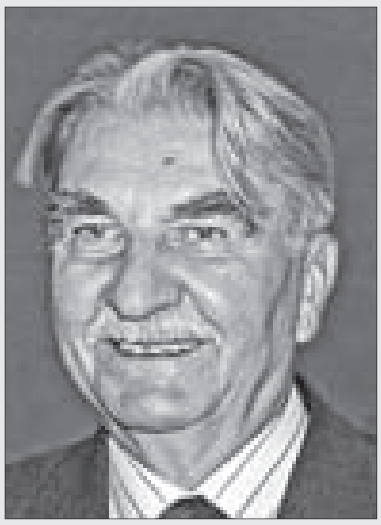

Dr Aleksander Kolańczuk – historyk specjalizujący się w dziejach wojskowości. Do najważniejszych jego prac zaliczyć należy: *Internowani żołnierze armii UNR w Kaliszu 1920–1939* (Kalisz–Przemyśl–Lwów 1995), *Українська військова еміграція у Польщі 1920–1939* (Lwów 2000), *Увічнення нескорених. Українські військові меморіали 20-30-х років XX ст. у Польщі* (Lwów 2003), *Nekropolie i groby ukraińskich walk niepodległościowych w latach 1917–1921* (Przemyśl 2003), *Umarli, aby zmartwychwstała Ukraina* (Przemyśl 2007), *Ukraińscy generałowie w Polsce. Emigranci polityczni w latach 1920–1939. Słownik biograficzny* (Przemyśl 2009).

W 2012 roku przekazał swoje zbiory Południowo-Wschodniemu Instytutowi Naukowemu w Przemyślu, w celu ich udostępniania badaczom wojskowości oraz osobom zainteresowanym powyższą tematyką.

NARODOWY
INSTYTUT
AUDIOWIZUALNY

Bogumiła Kowal – historyk-archiwista, absolwentka Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Pracownica, a obecnie współpracownica Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu.

Obrońca praw Bożych i ludzkich

Wspomnienie o arcybiskupie Ignacym Tokarczuku

Zdzisław Szeliga

Kiedy odchodzi człowiek, który za życia zyskał status żywej legendy i postaci historycznej, z trudem chwyta się za pióro, by skreślić okolicznościowy tekst czy wspomnienie. Piszący ma bowiem świadomość, że wraz ze zgonem owej wybitnej postaci następuje publicystyczne tsunami, najczęściej w tonacji patetyczno-hagiograficznej.

29 grudnia 2012 roku zmarł w Przemyślu arcybiskup Ignacy Tokarczuk, długoletni ordynariusz diecezji, a następnie archidiecezji przemyskiej obrządku łacińskiego, kawaler Orderu Orła Białego, *niestrudzony obrońca praw Bożych i ludzkich, zasłużony budowniczy kościołów, niezłomny głosiciel prawdy* – jak napisano w nekrologach.

Dożył prawie 95 lat. Jego życiorys to długa, fascynująca historia, obfitująca w zaskakujące zwroty akcji; to ciągłe zmagania, bezkompromisowa walka, a jednocześnie konsekwentne trwanie przy głoszonych prawdach i wartościach. Życie arcybiskupa opisane zostało już w licznych książkach, zapewne wkrótce pojawią się kolejne. Cóż mógłbym więc dorzucić do obrazu zmarłego?

Wiem, że wielu skusi się na wspominki o osobistych relacjach z przemyskim hierarchą. Owszem, miałem kilka spotkań z arcybiskupem; parę (raczej krótkich i zdawkowych) rozmów, ale nie mam wątpliwości, że pisanie wspominek o moich kontaktach byłoby grubym nadużyciem. Trzeba zatem poszukać innej formuły opisu. Odniosę się więc do paru, znanych już powszechnie epizodów z życia arcybiskupa. Epizodów, które mogłyby być znakomitą pożywką dla dywagacji amatorów tak zwanej historii alternatywnej (co by było, gdyby…).

Same tylko okoliczności, w jakich ksiądz Tokarczuk został biskupem, były zgoła niezwykłe. Co prawda niektórzy badacze kwestionują tę informację (podaną przez Kazimierza Kąkola, byłego ministra, kierownika Urzędu do spraw Wyznań), ale funkcjonuje ona w obiegu. Otóż podobno o biskupiej nominacji zadecydowało… bałaganiarstwo premiera Cyrankiewicza. Bowiem, zgodnie z obowiązującą procedurą, po śmierci biskupa Franciszka Bardy w 1964 roku, prymas Stefan Wyszyński przedstawił władzom trzy kandydatury na ordynariusza diecezji przemyskiej. Na pierwszym miejscu widniało nazwisko, znanego już wówczas z antykomunistycznych poglądów, księdza Tokarczuka, wykładowcy na KUL. Praktycznie bez szans na akceptację ówczesnej władzy. Kiedy minął urzędowy termin trzech miesięcy, w którym peerelowska władza mogła wybrać z tej listy swojego kandydata, prymas miał wolną rękę w wyborze. Z czego natychmiast skorzystał. I tak pod koniec 1965 roku papież Paweł VI wydał bullę nominacyjną, a w lutym 1966 roku nowy biskup ordynariusz objął rządy w przemyskiej diecezji.

Nigdy by do tego nie doszło, gdyby inaczej potoczyły się wydarzenia w 1944 roku w Złotnikach na Podolu. Wówczas niedawno wyświęcony na księdza Ignacy Tokarczuk był wikarym w miejscowej parafii. Akurat spowiadał w konfesjonale, gdy ostrzegła go córka kierownika szkoły, że jacyś ludzie przyszli po niego. Minął się z niedoszłymi prześladowcami i zdołał ukryć, ale kilkunastu Polaków poniosło w tym dniu w Złotnikach śmierć z rąk ukraińskich nacjonalistów. A gdyby…

Będąc na przemyskim stolcu biskupim, ksiądz Tokarczuk raz po raz poddawany był rozmaitym próbom. Chociażby takim jak ta, kiedy w trakcie procesu morderców księdza Jerzego Popiełuszki oskarżono go o… współpracę z nazistami w czasie okupacji. Ta uknuta przez komunistyczne służby wielopłaszczyznowa intryga znalazła swoistą pointę po kilku latach, w 1990 roku, kiedy jeden z morderców, Grzegorz Piotrowski, napisał z więzienia list, w którym przyznawał się do oszczerstwa i prosił biskupa o przebaczenie wyrządzonej krzywdy.

Był arcybiskup człowiekiem twardym, odpornym na ciosy. Był wizjonerem. Pamiętam, jak gdzieś w okolicach stanu wojennego mówił w jednym z kazań, że komunizm i cały ten system to kolos na glinianych nogach; że wkrótce się rozpadnie. Pomyślałem sobie wówczas, że tak samo jak biskup wierzę, że diabli wezmą tę komunę, ale nie mam złudzeń, że nastąpi to za mojego żywota. Choćbym żył nawet i sto lat. Jakże się myliłem. A on wiedział. Po prostu wiedział.

Wiele (choć już, niestety, coraz mniej) jest osób, które przybliżyć mogą aurę, jaka towarzyszyła akcji nielegalnego stawiania kościołów. To wielkie przedsięwzięcie wymagało sprzężenia kilku czynników – odwagi i determinacji prostych ludzi, szeregowych księży i oparcia w bezkompromisowym biskupie. Komuna, ze swoimi administracyjnymi szykanami, milicją i sądami, mogła

tylko zgrzytać zębami. Jako lokalny przemyski patriota nie raz miałem satysfakcję, kiedy gdzieś tam w Polsce pytano mnie, co tam dzielny, wojujący biskup znowu komunistom nawywijał.

W latach osiemdziesiątych odwiedzały biskupa liczne delegacje z różnych środowisk. Wielu goszczących w Przemyślu wybitnych artystów za punkt honoru uznawało uzyskanie audiencji w pałacu. Biskup Tokarczuk na ogół chętnie przyjmował gości z Polski. Pamiętam podekscytowanie paru warszawskich aktorów, kiedy dowiedzieli się, że mają nazajutrz audiencję. Jeden z nich, zdeklarowany ateista, zastrzegł jednak, że nie pocałuje biskupa w pierścień, i liczył, że pozostali nie będą mieli do niego pretensji. Później ze śmiechem opowiadali, że ten ateista pierwszy odruchowo chciał uczynić taki gest, ale biskup uścisnął mu tylko mocniej prawicę, mówiąc: *Nu, nie trzeba, nie trzeba…*

Zakończę to wspomnienie skromnym osobistym wątkiem. Kiedy przedzierzgnąłem się z żurnalisty w urzędnika, dostawałem czasem zadanie umówienia moich szefów na spotkanie z biskupem Tokarczukiem. Czasami czyniłem to za pośrednictwem sekretarza, czasami w bezpośredniej rozmowie telefonicznej. Kiedyś siostra zakonna połączyła mnie z biskupem, szybko wyłuszczyłem, o co chodzi, i usłyszałem krótkie: *Nu, jak chce, to nich jutro przyjdzie…* Akurat byłem przy lekturze wspomnień oficerów legionowych. Jeden z nich opisywał, jak kiedyś wykorzystał okazję i poprosił marszałka Piłsudskiego o możliwość stanięcia do raportu (co w nomenklaturze wojskowej znaczy, że chciał się osobiście zameldować, aby przedłożyć jakąś prośbę). Marszałek zareagował od razu stwierdzeniem: *Nu, mówcie, z czym przychodzicie…*

Ten osobliwy, sympatyczny wykrzyknik *nu*, który usłyszałem osobiście i wyczytałem w książce tego samego dnia, bardzo mi przypadł do serca.

Paweł Bugira

Arcybiskup Ignacy Tokarczuk

Spacerki osobiste

Idę ulicą, piękny, młody…

Zdzisław Szeliga

Idę ulicą. Chciałoby się rzec: idę ulicą, piękny, młody… Coś tu jednak w boku strzyka, a wiatr rozwiewa siwą brodę, dyskretnie ostrzegając przed użyciem tej efekciarskiej frazy. Dajmy więc spokój, choć gdyby cofnąć się jakieś trzydzieści lat, to może wówczas, od biedy, byłoby to określenie choć troszkę prawdziwe.

Cofnijmy się zatem o te trzy dychy z okładem. Ruszamy. No więc: idę ulicą (piękny, młody, cha, cha, cha…), podążam szybkim krokiem ulicą Grunwaldzką (gdzie w kamienicy numer 42 zamieszkuję od urodzenia), jest godzina trzecia w nocy, muszę zdążyć na pociąg do Krakowa, mam zajęcia na podyplomowych studiach dziennikarskich na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Mijam sklep mięsny opodal tak zwanego małego rynku; przy wejściu kłębi się kilka kobiet, przykucnięte rozmawiają szeptem i czujnie rozglądają się dookoła. Pilnują miejsc w kolejce. Sklep otworzą za jakieś pięć, sześć godzin; dla tych, którzy przyjdą tuż przed otwarciem, niewiele towaru zostanie i zamiast mięsa będą niezrealizowane przydziałowe kartki na mięso. Cieszę się, że moja mama nie musi przebywać w tym kolejkowym gronie. Niedawno wujek z Ostrowa zabił konspiracyjnie świnię, sprawiedliwie obdzielając jej smacznym truchłem całą rodzinkę (kawałek schabu musiał też odpalić mieszkającemu w sąsiedztwie milicjantowi). Znam z autopsji kolejkową, nocną rzeczywistość. Dwie noce trwałem na posterunku w społecznej kolejce przed sklepem meblowym przy ulicy Jasińskiego. Meble wykupiła moja siostra, urządzająca się po zamążpójściu; napisałem wtedy reportaż *Sen o meblościance*, a meblościanka po kilku latach rozleciała się wraz z całym Peerelem.

Sunę dalej ulicami uśpionego miasta. Pewex przy ulicy Ratuszowej zamknięty, cinkciarze jeszcze śpią, ale wkrótce się tu pojawią, by handlować dolarami i inną kapitalistyczną walutą. Mam przy sobie dolara od ciotki z Ameryki, przysłanego mi kiedyś w pachnącej, świątecznej kopercie. To żelazna rezerwa; gdybym nagle pozostał bez kasy w Krakowie, to sprzedam dolara po czarnorynkowej cenie i będę miał na bilet do Przemyśla.

Tymczasem podążam na pociąg do Krakowa. W torbie, oprócz kanapki, mam kilka podziemnych wydawnictw, które dostałem od kolegi z Lublina. Wymienię je na inną bibułę, którą z kolei kolportują moi krakowscy znajomi. Wiem, że powrócę z torbą upchaną książkami kupionymi w krakowskich księgarniach. Książka to też reglamentowany towar. Jak wszystko.

Dumam sobie o tym, jaki osobliwy slalom musi przejść książka, ta pierwszoobiegowa, zanim pojawi się na półce. Jeden z moich kolegów, poeta, cieszy się, że debiutancki tomik jego wierszy, po trzech pozytywnych recenzjach, został zakwalifikowany do druku w rzeszowskim Oddziale Krajowej Agencji Wydawniczej. Martwi się tylko, bo wydawnictwo zwleka z drukiem, tłumacząc się brakiem przydziału papieru na obwolutę. Inny kolega wycofał z tej oficyny swoją książkę, bo cenzura zakwestionowała mu kluczowy wiersz w zbiorze, a z innego wykreśliła pointę. Poczeka więc na lepsze czasy.

Dworzec już blisko. Poszarzały, przyciemniony, z poczekalnią pełną drzemiących postaci. Koniec obserwacji i rozważań; trzeba wsiadać do pociągu.

Stop. Było, minęło. A teraz czas powtórzyć tę trasę. Współcześnie, tu i teraz, w ostatnim kwartale 2012 roku. No więc idę ulicą, doświadczony bagażem minionych dziesięcioleci; nie ma już sklepu mięsnego, przy którym nocami koczowały kobiety. Mięsa i wszystkiego innego wszędzie w bród. Kartki reglamentacyjne są dziś eksponatem kolekcjonerskim. Nie trzeba już towaru załatwiać, jak niegdyś, teraz się po prostu kupuje. Konspiracyjne świniobicie z działką dla milicjanta to wspomnienie z zamierzchłej przeszłości. Teraz podstawowy problem to zdobywanie pieniędzy. Jak je masz, to nawet nie musisz chodzić do sklepu. Przyniosą ci towar do domu. Za dolara (takiego samego jak ten wyciągany niegdyś ze świątecznego listu z Ameryki) kupić dziś można najwyżej piwo.

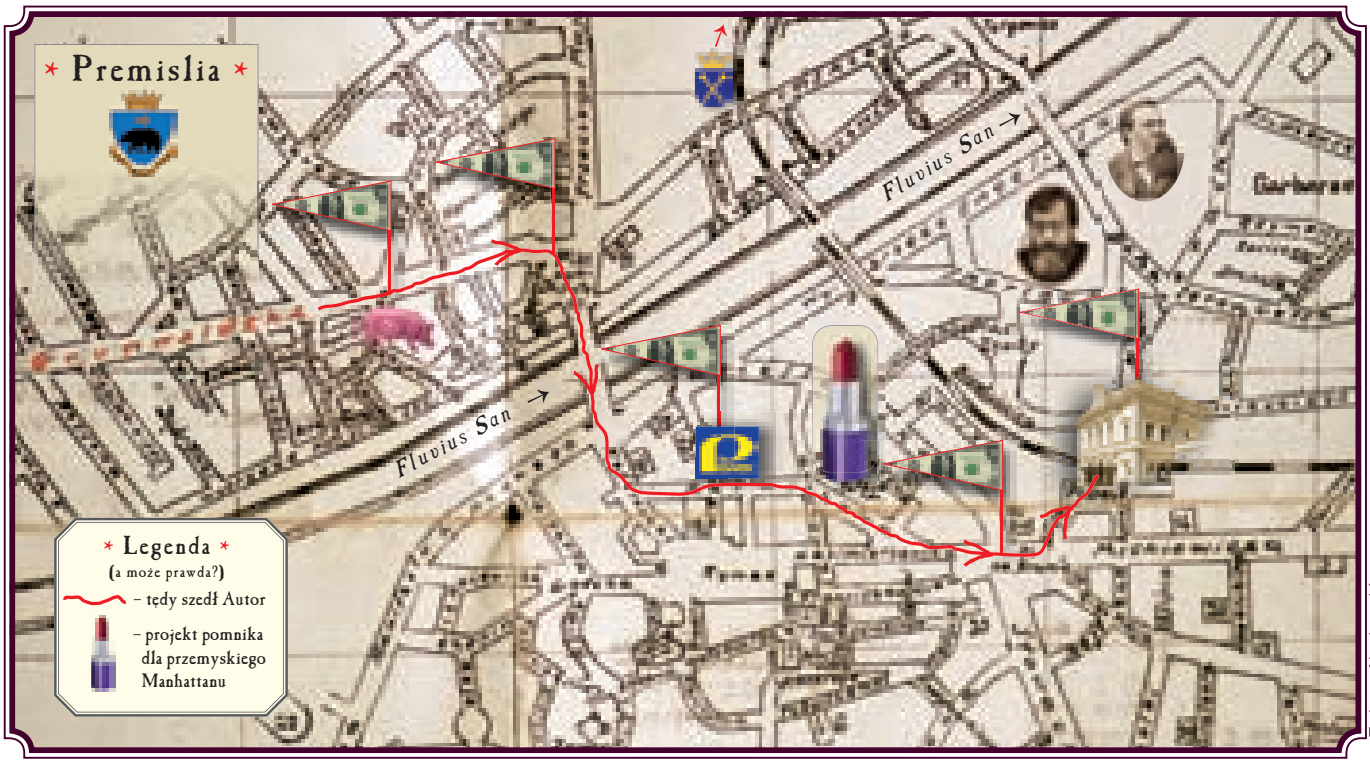

Tadeusz Nuckowski

Wszystko inaczej. W kamienicy, w której kiedyś mieścił się Pewex, obstawiony przez cinkciarzy, jest teraz księgarnia Libera, której wystawa przyciąga oko przechodnia. Kuszą piękne wydawnictwa, książka prosi się o nabywcę, a ponadto można się tu czegoś napić, coś przekąsić. Patrząc z perspektywy sprzed przeszło trzech dziesięcioleci – totalna rozpusta. Kupujących książki teraz mniej, nakłady bestsellerów znacznie mniejsze niż kiedyś. Za to piszących (i wydających hurtowo swoje wypociny) coraz więcej. Dziś każdy może na pniu wydać książeczkę, nie zawracając sobie gitary jakimiś recenzjami czy groźbą ingerencji cenzorskiej. Papier wszystko przyjmie, a drukarnia wszystko wydrukuje. Stąd tak liczna armia osób chodzących po Przemyślu i okolicach w zadufanym mniemaniu, iż uzyskały status powiatowych literatów.

Równie łatwo uzyskać dziś status wyższego wykształcenia. Droga po dyplom prościutka, nie trzeba tłuc się pociągami do Krakowa. Niezbędna jest tylko kasa na czesne. Kiedy przed przeszło trzydziestu laty podążałem do pociągu na zajęcia na Uniwersytet Jagielloński, do głowy by mi nie przyszło, że doczekam czasów, gdy Przemyśl będzie siedzibą pięciu wyższych uczelni: państwowej, kościelnej i trzech prywatnych, niepublicznych. Co prawda wśród tych ostatnich są i takie, o których mówi się, że poziom nauczania mają zakopany metr pod ziemią, ale przecież liczy się papier, a ten (jeśli tylko nie zalega się z opłatami) można zdobyć bez większego zachodu. Jacyś złośliwcy kolportują surrealistyczną plotkę, że w jakiejś miejscowej uczelni nawet niezbyt inteligentny orangutan zdobędzie dyplom, pod warunkiem, że ktoś w jego imieniu przyniesie właścicielowi tego interesu worek bananów.

Czas już kończyć te dwa sentymentalne spacerki w stronę przemyskiego dworca: ten sprzed ponad trzydziestu lat i ten współczesny. Rozglądam się wokoło, czasy mieszają mi się we łbie, czuję chaos, zaraz dopadnie mnie tęsknica podszyta wredną zazdrością. Ale za czym tu tęsknić? Komu i czego mam zazdrościć? Szlag trafił komunę. Nie wierzyłem, że dokona się to za mojego, choćby najdłuższego, żywota. A jednak. Młodzi mają dzisiaj zupełnie inne możliwości, inne problemy, ale życie wcale nie jest łatwiejsze.

Świat się skurczył. Kiedyś musiałem czekać godzinę lub dłużej, zanim telefonistka z tak zwanej ręcznej centrali połączyła mnie z Radymnem lub Rzeszowem. Teraz ciągle ktoś się kontaktuje: z Anglii, Australii, Włoch, ze Stanów Zjednoczonych… Porozrzucało ludzi po całym bożym świecie. Różnie sobie radzą, ale na ogół trzymają fason. Chwalą sobie swój emigrancki żywot.

W dzienniku telewizyjnym akurat komplementują światowy sukces firmy kosmetycznej Inglot. Czuję się dumny, kiedy widzę, jak mój młodszy kolega z zasańskiego liceum, Wojtek Inglot, udziela wywiadu, stojąc na Manhattanie przed swoim lokalem, jednym z wielu rozsianych po całym świecie. Prawdziwy człowiek sukcesu. Spotykam też innego, nieco starszego kolegę, który od lat przekonywał mnie, że jego dzieci dobrze urządziły się w Anglii. Teraz jest smutny, bo jego wnuki już prawie nie mówią po polsku. Próbuję go pocieszać, dowodząc, że lepiej być dobrym człowiekiem niż dobrym Polakiem, ale ten banał chyba go nie przekonuje.

Idę ulicą…

PŁYTY

Aerosmith
Music From Another Dimension!
Sony Music
******

Na nowy studyjny album tego zespołu musieliśmy czekać długie jedenaście lat. Wszak ostatnia płyta Aerosmith to przecież *Just Push Play* z 2001 roku. *Music From Another Dimension!* jest doskonałą kontynuacją rewelacyjnego krążka *Get A Grip* sprzed dziewiętnastu lat. Mówiąc szczerze, w ostatnich kilkunastu latach działalności zespołu ukazały się płyty o różnej jakości: rewelacyjna (*Get A Grip*), dobra (*Nine Lives*), przeciętna (*Just Push Play*), świetna (z coverami *Honkin' On Bobo*) oraz wydawnictwa, które można określić słowami: płyty koncertowe i składanki hitów. Czasem mniej, czasem bardziej udane… Przyznaję, że uwielbiam ten zespół. Nie zapomnę koncertu, który zagrał na warszawskiej Gwardii. Kocham ten stary korzenny Aerosmith, ale przepadam też za tą komercyjną częścią jego dyskografii, w której palce maczali między innymi Desmond Child czy Diane Warren. Zresztą nazwiska tych kompozytorów pojawiają się także na nowej płycie. W wielkim skrócie można powiedzieć, że *Music From Another Dimension!* to płyta bardzo rozbuchana. To wręcz rockandrollowa orgia, wypełniona nie tylko głośnymi gitarami, solidnym rytmem, ale także trąbkami, saksofonami, żeńskimi chórkami… To płyta na wskroś amerykańska, świetnie brzmiąca, dopracowana, ciesząca nie tylko uszy, ale i oczy – wydanie limitowane jest po prostu fantastyczne! Płyta bardzo przebojowa, choć ogół słuchaczy może tego nie dostrzec i nie usłyszeć w czasach, gdy na przykład MTV prezentuje ogłupiające reality show, zamiast promować dobrą muzykę. Tu trzeba samemu się wysilić i trochę czasu z tym albumem spędzić. Są na nim mocne, rockowe numery, wśród nich: singlowy *Legendary Child*, rozpędzony *Street Jesus*, zaśpiewany przez Perry'ego *Freedom Fighter*… Są i kapitalne ballady *What Could Have Been Love* i *Another Last Goodbye*. Jest też bardzo urokliwa piosenka *Can't Stop Lovin' You* – duet z piękną Carrie Underwood. Formą wokalną i brzmieniem głosu zachwyca Steven Tyler. Bez względu na to, czy śpiewa ostro czy delikatnie czy nawet rapuje. Gość ma świetną dykcję! W utworze *Out Go The Lights* słychać wyraźnie wszystkie zbitki spółgłosek. Blisko 70 minut amerykańskiego rock and rolla, choć można tu usłyszeć nawiązania do Stonesów. Z czadem, pazurem, tam, gdzie trzeba, z nutką melancholii i bardzo dobrymi refrenami. I nie ma sensu zastanawianie się nad tym, który utwór pochodzi z sesji nagraniowej z lat 90., po co komu na tej płycie obecność Juliana Lennona czy Johnny'ego Deppa, czy w choć minimalnym stopniu jest to powrót do korzeni czy nie, kto się z kim kłócił przez ostatnie lata i dlaczego… Lepiej uśmiechać się pod wąsem, słuchając Aerosmith w doskonałej formie.

Kiss
Monster
Universal Music
****

Kilka płyt wydanych w tym roku udowodniło mi, że tak zwana stara gwardia trzyma się naprawdę dobrze. Wśród nich album *Monster*. Owszem, można sobie pokpiwać z tego, że mocno dojrzali panowie znów nakładają te głupkowate maski, makijaże, ubierają kiczowate stroje, a 63-letni Gene Simmons, chyba w każdej możliwej sytuacji, nadal chwali się swoim językorem. Ale gdy wrzucimy na luz, zobaczymy, że ci goście grają fajną muzykę. Zresztą oni sami mają gdzieś to, co się sądzi na temat ich wyglądu, sesji zdjęciowych i prezencji scenicznej. Polecam tekst do trzeciego na płycie utworu *Freak*: *Ludzie pokazują mnie palcem, gapią się na mnie, gdy mnie zapytają, mówię, że jestem dziwakiem, odmieńcem. Uwielbiam moje ciuchy, niech się śmieją, nie dbam o to, to mój krzyż, który z dumą dźwigam, jestem dziwakiem, odmieńcem*. Zresztą tu nie ma co się rozwodzić nad każdym numerem. Całość jest głośna, imprezowa, dynamiczna, melodyjna i przebojowa. Proste numery, fajne riffy, dobre głosy wokalistów. Choć nie ukrywam, że piosenki zaśpiewane przez Simmonsa brzmią najlepiej. Pewną naiwnością razić może *All For The Love Of Rock & Roll*; muzycznie to całkiem przyjemny kawałek, ale gdy ma się na koncie miliony sprzedanych płyt, to śpiewanie: *nie dbałem o to, czy będę sławny i bogaty*, brzmi dość zabawnie… Można jednak przymknąć oko na takie teksty. Tym bardziej że wśród dwunastu utworów są takie hity, jak otwierający całość *Hell Or Hallelujah* czy dziki i plemienny *Back To The Stone Age*. Kiss to weterani, ale w ich żyłach nadal płynie krew zainfekowana rockowym ogniem. To nie jest ich najlepsza czy najważniejsza płyta. Można powiedzieć, że momentami jest wręcz schematyczna, ale ważne, że *Monster* to blisko 44 minuty hardrockowej i rockandrollowej zabawy, pozytywnej energii i miłego dla ucha starego, klasycznego brzmienia. Rasowe i dziarskie granko!

Piotr Bałajan

Skala ocen: ****** musisz to mieć ***** bardzo dobra **** dobra *** przeciętna ** marna * tragedia

Z archiwum PBP

Linda Gáborvá

Wernisaż wystawy

Od 25 sierpnia do 19 września w Przemyskiej Bibliotece Publicznej prezentowana była **wystawa zdjęć powstałych w czasie trzech edycji warsztatów fotograficznych dla dzieci romskich z miejscowości Medzilaborce na Słowacji**. Warsztaty zorganizowano w ramach autorskiego projektu „Roma Community Children in Medzilaborce", finansowanego przez Foundation Open Society Institute (OSI-ZUG).

Projekt realizowany w Medzilaborcach zakładał rozbudzanie zainteresowań u dzieci romskich. Postanowiliśmy nauczyć podstaw fotografii dziewięcioro dzieci, z których żadne nigdy nie trzymało aparatu fotograficznego w rękach. Podczas kolejnych zajęć młodzi uczestnicy warsztatów prostymi aparatami fotografowali: pejzaż, architekturę, przyrodę, detal, no i przede wszystkim siebie nawzajem. Po zakończeniu każdego tematu wspólnie oglądaliśmy zdjęcia, rozmawialiśmy o nich i wybieraliśmy najlepsze.

Po każdych kolejnych zajęciach widać było, że młodzi autorzy robią coraz mniej błędów i fotografia zaczyna ich pasjonować. Ponieważ zostawiliśmy im zupełną dowolność w sprawie wyboru motywu i jego kadru, wystawa jest niezwykle różnorodna. Przypatrując się zestawom, łatwo zauważyć, że ich autorzy różnią się zainteresowaniami, sposobem widzenia i oceniania fotografowanego przez siebie fragmentu rzeczywistości.

Na podstawie zdjęć można nawet pokusić się o charakterystykę ich autorów. W ich zdjęciach widać ogromną szczerość i otwartość na nowo poznane medium, jakim była dla nich fotografia. W ten sposób powstała wystawa złożona z może niedoskonałych technicznie, ale prostych i bardzo szczerych, a przez to dobrych fotografii.

Realizatorzy: Edmund Gorzelany, Beata Jędruch, Jacek Szwic (z katalogu projektu)

Tomasz Walków

Miljenko Jergović

20 października w czasie uroczystej gali w Operze Wrocławskiej **chorwacki pisarz Miljenko Jergović odebrał Literacką Nagrodę Europy Środkowej „Angelus" za książkę *Srda śpiewa o zmierzchu w Zielone Świątki.*** Nagrodą były statuetka „Angelusa" autorstwa Ewy Rossano i 150 tys. zł. Nagrodę dla tłumacza (20 tys. zł) otrzymała Magdalena Petryńska.

Do finału tegorocznej, siódmej edycji „Angelusa" jury – któremu przewodniczyła Natalia Gorbaniewska, rosyjska poetka, tłumaczka i dziennikarka – zakwalifikowało siedem książek:

- Andrij Bondar (Ukraina), *Historie ważne i nieważne*, tłum. Bohdan Zadura (Biuro Literackie, Wrocław 2011);
- Jacek Dehnel (Polska), *Saturn. Czarne obrazy z życia mężczyzn z rodziny Goya* (W.A.B., Warszawa 2011);
- Miljenko Jergović (Chorwacja), *Srda śpiewa o zmierzchu w Zielone Świątki*, tłum. Magdalena Petryńska (Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011);
- László Krasznahorkai (Węgry), *Wojna i wojna*, tłum. Elżbieta Sobolewska (W.A.B., Warszawa 2011);
- Magdalena Tulli (Polska), *Włoskie szpilki* (Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2011);
- Michał Witkowski (Polska), *Drwal* (Świat Książki, Warszawa 2011);
- Tomáš Zmeškal (Czechy), *List miłosny pismem klinowym*, tłum. Dorota Dobrew (W.A.B., Warszawa 2011).

Emilia Żdanowicz

Prof. dr hab. Marek Bojarski

Senat Uniwersytetu Michała Romera w Wilnie nadał **tytuł doktora honoris causa prof. dr. hab. Markowi Bojarskiemu, rektorowi Uniwersytetu Wrocławskiego** za rozwijanie wspólnych działań między obiema uczelniami (15 listopada). Uroczyste wręczenie dyplomu odbyło się 13 grudnia na wileńskiej uczelni.

Marek Bojarski urodził się w 1946 roku w Przemyślu, gdzie ukończył szkołę średnią. Po studiach prawniczych na Uniwersytecie Wrocławskim rozpoczął pracę na macierzystej uczelni. Tytuł profesora zwyczajnego otrzymał w 1992 roku. Od 2008 roku jest rektorem tejże uczelni.

Na tegorocznym, **XXVI Turnieju Wierszy Jednego Poety**, zorganizowanym przez Przemyską Bibliotekę Publiczną, **prezentowano twórczość poetycką Jerzego Kronholda**.

Poeta był przewodniczącym jury, w którym zasiadł między innymi Krzysztof Lisowski, poeta i krytyk literacki (PBP, 8 grudnia).

Adam Podulka

Krzysztof Lisowski i Jerzy Kronhold

W Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej odbyła się **promocja książki Józefy Kostek *Świat przeszły dokonany: judaica ze zbiorów MNZP*** (13 grudnia).

Jacek Szwic

Henryk Lasko z małżonką na finisażu wystawy

***Impresje malarskie i graficzne* – to tytuł wystawy prac Henryka Lasko**, którą można było obejrzeć w Przemyskiej Bibliotece Publicznej (18 grudnia–19 stycznia).

POLECAMY

Csaba G. Kiss, *Lekcja Europy Środkowej. Eseje i szkice* [z węgierskiego przełożyli Joanna Nowostawska-Gyalókay i in.], Biblioteka Europy Środka pod red. Jacka Purchli, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2009.

Emil Brix, *Z powrotem w Europie Środkowej. Eseje i szkice*, z niemieckiego przełożyła Anna Śliwa, Biblioteka Europy Środka pod red. Jacka Purchli, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2012.

Agnieszka Kastory, *Żegluga dunajska w polityce międzynarodowej w XX wieku*, Towarzystwo Wydawnicze „Historia Iagellonica", Kraków 2011.

Opr. A.S.

Henryk Lasko

Henryk Lasko, *Teatr na łące III*, akwarela, płótno, 50 x 50 cm, 2013

Henryk Lasko

urodził się w 1951 roku w Szczecinku. Należy do Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików. Posiada odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej". Od ponad czterdziestu lat maluje pejzaże, martwe natury i kwiaty. Jest laureatem kilkunastu nagród i wyróżnień w dziedzinie malarstwa. Za osiągnięcia w pracy twórczej odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Posiada galerię na stronie www.lasko.webd.pl, gdzie na bieżąco umieszcza fotografie swoich prac malarskich i graficznych. Mieszka w Przemyślu.

ISSN 1895-3972
03
9 771506 715002